

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



MICHAŁ ZEVACO

KRÓLOWA SERC

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

I

OKIENKO NA PODDASZU

Ciepły, słoneczny poranek 1544 r.

Ulica św. Marcina zaczęta ożywiać się powoli. Krążyli już po niej liczni handlarze uliczni: sprzedawcy drobiu, warzyw, owoców, węgla, lampek oliwnych; przekupki wydzierają się, zachwalając gorące naleśniki, krajanki tortu i ciastka ryżowe; krążyły tam i z powrotem kokieterijne kwiaciarki, kwestarze, żakowie, żebracy, zonglerzy, kuglarze, słowem cały świat, charakterystyczny dla ulicy współczesnego Paryża.

Wśród tego hałaśliwego tłumu stała dumnie oberża „Pod Ślepą Sroką”, co prawda nie tak sławna, jak opiewana przez Rabelais’go „de la Dévinière”, jednak również chętnie odwiedzana przez klientów żądnych dobrego wina i smakowitych dań. Największą ozdobą i magnesem „Ślepej Sroki” była pani Wilhelminka Pączuszek, najmilsza i najpiękniejsza oberżystka ze wszystkich oberżystek ówczesnego Paryża.

Gromadzono się tu tłumnie na ogólnej parterowej sali, aby smacznie zjeść, dobrze wypić i mile pogawędzić. Na górnym piętrze i w pokoikach na mansardzie siedzieli przyjezdni kawalerowie z prowincji, szukający w stolicy szczęścia i kariery.

W jednym z takich pokoików hen, pod samym dachem stał przy oknie dwudziestoletni młodzieniec z buńczuczną miną, starannie i elegancko ubrany, przystojny, pięknie zbudowany, z twarzą tchnącą szlachetną dumą.

Stał przy oknie, lecz jak gdyby bał się wyrzeć na ulicę. Odwrócił się do niego plecami, szarpał nerwowo sumiasty wąs, odchodził w głąb pokoju i znowu wracał, jakby ciągnęła go do małego okienka jakaś tajemnicza siła, której na próżno próbował się opierać.

Stojący przy drzwiach blisko czterdziestoletni mężczyzna, jak można było wnioskować ze stroju, stajenny, spoglądał na młodzieńca ironicznym nieco okiem i mruczał pod nosem:

– Podejdiesz... podejdiesz, mój panie! Znam się na tym! Młodzieniec rozumiał doskonale, o co chodziło jego służącemu, udawał jednak głuchego i ślepego i ani jednym słówkiem nie odezwał się do niego.

W pokoiku pod dachem panowało głucho milczenie.

Wierny sługa wreszcie nie mogąc widocznie znieść napiętej sytuacji, pierwszy zagał rozmowę.

– Panie, czy zdecydujesz się nareszcie udać z polecającym listem nieboszczyka ojca twego, jaśnie wielmożnego pana de Montauban, do jego eminencji kardynała Lotaryngii? Wiesz pan o tym dobrze, że jego eminencja zaproteguje cię niewątpliwie do swego brata, księcia Klaudiusza de Guise. Będzie to początkiem twojej kariery...

Nagle urwał i rzekł tym razem bardzo już donośnym głosem:

– Tak, ale co z tego, jeśli zamiast myślenia o karierze myślisz pan... o czymś zgoła innym... Podejdiesz pan! Znam się na tym; podejdiesz na pewno!

– Dokąd? – zapytał z udaną naiwnością kawaler de Montauban – do pałacu kardynała? Rzecz oczywista, że aby wejść do wnętrza, muszę podejść. To jasne!

– Kopiesz pan sobie grób swą obojętnością na sprawy doczesne! – jęknął sługa.

– Chyba nie zechcesz mój Langrogne, abym zeszedł z tego padołu sam i jako wiemy sługa, będziesz mi towarzyszyć w tej wędrówce! A więc nie martwię się, bo będę wiernie obsłużony! – rzucił, filuternie uśmiechając się, kawaler de Montauban. Po czym ruszył pełnym zdecydowania krokiem do okienka, od którego w trakcie rozmowy odszedł.

Magnesem, który go pociągał z nieprzepartą siłą, było również okno... kamieniczki z naprzeciawka, w którym pierwszego dnia po swym przyjeździe do Paryża ujrzał piękną twarzyczkę młodej sąsiadki. Ujrzał ją i... młode jego serce zapłonęło ogniem pierwszej, a jednocześnie wiernej, aż do grobu miłości. Nieśmiały w stosunku do kobiet nie marzył nawet o możliwości zawarcia z nią bliższej znajomości, ograniczał się do spoglądania na swą bogdanekę przez okno, do marzeń o niej i do towarzyszenia jej z daleka podczas odbywanych przez nią spacerów za miasto. Dla niej zaniedbał swe osobiste interesy, co było przyczyną zdenerwowania wiernego sługi – Langrogne’a.

Dziewczką, która nie podejrzewając nawet tego, że wzięła w jasyr serce kawalera de Montauban, była Polna Różyczka, lokatorka matki Agadou, właścicielki kamieniczki z naprzeciawka.

Ciche, skromne dziewczątko, również nic o tym nie wiedząc, stała się przedmiotem miłosnych pożądań jeszcze dwóch – tym razem potężnych osobistości: kardynała Lotaryngii i Henryka – delfina Francji.

Delfin – kochliwy z usposobienia, otaczał się faworytami, którzy chcąc dogodzić swemu panu i zrobić przy tym karierę – dopomagali mu w jego awanturkach miłosnych, im powierzał zawsze nawiązanie każdej nowej intrygi.

II

PAŁAC DE TOURNELLES

Owego pięknego poranka w gabinecie, noszącym nazwę „Kącik delfina” książę Henryk prowadził z ożywieniem rozmowę ze swymi konfidentami: Jakubem d’Albon de Saint-André – i baronem Kajetanem de Roncherolles’em.

– Drodzy przyjaciele, mówił delfin – mówię wam, że odkryłem perłę nad perły, piękność, która mogłaby zaćmić wszystkie piękności naszego dworu. Lat szesnaście, najwyżej siedemnaście, gęste kasztanowate włosy, usteczka... jak pąk granatu, głębokie oczy, ciemnoszafirowe – prawie czarne, postawa bogini, aksamitny, skromny, lecz pełen wytwornego wdzięku strój, czoło anielskiej czystości a minka harda i przekorna! Jej obojętne spojrzenie przesunęło się po mnie, zapalając w mym sercu ogień miłości. Czuję, że kocham tak, jak nigdy jeszcze dotąd nie kochałem... Kocham i muszę osiąść wzajemność, w przeciwnym bowiem razie życie straci dla mnie cały swój powab.

Dwaj konfidenti delfina na widok wzruszenia, z jakim ich pan wypowiedział te słowa, porozumieli się ze sobą wzrokiem i zrozumieli, że sprawa przedstawia się poważniej, niż się im pierwotnie wydawało. Hrabia d'Albon zwrócił się do delfina z pytaniem:

– Jak się nazywa ta nieznana nikomu piękność?

– Nie wiem. Spotkałem ją przy bramie Tempie i udałem się za nią drogą do Bagnolet, dokąd jechała na białym rumaku. Poszedłbym za nią nawet do piekła, gdyby taka była jej wola.

– Należało zaczepić ją – rzekł krótko Roncherolles.

– Uczyniłem to – odpowiedział Henryk, wzruszając ramionami.

– I co? – padło pytanie z ust obu konfidentów.

– Spojrzała na mnie takim wzrokiem, że odpowiedziałem na to niskim ukłonem i... ustąpiłem jej z drogi... Ja – następca tronu Francji – uległem, poskromiony wzrokiem dziewczyny nieznanego nazwiska – tak poskromiony i nieśmiały, że stanąłem, jak baran, pośrodku drogi. Jest to najlepszy dowód, że temu spotkaniu zawdzięczam utratę serca.

Dworzanie królewscy spojrzeli po sobie z prawdziwym niepokojem. Należało dobrze uważać, aby wyczuć w porę, czy mają do czynienia z prawdziwym uczuciem, czy też ze słomianym ogniem; należało też odpowiednio zachować się. Przystąpili więc do ostrożnego zbadania terenu.

– A więc, wasza książęca mość nie ośmieliłeś się udać jej śladem?

– Owszem... lecz w znacznej odległości. Dotarłem, aż do Bagnolet, tam jednak zgubiłem nagle jej ślad. Sam nie wiem jak się to stało. Nikt z mieszkańców wioski nie mógł mi udzielić o niej żadnych informacji.

– I na tym się romans zakończył?

– O nie! Dwukrotnie wracałem do bramy Temple.

– No i?

– Dwukrotnie spotkałem ją tam i wędrowałem jej śladem. I znowu wyruszyła do Bagnolet i znowu zgubiłem jej ślad we wsi.

To mówiąc westchnął żałośnie.

– A więc, wasza miłość, nie wiesz nic jeszcze o swej pięknej nieznanym?

– Ani jak się nazywa, ani gdzie mieszka, ani kim jest?

– Nic... nic zgoła – zabrzmiała smętna odpowiedź. – Wiem to tylko, że życie mi nagle obrzydło.

Roncherolles postanowił wyzyskać sytuację, aby zaskarbić sobie względy delfina:

– Zechciej, wasza miłość, powierzyć mi tę misję, a nie upłynie doba, a będę już znać jej imię i miejsce zamieszkania.

Saint-André wściekły, że dał się ubiec towarzyszowi, wtrącił z żywością:

– Tak jest, wasza miłość, powierz nam tę misję, a my dostarczymy ci wszystkich informacji.

– Wierni z was i dzielni przyjaciele – wykrzyknął bardzo serdecznie Henryk. – Nie zapomnę o tym, gdy zostanę królem.

„Dwaj przyjaciele” ukłonili się nisko, pewni, że delfin powierzy im misję, która będzie początkiem ich kariery.

Nagle zabrzmiała odpowiedź:

– Powstrzymajcie waszą gorliwość – przyda się wam przy następnej okazji. Powierzyłem już tę sprawę de Ville'owi. Zręczny z niego człowiek, dobry dyplomata i nie od parady nosi głowę na karku, toteż z minuty na minutę czekam na jego przybycie.

Przymuszonym uśmiechem zamaskowali uczucie zawodu i gniewu na szczęśliwego rywala, który sprzątnął im tłusty kęs łaski pańskiej przed samym nosem. Nie mogąc rozprawić się z nim z bronią w ręku, zaatakowali nieobecnego podstępnie innym sposobem:

– Hm, Hm! – bąknął de Saint-André – co powie na to pani de Savigny, gdy się dowie, że pan de Ville, podjął się tej misji?

– A dowie się o tym na pewno – dodał Roncherolles – nie mógłby utrzymać wobec niej języka za zębami.

– Dajcie żyć biedakowi – przerwał ich dogadywania delfin – chcecie dać do zrozumienia, że baron de Ville musi się wygadać, jest bowiem małżonkiem pani de Savigny, ta ostatnia zaś będzie wściekła, bo raczy darzyć mnie swymi względami. Dowiedzcie się jednak, że de Ville jest mi bezgranicznie oddany, że jest on małżonkiem pani de Savigny jedynie nominalnie, z przyjaźni dla mnie i dlatego, aby dziecko, które mam z nią, mogło mieć nazwisko. Ta para małżeńska nie ma jednak ze sobą nic wspólnego. Jestem pewny, że de Ville będzie niemy, jak ryba... a gdyby się wygadał, pani Nicola de Savigny nie jest kobietą, która by robiła o byle co skandale.

Nie nastając dłużej zmienili temat:

– A pani Diana?

– Pani Diana nie jest kobietą – rzekł Henryk z powagą. – Pani Diana – to bogini. Jest wyższą ponad wszelkie nasze słabostki, których istnienia nawet nie podejrzewa.

Prócz dwóch kochanek następcy tronu istniała jeszcze trzecia kobieta, która większe niż dwie poprzednie miałaby prawo interesować się gwałtowną miłością delfina do pięknej nieznamomej. Kobieta tą była jego ślubna żona, Katarzyna Medycejska. Widocznie jednak nie brano jej osoby wcale w rachubę, bo nikt z obecnych nawet nie wspomniął, jej imienia.

Widząc, że nie mają dziś szczęścia, zaczęli jeszcze z innej beczki:

– Należy tylko życzyć sobie – bąknął Saint-André – aby jego księżęca mość Karol Orleański, nie ujrzał ślicznotki, która podbiła serce waszej miłości.

Henryk drgnął gwałtownie, a w oczach jego zapłonął ponury ogień nienawiści, nienawiść bowiem utworzyła przepaść między nim a jego bratem Karolem Orleańskim.

Widząc, że strzała dosięgła celu, dwaj dworacy zaczęli na dobre zatruwać duszę Henryka jadem.

– Księżę Orleanu mógłby ci łatwo sprzątnąć ją sprzed nosa – szepnął Roncherolles.

– Czuje się bowiem zupełnie bezpieczny, za plecami króla jegomości, który wyróżnia go jawnie, żywiąc dla ciebie, wasza miłość, uczucie nienawiści.

– Powiadają, że król jegomość chce go ożenić z córką cesarza.

– I, że chce go wyposażyć... kosztem twego dziedzictwa, wasza miłość.

– Młodszy brat zmiażdży cię swoją potęgą.

– Cierpliwości... cierpliwości... – przerwał ich wywody Henryk, a głos jego zabrzmiał dziwnie głucho – król nie jest wieczny... Nadejdzie dzień, w którym zostanę niepodzielnym panem... Wtedy porachujemy się z tobą, mój braciszku!

– Oby jednak ten dzień nastąpił przed całkowitym ograbieniem, waszej miłości – szepnął z fałszywą słodyczą Saint-André.

Roncherolles zawsze bardziej wybuchowy i brutalny, zerknął spode łba na swego pana i dorzucił:

– Można by w razie czego dopomóc woli nieba...

Słowa to były zuchwale... w powietrzu zawisł cień zbrodni stanu. Henryk zacisnął pięści, nie dojrzał w nim jednak jeszcze zbrodniczy zamiar, nic wtedy nie odpowiedział i odwrócił głowę w inną stronę.

Dwaj kusiciele spojrzeli na siebie ze złowrogim uśmiechem, pewni, że zasiane przez nich w duszy delfina ziarno zbrodni, zacznie kiełkować powoli, aby z czasem wydać straszliwy plon.

Kłopotliwą ciszę, jaka zaległa komnatę, przerwało ukazanie się w progu Jana de Ville, barona de Fontette, kawalera orderu króla jegomości, groźnego dowódcy awanturycznej bandy faworytów delfina Henryka, pozostających na jego żołądź. Był to wyrozumiały małżonek kochanki następcy tronu.

Na jego widok Henryk zapomniał o wszystkim:

– No i co? – mów, mój de Ville?! – wykrzyknął z niebywałą dla niego żywością.

– Nie przynoszę dużo, wasza książęca mość – odpowiedział, mogę już jednak udzielić pewnych wskazówek. Dziewczyna nazywa się: Polna Różyczka.

– Polna Różyczka! Ależ to istne wcielenie wiosny! – wykrzyknął Henryk z zachwytem. – Polna Różyczka! I co dalej?

– Nic więcej! Jasne jest, że mamy do czynienia tylko z przezwiskiem, jakie jej dano, lecz nie z prawdziwym imieniem.

– Nie inaczej. Dziewczę pochodzi na pewno z bardzo dobrej rodziny. Mówi o tym każdy jej ruch i spojrzenie.

– Prawdziwego imienia nie zdołałem się jeszcze dowiedzieć – mówił dalej de Ville. Lecz dowiem się na pewno. Wiem za to, że mieszka przy ulicy świętego Marcina, na wprost oberży „Pod Ślepą Sroką”, w kamieniczce stojącej na rogu ulicy de la Beaudrierie. Kamieniczka jest własnością pewnej starej kobiety nazwiskiem Agadou, typowej pod słońcem jędzy; mimo tej cechy jednak cnota jej jest niewzruszoną opoką. Żadne obietnice z mojej strony nie wywarły pożądanego skutku. Jest wierną dziewczynie, jak pies. Jednakowoż mam wrażenie, że skała zaczyna kruszeć i... kto wie, co przyniesie jutro. Jeśli jednak da się nawet skusić, będzie to drogo kosztować waszą miłość.

– Nie dbam o cenę!

– A więc słucham rozkazów waszej miłości!

Po cichej rozmowie na uboczu de Ville opuścił komnatę. Na ulicy św. Antoniego czekało na niego dwóch drabów, ubranych w sukienne suknie, kaftany ze skóry, płaszcze, przy boku każdego z nich wisiał olbrzymi miecz, za pasem zaś mieli ostre sztylety. Wygląd ich świadczył jasno, że byli to dwaj najemni zbirowie. Pierwszy z nich średniego wzrostu, czarniawy, suchy Prowansalczyk nazywał się Tyka. Drugi olbrzymi, spasty Burgundczyk zwał się Pęcherz.

Spacerowali tam i z powrotem, okrążając od czasu do czasu olbrzymi klon, rosnący pośrodku ulicy: tuż obok wznosił się kamienny krzyż, wystawiony między kościołem św. Katarzyny, a pałacem wielkiego prefekta. Godną uwagi była ta okoliczność, że dwaj zbirowie nigdy nie szli razem; suchy Tyka kroczy! zazwyczaj przodem, a olbrzym Pęcherz postępował o kilka kroków za nim. Idąc nie przestawali rozmawiać ze sobą. Tyka grzmiał głębokim z głębin brzucha płynącym basem; Pęcherz piszczał cienko, jak dziecięcy flecik. Aby porozumieć się ze sobą Tyka odwracał głowę, a Pęcherz wyciągał szyję, jakby chcąc pochwycić w locie smaczny kąsek. Mówiąc o najobojętniejszych sprawach przewracali straszliwie oczami, robili groźne miny, rzekłbyś pragnąc pożreć się wzajemnie.

Na widok zbliżającego się do nich de Ville'a wyprostowali się, jak żołnierze przed swoim dowódcą.

Baron rzucił krótki rozkaz:

– Zbliź się. Powiem ci o co chodzi, potem wytłumaczysz to Pęcherzowi, który jest głuchy, jak pień.

Pan i dwaj zbirowie ruszyli powoli w kierunku bramy Baudet.

III

W PAŁACU DE CLUNY

W tym samym czasie na drugim krańcu Paryża, w olbrzymim gabinecie przy ulicy de Cluny, wzniesionym od niedawna przez opactwo przy ulicy de Mathurins, przy biurku, zarzuconym papierami, siedział kawaler o niezwykle dumnym wyglądzie. Mógł mieć około czterdziestu sześciu lat; przenikliwy wzrok, zmysłowe usta, ironiczny wyraz twarzy, nieco zmęczony życiem, wspaniale aksamitno–jedwabne szaty, niezwykle eleganckie, złote ostrogi i wysokie buty z wonnej łosiowej skóry, przy boku solidna szpada z rękojeścią, wysadzoną diamentami – słowem był to pan z panów – kardynał Jan Lotaryński.

Przy drugim końcu stołu stali dwaj zakonnicy: Teobald i Lubek, osobistości dobrze w owych czasach znane, dzięki Klemensowi Marot'owi, który uwiecznił w swych wierszach tę, godną parę. Stali w pełnej uniżoności pozie przed kardynałem, który rozparty niedbale w fotelu mówił:

– Polna Różyczka! Mówisz, bracie Lubku, że się nazywa Polna Różyczka? Piękne to imię, lecz aż za piękne na to, aby być prawdziwe.

– A jednak ta panna tak się nazywa! – jęknął żałośnie brat Lubek.

Odważniejszy nieco brat Teobald dorzucił z wielkim tupetem:

– Wobec tego, że imię to nie miało szczęścia spodobać się waszej eminencji, postaramy się przekonać szlachetną pannę, że musi je zmienić.

Brat Lubek przytaknął tym słowom skwapliwie, kiwając raz po raz głową.

Kardynał wzruszył nieznacznie ramionami i zamyślił się; braciszczowie zakonni w oczekiwaniu na dalsze rozkazy zamarli w pochylonej pozycji, z pół przymkniętymi oczami.

Kardynał dumiał:

– Imię dziewczęcia jest piękne, a jego posiadaczka jeszcze piękniejsza. Będę miał zachwycającą kochankę... tak jest, będę miał... muszę ją bowiem mieć za wszelką cenę! Tajemnica jaka otacza jej osobę, wszystkie przeszkody, które znajdują się na mej drodze, czynią to dziewczę jeszcze bardziej pożądaną zdobyczą. Niech Bóg mi będzie za to sędzią, lecz czuję, że jestem naprawdę zakochany i muszę zdobyć tę dziewczynę. Gdyby na tronie Francji zasiadał nie Franciszek I, lecz Henryk II, już by się to stało! Henryk w moich rękach byłby pokorną gliną, którą mógłbym ulepić podług swego gustu. U Franciszka I jestem w niełasce, brat mój Gwizjusz został skazany na wygnanie. Muszę mieć się na baczności i nie wywoływać skandalu, który mógłby ściągnąć na mnie uwagę króla i jeszcze gorzej go usposobić względem nas. Och! Dlaczego na tronie Francji nie zasiada Henryk II?

Ocknął się z zadumy, otworzył szufladę w biurku i wyjął z niej dwie pękate sakiewki.

Na ten widok na usta obu braciszków zakonnych wypłynął błogi uśmiech.

– A teraz wysłuchajcie mnie uważnie – zwrócił się do czcigodnej pary. – Misja, jaką chcę wam powierzyć, nie ma nic wspólnego z romansową przygodą, jest to sprawa nad wyraz

subtelna i poważna, mająca na celu unieszkodliwienie knowanego przez wrogów zamachu stanu. Od waszej gorliwości zależeć będzie nie tylko zbawienie kraju, lecz może nawet życie miłościwie nam panującego Franciszka I.

Braciszkwowie zakonni spojrzeli po sobie z głupimi minami. W mózgach ich nie powstała ani na chwilę wątpliwość w szczerłość słów kardynała, a wobec tego, że walka z młodą dziewczyną nie zapowiadała się groźnie, wyprostowali się dumnie w poczuciu pewności bezpieczeństwa osobistego a zarazem ważności powierzanych im funkcji.

– Wróćcie tam, skąd przybywacie – mówił kardynał – i roztoczycie czujność większą niż kiedykolwiek, stosując się do instrukcji jakie wam wydam. Oto dwie sakiewki: zawartość mniejszej przeznaczam na wasze drobne wydatki, większa musi wam posłużyć do przekupienia tej starej... jakże jej tam?...

– Pani, Agadou, wasza eminencjo!

– Właśnie, właśnie. Musicie skruszyć jej opór. Jest to konieczne. Słyszycie?

– Bądź spokojny, eminencjo, to się zrobi.

– Wziąć to! – rzucił kardynał, podając im pękate sakiewki.

Braciszkwowie zakonni rzucili się na swą zdobycz z taką łapczywością, że kardynał nie był w stanie powstrzymać na ten widok uśmiechu.

Nie upłynął kwadrans a dwaj zauszniczy kardynała znaleźli się na moście św. Michała. Rozmawiali po drodze, a z min ich można było wnioskować, że dręczyła ich jakaś troska.

– Sądzę, drogi bracie – wykrzyknął wreszcie brat Lubek, że ta przekłeta pani Agadou, znowu nie zechce ani słuchać o zdradzie..., odrzuci również pękate sakiewkę...

– Tak mi się też zdaje – dodał brat Teobald.

– Będziemy musieli wtedy zwrócić ją kardynałowi, a tym samym przyznać się do naszej porażki.

– Niestety! – jęknął brat Lubek – a wtedy nie unikniemy celi więziennej, w klasztorze...

– O chlebie i wodzie!

Westchnęli żałośnie i zamilkli. Po chwili braciszek Lubek pierwszy przerwał milczenie:

– Nasza porażka i wstyd będzie jednocześnie porażką naszego pana.

– To prawda. Nie zastanowiłem się nad tym.

– Bracie Teobaldzie, nie możemy dopuścić do takiego poniżenia.

– Nie możemy! – przytaknął brat Teobald.

– Jeśli więc ta baba... odmówi...

– Jestem tego pewny! Musimy powiedzieć jego eminencji, że dała się jednak nakłonić...

– A sakiewka, bracie Lubku – a sakiewka?!

– Nie porzucimy biedaczki na pastwę losu i zatrzymamy ją.

– Ależ w ten sposób popełnimy kłamstwo! Podwójne kłamstwo!

– Uratujemy swój honor!

Brat Teobald zamyślił się, po chwili bąknął:

– Hm! Istotnie jest to jedyny sposób uratowania i... zatrzymania biednej, odtraconej przez szlachetną panią Agadou sakiewki.

Kardynał Lotaryngii spacerował po swoim gabinecie powtarzając od czasu do czasu:

– Ta zachwycająca dziewczyna będzie moją!

Po chwili dłuższego rozmyślenia z ust jego padły słowa:

– Król Francji powinien nazywać się Henryk II. To musi się stać jak najprędzej.

IV

ZAKOCHANA PARA

Kawaler de Montauban tymczasem nie opuszczał swego stanowiska przy oknie i wpatrywał się z niestygnącym zapalem w okna kamieniczki na rogu ulic: św. Marcina i Baudrierie.

Langrogne, widząc, że nic na to nie poradzi, postawił pod ścianą stół, usiadł na nim ciężko i dobywszy z kieszeni sakiewkę, pogrążył się w obliczaniu jej zawartości, czyniąc to, mrucał pod nosem.

Kawaler de Montauban obserwował drzwi wejściowe do kamieniczki z naprzeciwka, mniejszą boczną furtkę, a przede wszystkim okno na pierwszym piętrze. Czas płynął, godziny mijały, kawaler denerwował się, gryzł w sobie, nie ruszał się jednak z miejsca.

W swej naiwności młodzieńczej nie przypuszczał, że ta, której ukazania się tak uporczywie wyglądał, obserwowała go potajemnie przez kolorowe szyby, oprawiane w ołów.

Było to zachwycające, siedemnastoletnie dziewczę ubrane w białą wełnianą szatę. Delfin nie przesadził, wychwalając jej wdzięki, nic nie przesadził; najbardziej jednak zachwycające było połączenie wdzięku i dziewczęcej naiwności z dumną odwagą i energią, rozlaną na jej pięknej twarzy.

Młodzi chociaż nie widzieli się wcale jednak odczuwali swą obecność. Dlatego ani jedno nie odchodziło ze swego „posterunku”.

W pewnej chwili de Montauban zauważył przed oberżą kręcących się tu i tam dwóch mniichów. Ich zachowanie zwróciło uwagę de Montauban'a. Zamiast wejść do oberży, wolno chodzili tam i z powrotem, rzucając od czasu do czasu spojrzenia w stronę kamieniczki i okna Polnej Różyczki.

Nieco dalej spacerowało dwóch drabów, ubranych w kaftany ze skóry i płaszcze. Przy boku mieli olbrzymie miecze, a przy pasku ostre sztylety. Wygląd ich spowodował, że de Montauban zaczął im się przyglądać. Oni również zerkali w okno Polnej Różyczki.

Młodzieniec zaniepokoił się i postanowił sprawdzić po co i jak długo tu zostaną. Nie odchodził więc od okna.

V

W OBERŻY „POD ŚLEPĄ SROKĄ”

Przed oberżą „Pod Ślepą Sroką” stał młodzieniec o pięknych oczach, jasnych włosach, a nogach tak małych, jak u kobiety. Miał na sobie bogaty strój haftowany złotem. Na szyi wi- dać było gruby złoty łańcuch, wysadzany drogimi kamieniami. Długie pukle gęstych włosów spływały mu na ramiona, na głowie miał aksamitny beret przybrany pękiem drogich piór, przytwierdzonych egretą – połyskującą tysiącem ogni, zdobiących ją diamentów.

U podnóża ganku stało czterech drabów; wszyscy byli bardzo porządnie ubrani, każdy z nich – uzbrojony od stóp do głów, miny ich były podejrzanie groźne. Najstarszy mógł liczyć sobie przeszło czterdzieści lat, najmłodszy na pewno nie więcej ponad dwadzieścia.

Czterej zabijacy zezowali w kierunku eleganckiego młodzieniaszka, stojącego u szczytu ganku, zupełnie tak, jakby stanowili jego straż przyboczną.

Młodzieniec zaś śledził bacznie każdy ruch dwóch mnichów i obu zauszników de Ville’a. Nie spuszczał również oczu z kamieniczki, zamieszkałej przez Polną Różyczkę. Okno kamie- niczki otworzyło się w końcu i ukazała się w jego obramowaniu głowa starej kobiety; mło- dzieniec dał jej dyskretny znak, na który stara odpowiedziała również znakiem, po czym zni- kła, zamykając okno. Ową kobietą była matka Agadou.

Młodzieniec widząc, że zakonnicy i zbirowie de Ville’a są już zupełnie blisko, otworzył szybko drzwi i wszedł do wielkiej sali oberży.

Za nim ruszyli do wnętrza czterej zawadiacy i znalazłszy się na sali, zajęli stolik położony tuż prawie przy stoliku eleganckiego młodzieńca, który zdawało się, nie zwracał na nich naj- mniejszej uwagi. Jednak, podobnie jak ze starą, porozumiał się z nimi bystrym spojrzeniem.

W tej samej chwili wszedł na salę Montauban trochę błądy, lecz bardzo spokojny i zimny. W chwili gdy stanął przy drzwiach w ten sposób, by nie pozwolić mnichom i dwom zbirom wejść do wnętrza oberży, usłyszał głośne pozdrowienie:

– Mości kawalerze, mam zaszczyt złożyć panu me wyrazy uszanowania.

Słowa te padły z ust wysokiego mężczyzny lat około pięćdziesięciu, ubranego w jaskrawe szaty i krzykliwy czerwony płaszcz, w który drapował się z teatralną godnością i majestatem.

Montauban powściągnął odruch niezadowolenia i odpowiedział bardzo grzecznie:

– Panie de Pontalais, mam zaszczyt powitać pana. Tymi słowami chciał wyminąć jegomo- ścia, pan de Pontalais jednak zawołał donośnym głosem:

– Zrób mi pan ten zaszczyt i napij się ze mną: dziś ja płacę; jestem przy gotówce. Okolicz- ność dosyć rzadka, z której musisz pan skorzystać. – Potem nie dając młodzieńcowi przyjść do słowa zaryczał: – piękny Pączuszk, Wilhelminką zwany, każ podać nam flaszkę Saumu- ru... i to najlepszego... ostudzonego.

– Panie de Pontalais – odezwał się niepewnym tonem Montauban – chętnie dotrzymam panu towarzystwa, muszę jednak wprawdzie powiedzieć parę słów tym dwóm braciszkom za- konnym i tamtej parze drabów.

To mówiąc, wskazał wzrokiem na wchodzących prześladowców Polnej Różyczki.

Widać jego głos zabrzmiał groźnie, Pontalais bowiem zadrżał i spoważniał nagle, spoglądając na tych, o których kawaler do niego mówił.

– A czy mogę, nie popełniając niedyskrecji, zapytać pana, co chcesz im powiedzieć?

– Ot, po prostu – zabrzmiała najspokojniejsza pod słońcem odpowiedź – chcę poprosić ich, aby zechcieli pójść gdzie indziej. Widok ich, pijących tutaj, nie podoba mi się.

– Tam do diabła! – mruknął Pontalais, posepniejąc nagle – a jeśli oni nie zechcą stąd odejść?

– Będę zmuszony wyrzucić ich!

– Rany Boskie! – wykrzyknął Pontalais, po czym dodał półgłosem:

– Zanim jednak pan, to uczynisz, zechciej łaskawie udzielić mi chwili rozmowy.

– Nawet dwie chwile, gdybyś pan sobie tego życzył – odpowiedział Montauban zdziwiony wzruszeniem, z jakim przemawiał do niego dziwaczny gość. – Ostatecznie teraz, kiedy cała godna czwórka usadowiła się już tutaj, nic nie nagli.

– Siadaj więc pan przy mnie, bliżej, aby nikt nie mógł usłyszeć tego, co chcę ci powiedzieć.

Braciszkanie zakonnicy tymczasem ulokowali się przy otwartym oknie, z którego mogli obserwować miejsce zamieszkania Polnej Różyczki. Zbirowie de Ville'a zajęli miejsce przy drugim oknie, które stało również otworem i również wychodziło na kamieniczkę matki Agadou. Tyka przywołał dyskretnie dziewczynę służebną i zamówił butelkę wina, starając się nie ściągać na siebie uwagi gości.

Zakonnicy wprost przeciwnie zaczęli czynić zamówienie głosem donośnym i z wielką paradą:

– Proszę podać jajecznicę ze słoninką, pasztet... i... kurczę... na początek...

– I, cztery flaszki andegaweńskiego wina... aby podniecić pragnienie... a potem... zobaczymy, co będzie dalej...

Widząc niepewną minę pani Wilhelminki, która najwidoczniej żywiła obawy, aby zacni braciszkanie zamiast zapłaty za wszystkie te smakołyki nie zaproponowali jej błogosławieństwa i odpustów, braciszkanie z dumną miną wydobyli na światło dzienne pękata sakiewkę, przy tym nie mniejszą, przeznaczoną przez kardynała „na ich drobne wydatki”, lecz dużą, mającą stać się własnością matki Agadou. Pobrękując złotem, brat Lubek rzekł:

– Uspokójcie się, pani Wilhelminko, mamy czym zapłacić. Na te słowa pani Wilhelminka uśmiechnęła się do hojnych gości najwdzięczniej pod słońcem i oddaliła się, aby wydać służbie odpowiednie rozkazy.

Scena ta ściągnęła na siebie uwagę czterech zabijaków, siedzących w pobliżu strojnego młodzieńca. Dwaj spośród rębaczy zachowali zupełną obojętność; byli to – najstarszy i najmłodszy, lecz we wzroku ich towarzyszy zapłonęły nagle dziwnie niepokojące błyski. Zamienili ze sobą kilka słów:

– Pst! Czerwonoreki! Widziałeś tych klechów, podszytych złotem? He?

– Widziałem, Kozia Bródko! Ich sakiewka kryje w swych wnętrznościach najmniej tysiąc liwrow.

– Dalibóg, ta gotówka czułaby się o wiele lepiej w naszej kieszeni. Co ty na to, Czerwonoreki?

–Klnę się na pępek Belzebuba, mój Kozia Bródko, że te tysiąc liwrow przewędruje do naszych kieszeni!

Rozmawiali ze sobą prawie szeptem, najstarszy jednak z ich grona usłyszał rozmowę i pochylając się w ich stronę, szepnął wskazując wzrokiem na strojnego młodzieńca, siedzącego obok nich:

– Uwaga! Alicja mogłaby was usłyszeć. Wiecie chyba, że ma świetny słuch. Wiadome jest wam również, że nie toleruje ona robienia własnych interesów wtedy, kiedy sama obejmuje kierownictwo nad wyprawą.

Głos łotrzyka brzmiał dziwnym szacunkiem w chwili, kiedy mówiąc o młodym szlachcicu, odzywał się o nim, jakby o kobiecie. We wzroku obu drabów wyczytać można było niepokój i lęk, a przecież w ich atletycznych łapach młodzieniec nie zaważyłby dużo. Upomniany przez starszego łotrzyk odpowiedział mu:

– Dobrze już, dobrze, Urwiłbku, Alicja nie będzie potrzebowała czynić nam wymówek.

– Zajmiemy się długopołymi, gdy nie będzie już nas potrzebowała.

– Radzę, żebyście uczynili tak, jak rzekliście! – powiedział Eustachy Urwiłbek; po chwili dodał:

– Wiecie chyba, że ona ma ciężką rękę.

Czerwonoreki i Kozia Bródka skupili się, jak gdyby uginając się już pod ciosami wyżej wymienionej ciężkiej ręki.

Czwarty łotrzyk najmłodszy, znany pod przydomkiem Białorączka, nic nie widział i nie słyszał, co się działo dokoła niego; zdawało się, że na widok Alicji wpadł w stan zachwycenia i nie spuszczał z niej oczu.

Tymczasem Pontalais zaczął mówić do Montauban'a:

– Mości kawalerze, jakkolwiek jestem tylko poetą i kierownikiem grona teatralnego wesółków z Hal, od chwili naszego poznania traktujesz mnie z uprzejmością, która chwyta mnie za serce. Niejednokrotnie nakarmiłeś mnie pan i napiłeś, jak równego sobie, a podobne uczy w życiu takiego, jak ja, biedaka, są nieraz wielką rzeczą. Toteż oddany jestem panu całą duszą; dlatego chcę dowieść panu teraz jak szczerza jest moja dla pana życzliwość.

Jeszcze bardziej zniżając głos – ciągnął dalej:

– Wspominałeś mi pan przecież, że liczysz ogromnie na poparcie kardynała Lotaryngii, aby móc się dostać pod rozkazy jego brata, sławnego dowódcy – księcia de Guise. Zapewniam pana, że byłby to pierwszy krok do dalszej kariery, która czeka cię na pewno w niedalekiej przyszłości.

– Dzięki za proroctwo! – przerwał mu Montauban ze śmiechem. – Istotnie liczę bardzo na poparcie kardynała.

– Doskonale! A teraz powiedz mi pan, czy naprawdę żywisz zamiar wyrzucenia za drzwi brata Teobalda i brata Lubka jak również tych dwóch drabów: Tyki i Pęcherza?

– Dziękuję za podanie mi ich imion. Otóż powtarzam jeszcze raz, że dotrzymam tego, co powiedziałem.

– Mam nadzieję, że gdy się dowiesz, kim jest ta godna czwórka, poniechasz pan swego zamiaru. Braciszkwowie zakonni, to ślepe narzędzie kardynała Lotaryngii, dzięki któremu, zamierzasz pan ustalić twój los.

– Zaczyna mi się rozjaśniać w głowie. A ci dwaj, jak im tam?... Tyka i Pęcherz... czy to również słudzy kardynała?

– Nie, panie. To zbirowie barona de Ville, o którym opowiadałem już kiedyś panu. Nie wiem czy pan pamięta?...

– Owszem, owszem, panie de Pontalais... Dodał ze złośliwym uśmiechem:

– Pamiętam, że z barona de Ville jest brudny rufian, który ciągnie korzyści z romansu swej żony z delfinem. Jest poza tym dowódcą najemnych zbójców delfina Henryka.

– Dziwny pan masz sposób mówienia o niektórych rzeczach, mój panie!

– Miałbym się mylić?

– Bynajmniej! Cały Paryż zapewnia, że baron jest dowódcą tajnej straży jego miłości, delfina.

– Widzi pan, przybyłem z głuchej prowincji i nie umiem ani mówić pięknych słówek, ani też owijać prawdy w bawełnę. Ale nauczę się tego... nauczę, panie de Pontalais.

– Radzę to panu z całego serca ze względu na całość pańskiej skóry.

– Poprawię się, mości Pontalais, poprawię się na pewno!

– Dzięki Bogu! Teraz rozumiesz pan, jakie głupstwo byłbyś popełnił.

– Rozumiem, mości Pontalais. Zadzierając z braciszkami zakonnymi zadarłbym z kardynałem, moim przyszłym protektorem. Wszczynając kłótnię z Tyką i Pęcherzem naraziłbym się delfinowi Henrykowi, baronowi de Ville i jego zbirom. Istny młot i kowadło!

– Które starłyby cię w proch!

– Drzę... dygoce, mości de Pontalais. Całe szczęście, że zostałem w porę uprzedzony, za co dziękuję z całego serca.

– Dzięki Bogu! – zaśmiał się donośnym głosem Pontalais – wiedziałem, że uprzedzony przeze mnie o niebezpieczeństwie, będziesz miał się na baczności.

– Nie omyliłeś się, toteż udam się w tej chwili do tych czcigodnych osobistości, aby zaskarbić sobie ich względy.

Montauban powstał szybko z miejsca, zmierzając w kierunku dwóch zakonników; Pontalais powiódł za nim wzrokiem, po czym wykrzywił się lekko, mówiąc do siebie w duchu!

– A jednak on posuwa swą ostrożność nieco za daleko. Nigdy bym go o to nie posądził.

Teobald i Lubek popijali winko, czekając na jajecznicę. Służąca przyniosła ją wreszcie – wonną i złocistą. Obaj smakosze zaczęli już poruszać szczękami w przewidywaniu uczyty, pobłyskując oczami i brzęcząc nożem. W chwili gdy jajecznicę stanęła na stole, Montauban podszedł do dziewczki służebnej i chwytając ją za ramię, rzekł:

– Odnieś to z powrotem do kuchni.

Ton, jakim wyrzekł te słowa, był bardzo spokojny, tyle w nim jednak było stanowczości, że bez chwili wahania spełniła rozkaz:

Zdumieni tym, co się stało, braciszkanie, spojrzeli po sobie, nie mogąc wydobyć z siebie głosu, po chwili dopiero zerwali się z miejsca i wykrzyknęli:

– Co to ma znaczyć?

– Co to jest?

Montauban wydobył z kieszeni złotą monetę, położył ją przed mnichami na stole, mówiąc:

– Weźcie to, bracia zakonni i wyprawcie sobie ucztę gdzie indziej.

VI

TEOBALD I LUBEK

Wszystkie spojrzenia zwróciły się w stronę mówiącego. Pontalais nadstawił uważnie uszu. Czerwonoreki i Kozia Bródka łypnęli okiem na błyszczący złoty krążek, leżący na stole, każdy z nich pragnął siłą wzroku znieść go do swej sakiewki. Młodzieniec, którego Eustachy Urwiłbek nazywał Alicją, uśmiechał się wzgardliwie nieco, wpatrując się w Montauban'a ognistym spojrzeniem; z zagadkowego wyrazu jego twarzy trudno by wywnioskować, jakie żywi uczucia względem śmiałka. Nawet Białorączka, otrząsnął się ze swej obojętności i przyglądał się uważnie temu, co się stanie.

Wszyscy bowiem czuli, że coś się musi stać. Wszyscy... prócz Teobalda i Lubka.

Jak dwa rozgniewane koguty wspięli się na palcach i nastroszyli się groźnie. Montauban nie stracił panowania nad sobą. Zwracając się do nich, uchylił kapelusza, a co najważniejsza ofiarował im złotą monetę, która przykuwała do siebie ich wzrok.

Braciszkwowie zakonni, nie odznaczyli się nadmiarem inteligencji. Nie rozumieli tego, że burza huczy nad ich głowami. Widzieli tylko blask złota. Gniew znikł z ich twarzy, ustępując miejsca radosnemu ożywieniu.

– Piękny flandryjski karolus – uśmiechnął się brat Lubek. – Oby Bóg miłosierny wrócił ci to z nawiązką, mój zacny szlachcicu.

Złota moneta ulotniła się w mgnieniu oka ze stołu; stało się to tak szybko, że brodacz szepnął do towarzysza z zachwytem:

– A to ci dopiero spryciarz z tego klechy! Czerwonoreki jeszcze bardziej zachwycony dodał:

– Niejeden z naszej branży pozazdrościłby mu zręczności.

Tymczasem Teobald zwrócił się do Montaubana z uśmiechem na szerokiej twarzy.

– Napijmy się za twoje zdrowie, mości szlachcicu, nie zmarnujemy ani jednego soua.

Zamilkł i usadowił się spokojnie na dawnym miejscu. Montauban ciągle jeszcze spokojny odpowiedział:

– Zapominasz o tym, mój ojczy, że ofiarowałem wam złoto, pod tym tylko warunkiem, że zużytkujecie je gdzie indziej, nie zaś w tej oberży.

– Dlaczego nie tu? – zdziwił się brat Teobald – tu jest bardzo przyjemny zakład.

Brat Lubek dorzucił, oblizując się łakomie:

– Kuchnia wyśmienita, wino wspaniałe, a pani Wilhelmina przygotowuje jajecznicę tak, jak żadna inna oberżystka.

– Nie przeczę, mimo to jednak, musicie stąd odejść. Czy rozumiesz? Musicie odejść; i to nie zwlekając ani chwili.

W głosie kawalera dały się odczuć pierwsze symptomy zniecierpliwienia. Słuchacze zrozumieli, że coś się zaczyna psuć. Braciszkwowie jednak jeszcze nic nie podejrzewali. Nie zrozumieli również, dlaczego kawaler żądał od nich, aby opuścili oberżę. Nie czuli żadnego niepokoju; młodzieniec był grzeczny, uprzejmy, przypuszczali więc, że łatwo sobie z nim dadzą radę. Robiąc majestatyczną minę rzekli:

– Bardzo nam tu jest dobrze.

– Dlatego też pozostaniemy tu i basta!

– Nie zwracaj nam głowy młodzieńcze.

– Bo zapłacisz za to!

Widocznie jednak cierpliwość Montauban'a wyczerpała się. Gwałtownym ruchem usunął na bok stół, przy którym siedzieli i wskazując na drzwi, rzucił rozkaz:

– Zmiatając stąd! W przeciwnym razie wyrzucę was na ulicę. Głos Montauban'a był tak groźny, że po raz pierwszy zastanowiło ich jego żądanie, nie chcąc jednak zrezygnować ze swych praw gości oberży, zwrócili na mówiącego piorunujące spojrzenie i warknęli:

– Miałbyś odwagę podnieść rękę na duchowną osobę?

– Bądźcie spokojni – zabrzmiała szydercza odpowiedź – umyję sobie potem rękę.

Na sali rozległy się wybuchy śmiechu. Pontalais spojrział na śmiałka z zachwytem i pomyślał:

– A więc to tak pragnie on zaskarbić sobie względy mnichów i kardynała! Na Belzebuba, nie chciałbym znaleźć się w skórze tego zadzierzystego młodzika!

Braciszkwowie obrzucili grono rozbawionych gości gniewnym spojrzeniem, potem łudząc się nadzieją, że onieśmielą go swym wyznaniem, wrzasnęli:

– Czy wiesz, z kim zadzierasza, zuchwalcze?!

– Czy wiesz, że jesteśmy ludźmi zaufania jego eminencji kardynała Lotaryngii, arcybiskupa Lyonu, Reims i Narbonne?

– Biskupa Metz, Verdun, Therdouane, Lucon, Albi, Walencji, Die, Macon, Nantes i Agenu?

- Opata Cluny, Marmoutier, Saint-Quen, Gozze i Fécamp?
- Po raz ostatni zapytuję was – przerwał ich wywody Montauban – czy zechcecie usunąć się dobrowolnie, czy nie? Teobald i Lubek nagle przycichli, nie poniechali jednak obrony.
- Mamy prawo pozostać tu i pozostaniemy.
- Oberża stoi dla wszystkich otworem.

Mimo jednak pozornej pewności siebie zaczęli oglądać się niespokojnie, jakby szukając obrony z zewnątrz. Nikt jednak nie kwapił się z nią.

– Sami chcieliście tego – rzekł spokojnie Montauban. Po tych słowach ręka jego opadła na ramię bliżej stojącego Lubka. Mimo jego potężnych rozmiarów podniósł go jak piórko w powietrze, potem ruszył w stronę otwartego okna, niosąc spasłego braciszka, który szamotał się w żelaznych kleszczach jego ręki. Brat Lubek zawisł w powietrzu między oknem a ulicą. Jakkolwiek parter nie był zbyt wysoki i mnichowi nie groziło żadne niebezpieczeństwo, przerażony nagle napaścią Lubek, jął drzeć się wniebogłosy:

– Napaść! Zbóje! Na pomoc!

– Uspokój się! – rzekł zimnym głosem Montauban, najwyżej przyplacisz swój upór złamaniem nogi lub ręki.

Ironiczny – wesoły błysk oczu mówiącego, mógł być gwarancją, że nie przypuszczał nawet takiego zakończenia przygody.

Widząc, że nic go już nie uratuje, Lubek zamknął oczy i jęknął:

– Święta Mario, Matko Boża, wstaw się za mną grzesznym! Montauban rozwarł zaciśniętą dłoń i Lubek klapnął na ziemię, siadając na swym szerokim pośladku; nie uczynił sobie żadnej innej krzywdy, oprócz potłuczenia. Mimo to jednak ryknął na całe gardło:

– Już nie żyję!

Potem zemdlął ze strachu.

Montauban odwrócił, się od okna z filuternym uśmiechem. Nie widać było po nim najłżejszego zmęczenia. Sala nie mogła opanować swego zachwyty.

– Ależ to prawdziwy Herkules z tego młodzieńca!

Alicja przyglądała się bohaterowi chwili z coraz większą uwagą, oczy jej zapłonęły ogniem sympatii.

Jej świta wybuchła całą gamą okrzyków radości i przekleństw, zakowie i żołnierze klaskali w dłonie. Nawet uszkodzona w tej sprawie piękna Wilhelmina – oberżystka – ukazała w wesołym uśmiechu rząd białych, jak perły, ząbków.

Dwaj zbirowie barona de Ville przyglądali się również tej scenie z niezwykłym zainteresowaniem, a z wyrazu ich twarzy i radosnych grymasów widać było, że są wielce zadowoleni z tego, co się stało. Widocznie jednak, stosując się do wydanych sobie instrukcji, nie chcieli zwracać na siebie uwagi i siedzieli spokojnie na swoim stanowisku pod oknem.

Montauban, nic sobie nie robiąc z zainteresowania, jakie wywołała jego osoba, odwrócił się do Teobalda i rzekł krótko:

– Teraz na ciebie kolej. Wybieraj: drzwi czy okno?! Teobald zdecydował się w jednej chwili i zaczął przemykać między stolikami, sunąc w stronę drzwi. Uciekał trzymając wyciągniętą przed siebie rękę i kiepską łaciną rzucał klątwę na opętanego przez moce szatańskie śmiałka:

– Anathema!... Vade retro!... In infero Satanas! Excomumco!¹

– Montauban, który szedł za nim aż do drzwi, rzucił mu ostatnie ostrzeżenie:

– Jeżeli spotkam was tu kiedy, albo jeśli ujrzę, że włóczycie się pod bramą kamieniczki z naprzeciwka, otrzymacie takie lanie, że ze skóry waszej pozostaną tylko strzępy. A pamiętajcie, że Hoël kawaler de Montauban zawsze dotrzymuje obietnicy.

Słowa te wymiotły brata Teobalda z sali. Wybiegi na ulicę z takim impetem, że poślizgnął się i wpadł jak długi do rynsztoku, skąd nie ruszył się przez jakiś czas, wyobrażając sobie, że

¹ Przeklinam! Wracaj z powrotem! Do piekła, szatanie! Wyklinam!

już nie żyje. Teraz znowu Lubek odzyskał przytomność i zaczął ryczeć, jak zarzynane zwierzę. Teobald przyłączył swój głos do jego głosu, a darli się tak głośno, że zaalarmowali całą ulicę.

Montauban, stojąc w progu oberży, wybuchnął donośnym śmiechem. Wrócił wreszcie na salę, pozostawiając za sobą drzwi otwarte. Ze złośliwym uśmiechem zmierzył w stronę Tyki i Pęcherza.

VII

TYKA I PĘCHERZ

Obaj zaufani barona siedzieli przy stole, popijając korzenne wino. Połączeni wspólnym interesem, pozornie połączeni węzłami przyjaźni w gruncie rzeczy nienawidzili się z całego serca, ubiegając się o względy barona; lęk jednak przed groźnym panem trzymał ich na wodzy; uśmiechali się do siebie żółciowo, trącając się kubkami.

– Za twoje zdrowie, gołąbeczku! – uśmiechał się Tyka – sycząc przez zęby – oby wino stanęło ci kołkiem w gardle, ty nieszczęsny żołdaku!

– Za twoje, mój maleńki! – pisał Pęcherz, życząc w duchu, aby piekło pochłonęło jak najprędzej jego towarzysza.

Dziewka służebna poniosła im oprócz wina posiłek, za który zapłacili z góry, aby móc swobodnie każdej chwili w razie potrzeby opuścić oberżę. Zajadali, aż im się uszy trzęsły i popijali wino. Nie spuszczała oczu z kamieniczki z naprzeciwka, co nie było trudnym zadaniem, mieli ją bowiem tuż przed sobą. Jednocześnie jednak słyszeli i widzieli wszystko, co się działo na sali.

Przygoda braciszków zakonnych przypadła im bardzo do gustu, starali się jednak nie dać tego po sobie poznać.

Nagle ujrzeni Montauban'a zmierzającego w stronę ich stolika. Jakkolwiek zaden z nich dwóch nie był tchórzem, nie chcieli narazić się śmiałkowi, a zimny uśmiech, z jakim na nich spoglądał, dawał dużo do myślenia. Tyka, jako główny wykonawca rozkazów barona, zorientował się szybko w sytuacji i nie chcąc narażać na szwank opinii swojej, ani tym bardziej swego szefa, podniósł się szybko z miejsca, poprawił pasa i rzekł lakonicznie do Pęcherza:

– Chodźmy!

Pęcherz mimo, iż nic nie wiedział i nic prawie nie słyszał, z miny jednak Tyki wywnioskował, że coś musiało się stać. Poszedł więc za przykładem towarzysza.

Obaj ruszyli w kierunku drzwi. Montauban, nie chcąc opuścić sposobności do udzielenia im nauczki, wykrzyknął:

– Zrozumieliście przecież, że nie lubię ani towarzystwa klechów, ani też najemnych szpiegów. Dobrze robicie, że chcecie pójść z dobrej i nieprzymuszonej woli.

– Nie rozumiem słów waćpana – rzekł Tyka, prostując się dumnie.

Po czym dodał:

– Wychodzimy, bo tak się nam podoba... i basta! A jeśli waćpan masz nam coś do powiedzenia, prosimy z nami na ulicę. Tam możemy porozmawiać ze sobą!

Pęcherz, który nic nie słyszał z całej rozmowy, lecz domyślił się jej treści, dorzucił cieniem głosem:

– Nie jesteśmy spokojnymi mnichami, mój panie. Możesz się o tym przekonać, jeśli wola!

– Doskonale. Idę z wami! – zabrzmiała odpowiedź Montaubana. Wszyscy trzej znaleźli się na ganku.

– Tam do diabła! Ten młodzik mógłby śmiało należeć do naszego grona! – mruknął Eustachy Urwilebek.

– Czy widziałeś z jaką miną rozmawiał z tymi policyjnymi muchami?! – dodał Czerwono-ręki.

– Mam wrażenie, że zaleje sadła za skórę tym pacholom wielkiego prefekta – uzupełnił Kozia Bródka.

– To człowiek bez strachu! – szepnął Białorączka.

Montauban pozyskał nagle sympatię całej bandy groźnych włóczęgów, którzy cenili tylko brutalną siłę i czuli w nim buntowniczą duszę.

Jedynie Alicja nie mówiła nic, kiwała jedynie potakująco głową. Jednak widać było, że Montauban interesował tajemniczą kobietę w męskich szatach coraz bardziej, chcąc przyrzeć się zbrojnej rozprawie wstała od stołu i zmierzyła w stronę drzwi.

Cała banda ruszyła za nią.

Za bandą pośpieszył również Pontalais, drapując z teatralną powagą swój jaskrawy płaszcz.

W mgnieniu oka wszyscy znaleźli się przed oberżą, ciekawie otwierając oczy i uszy.

VIII

SZYBKA ROZPRAWA

Tyka i Pęcherz znaleźli się na ulicy. Tyka swoim zwyczajem szedł pierwszy, Pęcherz postępował o parę kroków za nim. Jak zwykle Tyka trzymał głowę lekko zwróconą w tył i szeptem tłumaczył Pęcherzowi, o co chodzi. Pęcherz zaś wyciągał szyję, aby nie opuścić ani słowa.

Najdziwniejszym było to, że wszystko słyszał. Możliwe, że był mniej głuchy, niż udawał. A może mimika Tyki była tak wymowną, że zastąpiła Pęcherzowi słuch.

U stóp ganku siedział piesek, mały pudełek w czarne i białe łaty. Końce łapek miał brunatne. Pyszczyk jego ozdabiała olbrzymie szare wąsiska, a spod gęstych kudełków wyglądały na świat zachwycające ciemnobrązowe, świecące oczy.

Piesek zdawał się czekać na kogoś cierpliwie. Za każdym razem gdy ktoś obcy zbliżał się do niego, piesek warczał głucho, albo uciekał o kilka kroków, wściekle ujadając. Potem wracał na dawne miejsce i znowu pogrążał się w pełnej cierpliwego oczekiwania nieruchomości. Był bardzo czysto utrzymany i tłusty, jak poleć słoniny. Na szyi nie miał obroży, tylko kokieterijną poziomkowej barwy kokardę. Najwidoczniej pan jego kochał go bardzo i pieścił.

Skoro tylko pies ujrzał Tykę, rzucił mu się gwałtownie pod nogi, skomlać radośnie i wywijając zapamiętałe kitą swego ogona, skakał, tarzał się w piasku, na wszelkie sposoby okazując swą radość z powodu odnalezienia swego pana. Trudno bowiem było wątpić w to, że Tyka jest jego panem. Na widok psa w zimnym wzroku straszliwego zabijaka zatliła się nagle iskierka tkliwszego uczucia.

– A więc zechciałeś tu przyjść? Dobrą wybrałeś porę! Oddał się Zou, mój gołąbku! Czekają nas deszcz razów, mógłbyś też przy tym coś oberwać.

Słowa te były wypowiedziane z niezwykłą, jak na takiego brutala łagodnością. Widać było, że ten nieustraszony zabijaka, rębacz i zbir najemny jest gorąco przywiązany do swego psa, drżał o jego bezpieczeństwo.

Montauban zauważył to i rzekł w duchu:

– To dziwne, ten łotr najwyraźniej ma serce; zaczynam mimo woli spoglądać na niego życzliwszym okiem.

Pies tymczasem rozumiejąc, co jego pan do niego mówił, spuścił głowę, wtulił ogon między nogi i lekko skamlać ruszył w drogę powrotną. Mijając Pęcherza warknął głucho i chcąc najwidoczniej okazać mu swą pogardę, przystanął, obwąchał jedną z jego nóg, potem zadarłszy do góry tylną łapkę manifestacyjnie... podlał dolną kończynę niemiłego dlań kompana jego pana, po czym się ulotnił.

Dwaj zbirowie zatrzymali się pod oknami kamieniczki matki Agadou.

Montauban czekał już na spotkanie się z nimi pod jednym z okien, osłoniętych zamkniętymi na mur okiennicami. W chwili gdy kawaler stanął na swym posterunku, okiennica uchyliła się dyskretnie i cichutko, na co nie zwrócił wcale uwagi. Na widok zbirów rzekł ostrym głosem:

– Zakazuję wam – rozumiecie? – zakazuję bywania pod „Ślepą Sroką”. Zakazuję również włóczenia się dookoła tego domu.

– Co jest? – przemówił Tyka – czy bierzesz nas za klechów? Co?

– Nie, tylko przemawiam tak samo jak do nich, znacie bowiem jednakowy zawód... szpiegostwo!...

– Nie jesteśmy jednak takimi, jak oni, tchórzami. My robimy, co nam się podoba, bywamy, gdzie się nam zamarzy... ulica jest publiczną własnością. A jeśli się to panu nie podoba, możemy odpowiedzieć panu tym oto...

Tu wskazał na ciężki miecz, zwisający mu od pasa, aż do samej ziemi.

– A to coś kraje i kłuje.

Montauban kiwnął potakująco głową i bąknął z lodowatym spokojem:

– Nie myślcie, że zechcę kłać moją szpadę skrzyżowaniem jej z bronią takich, jak wy, nicponi?

– Czym więc chcesz pan nauczyć nas rozumu? Może tym cackiem? – zapytał szyderczo Tyka, dotykając dłonią swego sztyletu.

– Bynajmniej! Tylko tym! – odpowiedział Montauban, podsuwając mu pod sam nos zaciśniętą pięść.

Pięść ta była opalona, lecz drobna i kształtna, a co najważniejsze ręce jego były niezwykle starannie wypielęgnowane. Tyka powinien przypomnieć sobie, że tymi delikatnymi rękami wymierzył karę niesfornemu braciszкови Lubkowi, wyrzucając go, jak piórko, za okno. Zapomniał jednak o tym i zaśmiał się głośno:

– Co?... Tymi niewieściami rączkami?

– Wystarczą na was obu, łajdacy!

– A więc, do dzieła! – mruknął Tyka, po czym, zwracając się do Pęcherza, rzekł:

– Daj paniczкови nauczkę, na jaką zasłużył.

Z tymi słowami cofnął się pod ścianę, ustępując pola towarzyszowi i poprzestając na roli widza.

Pęcherz zaśmiał się i zamierzył groźnie pięścią, ciężką jak obuch. Nie zdążył jednak wprowadzić zamiaru swego w czyn, otrzymał bowiem nagły cios w brzuch, zachwiał się na nogach i rozciągnął się jak długi w rynsztoku, tracąc przytomność. To Montauban uprzedził napaść i dzielił olbrzyma głową w brzuch; z błyskawiczną szybkością odwrócił się w stronę Tyki i wyrzucił z całych sił jedną pięść, godząc nią w twarz zbira. Tyka zachwiał się na nogach i wypluł dwa zęby, rycząc głośno:

– Do stu tysięcy diabłów!

Drugi cios został wymierzony w okolice żołądka. Uderzenie to położyło go na ziemię obok Pęcherza. Mały piesek, który siedział na uboczu, zaskomlał żałośnie i podbiegł do swego pana. Rzecz dziwna jednak, nie warknął ani razu na krewkiego nieznajomego; spojrział jedynie z wyrzutem i bólem.

Montauban nie mógł znieść tego wzroku i rzekł łagodnie:

– Uspokój się, wierny przyjacielu, twój pan żyje. Nic mu złego się nie stało. Wkrótce odzyska przytomność.

Piesek, jakby rozumiejąc co do niego mówiono, kiwnął radośnie ogonkiem i szczeknął kilka razy. Wtedy jeszcze bardziej wzruszony Montauban pochylił się i pogłaskał psinę, która w odpowiedzi na tę pieszczotę zaczęła lizać mu ręce.

Kawaler skierował się w stronę ganku oberży.

W chwili gdy odwrócił się do okna plecami, uchylona okiennica zamknęła się cichutko. Zakochany młodzieniec ani się domyślał, że urocza Polna Różyczka, ukryta w pokoju, przyglądała się jego energicznej rozprawie ze zbirami, szepcząc zbieleńcami ze wzruszenia ustami:

– Mój Boże! Wszystko dla mnie! Czuwa nade mną, jest dzielny, śmiały i... kocha mnie! A ja? Nie wiem, czy kocham go również, wiem to tylko, że poza nim nie istnieje dla mnie żaden mężczyzna, i, że, jeśli on nie może być moim mężem, umrę w panińskim stanie.

Wróciła do swej komnatki, nie mogąc otrząsnąć się z myśli o dzielnym nieznajomym. Na próżno wmawiała sobie, że nie powinna marzyć o szlachetnie urodzonym kawalerze Hoëlu de Montauban – głos serca był silniejszy od głosu rozsądku.

Wreszcie z ciężkim westchnieniem podeszła do swego okienka, otworzyła je na oścież i usiadła przy krosienkach, szepcząc do siebie:

– Niech się nacieszy moim widokiem. Zasłużył na to.

Pontalais powitał Montauban'a okrzykiem:

– Na Jupitera! Ładnie zaskarbiasz pan względy osób wpływowych, o których mówiłem ci przed chwilą.

Te pańskie osoby i ich satelici nie podobają mi się. Bądź pan pewny, że nieprędko ujrzemy tu znowu wyrzuconych przeze mnie łajdaków...

Nagle widząc, że okno Polnej Różyczki otworzyło się, urwał w pół zdania i rzekł:

– Wybacz pan, lecz czekają na mnie.

Jak wicher przeleciał przez salę ogólną, przeskakując po parę stopni przebiegł schodami i wpadł do swej izdebki, stając przy oknie ku rozpaczycy Langrogne'a, który zaczął znowu wyśpiewywać gorzkie żale.

Montauban jednak poskromił go wzrokiem, a spojrzenie to było tak gniewne, że reszta słów stanęła wiernemu słudze kołkiem w gardle.

Montauban skupił swą uwagę na cudnym zjawisku, które widział w oknie kamieniczki z naprzeciwka. Piękna dziewczeczka siedziała pochylona nad haftem, zdając się nie widzieć nic i nikogo. Zakochany młodzieniec odznaczał się dziwną nieśmiałością, pomyślał sobie, że jeśli stanie jawnie w swoim oknie może nastraszyć dziewczętko, a wtedy cudna zjawka zniknie mu sprzed oczu. Ukrył się więc za framugą okna, pogrążając się w niemym zachwycie.

Polna Różyczka nie podejrzewała podstępu i nie mogła doczekać się ukazania się swego wielbiciela.

– Może pozostał na ogólnej sali – myślała. – Nie szkodzi, zaczekam... trochę cierpliwości, a ujrzę go!

Montauban ani się domyślał, co się dzieje w sercu jego ukochanej; doznawał tylko uczucia smutnego zdziwienia, że piękna dziewczyna ani razu nie spojrzała w stronę jego okna.

Nie wiedział jeszcze, że najmłodsza i najniewinniejsza nawet niewiasta obdarzona jest wrodzonym darem widzenia tego, na co, zdawało się, wcale nie patrzy.

IX

MATKA AGADOU

Młodzieniec, zwany Alicją i jego banda przyglądali się rozprawie Montauban'a ze zbirami z wielkim zainteresowaniem. Tajemniczy młodzieniec szepnął do siebie:

– To silny i zręczny młodzik. Warto by zbadać, czy również biegły jest w sztuce robienia bronią. Ciekawe, czy ostałby się pod moją szpadą?

Z tymi słowami skinął dyskretnie na Eustachego Urwilebka, który odpowiedział mu lekkim skinieniem głowy. Wtedy tajemniczy rycerzyk ruszył na ulicę spacerowym krokiem i po chwili stał już pod drzwiami kamieniczki matki Agadou, czego pogrążony w konfrontacji Montauban nie zauważył wcale. Zresztą elegancki gość znikł szybko za drzwiami, widać oczekiwano już w kamienicze na jego przybycie i lekkie pukanie do drzwi było umówionym znakiem. W sieni powitała gościa stara, wysoka, chuda kobieta, o żółtej jak kość słoniowa twarzy, latających niespokojnie oczach i o zaciśniętych wargach, osłaniających bezzębną jamę ustną. Była to matka Agadou. Stara ubrana była w czarną, skromną, lecz bardzo czystą suknię. Na widok gościa pochyliła się w niskim ukłonie i szepnęła słodkim głosikiem:

– Pani u mnie?! Cóż za zaszczyt dla mego skromnego domku! Alicja obrzuciła spojrzeniem się i dziwnie harmonijnym, acz niezwykle władcym głosem rzekła gniewnie.

– Nie możesz mówić do mnie panie?! Czy nie widzisz, stara wariatko, że mam na sobie męskie szaty?

– To prawda! Błagam o przebaczenie! Lecz to przyzwyczajenie winne jest temu... panie... panie de Maubert. Zresztą w domu nie ma nikogo... nikt nie może usłyszeć.

– Wszystko jedno, kiedy jestem mężczyzną należy nazywać mnie Janem de Maubert. Pamiętaj o tym.

– Nie zapomnę już o tym, wielmożny panie.

– Dobrze już, dobrze. Prowadź mnie do wnętrza.

Głos dziwnej kobiety brzmiał ostro, drgała w nim niezwykła stanowczość i majestat niemal że królewski.

Matka Agadou stała przed nią pochyłona jak przed ołtarzem; widać było po wyrazie jej twarzy, że pełna jest głuchej trwogi i respektu.

Powiodła gościa na drugie piętro do swego pokoju. Alicja albo też Jan de Maubert – co kto woli – usadowiła się wygodnie w jedynym fotelu, jaki znajdował się w komnatce. Matka Agadou pozostała w pozycji stojącej. Alicja założyła nogę na nogę, potem, bawiąc się przepięknymi pierścieniami, które zdobiły palce jej rąk, rzuciła rozkaz:

– A teraz – mów!

Stara wykrzywiła się żałośnie i jęknęła:

– Ciągłe to samo; braciszkanie zakonni z jednej strony i dwóch zbirów barona de Ville z drugiej strony. Ci czterej zabijacy kręcą się przez cały czas w pobliżu kamieniczki. Węszą i na razie nie wiem o co im chodzi?

– Dobrze. Gdybyś zauważyła coś godnego mej uwagi daj mi znać. Gdzie mnie szukać wiesz. A teraz – dodała wręczając jej sakiewkę – prowadź mnie do Polnej Różyczki, mojej siostry.

Stara skwapliwie wprowadziła kawalera de Maubert do pokoju dziewczyny usuwając się dyskretnie.

X

ALICJA I POLNA RÓŻYCZKA

Polna Różyczka siedziała zamyślona w swej komnatce. Jeszcze raz przeżywała na nowo rozprawę dzielnego nieznanego ze zbirami. Toteż nie słyszała wejścia kawalera de Maubert. Dopiero kiedy delikatnie dotknął jej ramienia otrząsnęła się jakby zbudzona ze snu. Po twarzy dziewczyny przemknął płomień radości. Uściskały się serdecznie.

– Nie mogę przyzwyczać się do ciebie, kiedy widzę te męskie szaty. Do czego ta broń?

– Wiesz dobrze, że nie noszę szpady od parady.

– Tak. Wiele słyszałam o twoich potyczkach. Ale czy jest to potrzebne? Po co tobie znajomość fechtunku?

– Nie mam żadnego mężczyzny w rodzie, a więc matka chciała nauczyć mnie samoobrony.

– Ale, jakże jestem roztargniona! – wykrzyknęła Polna Różyczka – nie zapytałam dotychczas o zdrowie pani de Bagnolet.

– Dziękuję ci, pani de Bagnolet czuje się wyśmienicie! Pani de Bagnolet! Po co ten ceremonialny tytuł? Słuchaj, Polna Różyczko, wyjaśnij mi, czemu mam przypisać twój dziwny chłód w stosunku do nas, które jesteśmy dla ciebie: matką i siostrą? Zasmucasz mnie!

Dziewczyna na widok szczerzego wzruszenia Alicji nie mogła opanować nagłego odruchu, porwała ją za rękę i przyciskając do jej dłoni płonące swe wargi wyrzekła:

– Niech Bóg mnie skaże, jeśli w sercu moim żyje chociaż odrobina innego uczucia, niż szacunek i cześć dla tej, która wychowała mnie, jak córkę. Ciebie kocham również jak najmilszą sercu memu siostrę.

– A więc skąd ten chłód?

– To nie chłód, lecz szacunek.

– Tam do licha, ja również pełna jestem szacunku dla pani Alicji I, mojej matki, jednak...

– Z tobą rzecz się ma zupełnie inaczej, ty jesteś naprawdę jej córką, ja zaś – jestem tylko biedną dziewczyną, którą przygarnęła i wychowała jak córkę. Mimo to jednak nie mogę zapomnieć o przepaści, jaka nas dzieli...

Alicja przyglądała się badawczo mówiącej; ton głosu Polnej Różyczki i wyraz jej twarzy tchnęły szczerością. Alicja wzruszyła ramionami:

– Co z tego, że jesteśmy szlachetnie urodzone? Posiadamy majątek?! Majątek zawsze jest nie do pogardzenia, lecz tytuły?... Czy przywiązywanie do nich wagi nie jest przesadą?! Jeśli jednak nie możesz wyzbyć się tego przesądu, należy przypuszczać, że w żyłach twoich płynie szlachecka krew. Jestem przekonana, że pochodzisz z dobrej rodziny, może nawet z bardzo znanej.

Teraz Polna Różyczka spojrzała badawczo na Alicję i zapytała:

– Czy wiesz coś bliższego?

– Daję słowo, że nie. Wystarczy jednak spojrzeć na ciebie, aby się upewnić, że nie może być inaczej. Nie rozumiem więc twych zastrzeżeń.

– Postaram się zastosować do twojej woli, kochana siostrzyczko – odpowiedziała Polna Różyczka z uśmiechem.

– W tym stroju mogę być dla ciebie tylko bratem – rzekła Alicja wesoło, podnosząc się z miejsca.

– Już odchodzisz?

– Niestety, tak. Wyobraź sobie, że jakkolwiek nie wyglądam na to wcale, jestem najbardziej zapracowanym mężczyzną.

Znowu uściskały się serdecznie, po czym, Polna Różyczka odprowadziła Alicję do drzwi. Już w progu Alicja uderzyła się nagle w czoło i wykrzyknęła:

– Co się dzieje z moją głową? Zapomniałam o najważniejszym. Nasza matka czeka na ciebie jutro w godzinie popołudniowej w Bagnolet.

Polna Różyczka zmieniła się na twarzy i zapytała żywo:

– Może ma dla mnie jakieś nowiny?

– Niestety – nic. Jest jednak niespokojna, gdy nie widzi cię przez dłuższy czas. Nie byłaś u niej już od dwóch dni.

– Na pewno będę jutro.

Czy chcesz, abym ci towarzyszyła dla bezpieczeństwa? – zapytała Alicja z filuternym uśmiechem. Polna Różyczka na ten widok zarumieniła się gwałtownie i wykrzyknęła:

– Ależ to jest zbyteczne!

– Nigdy za nic nie możesz ręczyć! – bąknęła Alicja zagadkowym tonem, spoglądając w kierunku oberży.

Polna Różyczka nie zauważyła tego spojrzenia i zawołała wesoło:

– Do Bagnolet nie jest daleko. Nie wiem, czego miałabym się obawiać. Zresztą nie jestem tchórzliwa. Alicja nie nastawała dłużej:

– Może i masz rację. Zresztą ten, kogo wychowała Alicja I i kto jest siostrą Alicji II – nie może być tchórzem. Z tymi słowami zaczęła schodzić ze schodów mówiąc w duchu:

– Mam nadzieję, że jej wielbiciel będzie ją ochraniać. Ma rację. Ten zuch potrafi to uczynić.

XI

ALICJA PIERWSZA

Matka Agadou tymczasem po wpuszczeniu Alicji do pokoju Polnej Różyczki weszła do swej izdebki, aby w skupieniu ducha przeliczyć ofiarowane jej przez młodą dziewczynę złoto.

Czyniła to z nabożeństwem i rozkoszą. Gdy wreszcie wysokość hojnego daru została ustalona, wysypała pieniądze do ogólnego, skórzanego worka, umieściła go w skrytce i ruszyła na ulicę św. Katarzyny, przy której wylocie wznosił się wspaniały pałac o pięknej architekturze.

Matka Agadou, stanąwszy przed tym pałacem, zapukała nie do olbrzymiej bramy w okalającym pałac murze, lecz do bocznej furtki. Natychmiast po zapukaniu otworzyło się małe okienko w furtce, ktoś wyjrzał dyskretnie, zamienił ze starą parą słów, po czym furtkę otworzono i matka Agadou wślizgnęła się do ogrodu.

Po chwili stała już w niezwykle zbytkownie urządzonej gabinecie. Jakkolwiek, była tu już nie po raz pierwszy, jednak widać było po niej wielkie zmieszanie.

Gdy w progu komnaty ukazała się kobieta, matka Agadou pochyliła się przed nią tak nisko, jak przed świętym obrazem. Kształty ciała miała niezwykle harmonijne, zęby białe, jak perły, złociste gęste włosy były ułożone kunsztownie, słowem była w całej pełni rozkwitu wdzięków.

Twarz jej była arcydziełem sztuki malarskiej. Kobieta ta wyglądała na najwyżej dwadzieścia pięć lat, choć mogła ich mieć nawet czterdzieści. Uśmiech jej ukarminowanych ust był jeszcze młody i świeży.

Mimo zastrzeżeń, jakie można było zrobić, uroda jej sprawiała silne i długotrwałe wrażenie.

Cały jednak jej urok pryskał, gdy się zauważyło jej spojrzenie. Było ono dziwnie niepokojące, zabijało w zarodku rodzącą się w sercu sympatię do właścicielki dziwnych tych oczu. A jednak Alicja I miała wspaniałe oczy.

Czuło się, że gdyby zechciała ona zbudzić oczy swe do życia, trudno byłoby oprzeć się ich potędze. Oczy te jednak były zawsze martwo spokojne i obojętne, tak niewzruszenie zastygłe, jak uśmiech przyrosły do silnie ukarminowanych warg.

Piękna pani strojna była w bogatą jedwabną szatę, dosyć żywą w barwie. Jej pierś, palce, ramiona, szyja, uszy i głowa okryte były drogocennymi kamieniami.

Alicja II bardzo była do niej podobna, różniła się od niej tylko tym, że oczy jej żyły, odbijając wiernie wszystko, co ją otaczało; mimo to jednak podobieństwo było zdumiewające.

Nie było w tym nic dziwnego, piękna pani bowiem była matką Alicji, używającej również imienia Jana de Maubert.

Bawiąc się niedbale wysadzaną drogimi kamieniami rękojeścią miniaturowego sztyletu, wiszącego u pasa jej wspaniałej sukni, rzekła do nisko pochylonej przed nią matki Agadou:

– Wstań, moja droga.

Matka Agadou odważyła się rozprostować nieco kark i spojrzała na Alicję I pełnym niewypowiedzianego zachwytu spojrzeniem i tu jednak widać było również domieszkę głuchej lęku.

Pani de Bagnolet, zapytała starą dziwnie słodkim głosem:

– Czy widziałaś Jana de Maubert?

– Pan Jan de Maubert opuścił przed chwilą mój dom – odpowiedziała stara.

– Jakże otrzymałaś od niego rozkazy?

Matka Agadou bez chwili wahania powtórzyła słowo w słowo wszystko, co usłyszała z ust Alicji.

Pani de Bagnolet słuchała z niezwykłym zainteresowaniem. Nie okazując najlżejszego wzruszenia, z niezmiennym uśmiechem na ustach z zimną obojętnością we wzroku dobyła nagle z pochwy mały sztylecik, którego rękojeść lśniła drogimi kamieniami. Klinga miniaturowego sztyleciku była mocna i ostra, toteż ta niepozorna na pierwszy rzut oka broń mogła stać się w ręku wroga groźną.

Trzymając w ręku sztylet pani de Bagnolet milczała, jakby namyślając się, co ma uczynić, wreszcie tym samym słodkim głosem rzekła:

– A teraz wysłuchaj moich rozkazów i... postaraj się wykonać je ściśle! Słyszysz?! Nie licząc się z tym, że mogą pod pewnymi względami nie zgadzać się z tym, co ci rozkazał Jan de Maubert. Zniżyła głos do szeptu, tłumacząc coś matce Agadou z wielkim ożywieniem.

Stara słuchała jej słów uważnie, musiały one jednak być niezwykle ważne i groźne, twarz starej bowiem z każdą chwilą zieleńiała coraz bardziej, reszta zębów zaczęła szczekać, a w oczach zrodził się wyraz bezgranicznej trwogi.

Gdy pani de Bagnolet skończyła swe przemówienie rzekła, drżąc na całym ciele:

– Stanie się wedle twego rozkazu, wielmożna pani... chciałam jedynie przypomnieć ci, że wielmożny pan Jan de Maubert zagroził mi wydaniem mnie w ręce kata królestwa włóczęgów, jeśli z mojej winy stanie się pannie Polnej Różyczce jakakolwiek krzywda. – Słyszałam to i zapamiętałam – zabrzmiała odpowiedź. Uspokój się, Alicja będzie wiedziała o tym, że wykonałaś mój rozkaz – rozkaz jej matki. Posłuszna z niej i uległa córka, nie pozwoli więc sobie na knąbrność i samowolę. A gdyby nawet sądzone mi było doczekać się buntu z jej strony, nigdy nie zapominałam o tym, że w królestwie Argot ja jestem Alicją I, a ona zajmuje tam zaledwie drugie miejsce. Mamy zresztą nasze prawa, którym muszą podlegać nawet panujący. Gdy zajdzie potrzeba potrafię odwołać się do tych praw.

Ostatnie słowa wyrzekła z dzikim uniesieniem nie licującym zupełnie z jej zwykłą słodyczą; potem nagle uspokoiła się i zakończyła:

– Nie potrzebujemy jednak obawiać się takiej ostateczności. Bogu dzięki, Alicja nigdy nie zapomni o należnym jej matce szacunku, możesz więc ze spokojnym sercem wypełnić to, co ci rozkazałam:

– Stanie się według twojej woli, pani.

Pani de Bagnolet skinęła z zadowoleniem głową, potem wręczając matce Agadou pokazanych rozmiarów sakiewkę rzekła:

– To uspokoi twe skrupuły. A teraz możesz odejść.

Po wyjściu starej megiery poprawiła się w fotelu, opierając się łokciami o jego poręcze i pogрузyła się w długą zadumę. Patrząc na jej zamarłą w stereotypowym uśmiechu twarz, nikt nie mógłby nawet przypuścić, jak okrutne myśli błędziły po jej głowie:

– Jak mogłam nie przewidzieć, że wychowane razem mogą się pokochać! Dzień po dniu wsączałam w serce i mózg Alicji nienawiść do wszystkiego, co nosi imię Noirville'a... Noirville'a... wielkiego prefekta! Gorze mi! Alicja, moja córka, kocha Polną Różyczkę, jak siostrę! Alicja, moja córka staje na drodze mej zemsty, której plany piastuję już od blisko dwudziestu lat... Czyżby wszystko miało mnie zawieść? Co robić? Wypowiedzieć wojnę własnej córce?

Zerwała się gwałtownie z miejsca:

– Nie! Byłby to krok zbyt niebezpieczny! Należy czekać na dalszy bieg wypadków. A jeśli Alicja zacznie nastawać, wyjawię jej, że Polna Różyczka, którą uważa za swą siostrę, jest córką Noirville'a!... mordercy jej ojca!... Kata wszystkich tych, którzy za jego sprawą stali się pariasami i wyrzutkami społeczności. Noirville'a – wściekłego psa, który ściga nas na wszelkie sposoby, który poprzysiągł wytepić wszystkich włóczęgów, żebraków, cyganów, wróżbitów, znachorów, kuglarzy i czarodziejów, słowem cały lud królestwa żebraków i włóczęgów. Tak jest, powiem jej to wszystko, a zobaczymy czy ośmieli się stanąć w obronie Polnej Różyczki... córki Noirville'a... nieprzejednanego naszego wroga!

XII

ZBROJNE STARCIE

Po odprowadzeniu Alicji do drzwi Polna Różyczka wróciła do okna, czyniąc sobie w duchu wyrzuty, że mimo całej troskliwości pani de Bagnolet, mimo wszystkich dobrodziejstw, jakie wyświadczyła biednej znajdzie bez rodziny i mienia, nie mogła przewyciężyć dotychczas uczucia lęku i nieufności, jakiego doznawała zawsze na sam dźwięk jej imienia.

– Byłabym niewdzięcznicą, niezdolną ocenić jej serce dla mnie. Nie! Nie! Ten jej pozorny chłód mrozi mnie i paraliżuje wszelkie żywsze uczucie.

Uspokojona nieco w swym sumieniu wróciła myślami do kawalera de Montauban i spojrzała w okno.

Przestraszyła się na widok zmiany, jaka zaszła w jego wyglądzie.

Stał z założonymi na piersiach rękami, trupio błądy z gorączkowo płonącymi oczami, najwyższym wysiłkiem woli trzymał się na nogach. Nagle odkrycie wytrąciło go z równowagi. Oto elegancki młodzieniec, na którego nie zwrócił prawie nikt uwagi w oberży, znalazł się w komnatce Polnej Różyczki, która powitała go z wybuchem radosnego wzruszenia. Niewątpliwie strojny młodzik był jej narzeczoną... I cóż w tym dziwnego, że go sobie wybrała: młody, przystojny, bogaty?!... Czym był w porównaniu z nim biedak de Montauban, mający za całe mienie, jedynie dobre imię swych przodków?!

Jego pierwsze uczucie otrzymało w tej chwili okropny cios. Mimo wszystko jednak nie usunął się, lecz stał przez cały czas, przyglądając się rozmowie dziewcząt, widział czule pożegnanie Polnej Różyczki z rzekomym narzeczoną, a widok ten zabolął go, jak pchnięcie sztyletu. Postanowił w duchu wyprowadzić się z oberży „Pod Ślepą Sroką”, aby nie ranić serca widokiem młodej dziewczyny, jednak wbrew swemu postanowieniu przysunął się do samego okna. Uczynił to nie tylko dlatego, aby przyjrzeć się swej ukochanej, lecz również dlatego, że ujrzał właśnie na ulicy barona de Ville w towarzystwie kilku swoich zbirów. Montauban zaniepokojony tym widokiem zaczął wmawiać sobie, że rządzi nim jedynie chęć przyjrzenia się, jaką minę zrobi baron na widok swych sług, leżących na ulicy bez przytomności. „A jeśli coś jej będzie groziło, ma narzeczonego, niech on ją broni! Ja umyłam ręce. Kardynał i delfin mogą poczynać, co się im spodoba, ja nie wtrączę się do niczego!”

Polna Różyczka podniósłszy wzrok na Montauban’a przeraziła się jego wyglądem i zapytała go wzrokiem:

– Co się panu stało?

Montauban drgnął radośnie, widząc, że osoba jego interesowała dziewczynę, w tej samej jednak chwili ochłonął i jeszcze większa gorycz zalała mu serce; spiorunował zalotnicę wzrokiem i odwrócił się do niej pogardliwie plecami.

Złożyła błagalnie ręce, nie rozumiejąc, o co chodzi i jęknęła:

– Mój Boże, co ja mu zrobiłam złego?

Przez chwilę zagłębiła się w dociekaniu przyczyny gniewu młodzieńca, nagle zrozumiała... Na usta jej wybiegł radosny uśmiech... Wykrzyknęła w duchu:

– Rozumiem! Widział Alicję w stroju męskim i... jest o mnie zazdrosny... Jakże biedak musi cierpieć! Nie chcę tego! Nie chcę! Żal mi go, a jednocześnie, jakże jestem szczęśliwa!

Znowu spojrzała w jego stronę, on jednak tym razem nie patrzył na nią. Całą uwagę miał skupioną na osobie barona de Ville i na jego zbirach, którym udało się ocucić z omdlenia. Dwaj zausznicy barona opowiadali teraz swą przygodę, a z ruchów barona de Ville, który coraz to odwracał się w jego stronę, rozumiał, że o nim była mowa. Nie ruszył się jednak od okna, mrużąc gniewnie:

– Niech mi wyprują flaki, jeśli ruszę się stąd bodaj krokiem!

Polna Różyczka, promienna radością, zapomniała o całym świecie: o zachowaniu jakiegokolwiek ostrożności, o ludzkiej obmowie i tym, że pierwsza rozpoczynała rozmowę z nieznanym zupełnie człowiekiem, nie namyślając się i nie rozważając swego kroku, wychyliła się przez okno i wykrzyknęła:

– To mój brat!

W tej samej chwili Montauban cofnął się gwałtownie od okna i wybiegł na schody. Zakochana dziewczyna jęknęła:

– Nie słyszał mnie!

Nie słyszał jej istotnie; zbiegając schodami rozumował:

– Wprawdzie postanowiłem nie wtrącać się do spraw tej zalotnej panny, lecz nie życzę sobie, aby ten rufian de Ville prowokował mnie głupimi swymi minami. Rozprawię się z nim nie w jej, lecz w swoim imieniu.

Okłamywał się podświadomie, całe bowiem jego wystąpienie miało jedynie na celu bezpieczeństwo ukochanej. Nad jej głową zaś istotnie jęły gromadzić się groźne chmury: z jednej strony piecił się de Ville z Tyką i Pęcherzem oraz kilku jeszcze zbirami; do ich groźnych pomruków przyłączyły się ryki i zawodzenia dwóch braciszków zakonnych; Alicja i jej satelici znikli zupełnie z horyzontu.

Skoro tylko Montauban wyskoczył na ulicę, braciszki zakonni jęli drzeć się wniebogłosy:

– To on! To przeklęty Montauban! Baron de Ville zwrócił się gwałtownie w stronę młodzieńca i warknął gniewnie:

– Czy to pan jesteś kawalerem de Montauban?

– Tak jest, to ja! – zabrzmiała zimno – lakoniczna odpowiedź.

– To pan poturbował tych skromnych zakonników i dwóch moich ludzi?

– To ja ukarałem ich, jedni i drudzy zasłużyli na nauczkę. Baron de Ville błysnął nienawistnym wzrokiem, zrobił ruch, jakby chcąc się rzucić na śmiałka, pohamował się jednak i ciągnął dalej spokojnym pozornie głosem:

– To waćpan zakazałeś im wstępu do tej oberży, a nawet spaceru po ulicy w tej okolicy?

– Ja! Posuwam swe zuchwalstwo jeszcze dalej, zakazując panu również.

– Ty! Zakazywać mnie? – wrzasnął de Ville wyprowadzony z równowagi spokojem kawalera.

– Tak, ja – zakazuję panu wałęsać się koło tego domu; proszę również o łaskawe usunięcie się stąd wraz z pańskimi akolitami, którzy pożerają mnie wzrokiem tak, jakby nigdy w życiu nie mieli sposobności oglądania twarzy uczciwego człowieka.

Baron de Ville poskromił wysiłkiem woli nurtujący go gniew i zwrócił się do Montauban'a z ironicznym pytaniem:

– Czyżby? A czy wiesz waćpan do kogo się zwracasz w tak zuchwałym tonie?

– Wiem – odpowiedział Montauban. Podszedł do barona zupełnie blisko i rzucił przez zęby, chłuszcząc go zimnym szyderstwem:

– Jesteś pan baronem de Ville, przełożonym szpiegów i najemnych zbirów delfina.

– Szatanie! – syknął de Ville.
– Wyrozumiałym mężem pani de Savigny, faworyty delfina! – ciągnął dalej bez przerwy Montauban.

– Zuchwalcze, pohamuj się, bo mogę wtłoczyć ci w gardło twe niecne słowa, ty – włóczęgo!
Władczym skinieniem ręki powstrzymał bandę zbirów, którzy chcieli rzucić się na śmiałka i wykrzyknął:

– Stać w miejscu! Ten człowiek należy do mnie! Poskromieni łotrzykowie otoczyli Montauban'a, tworząc żelazny pierścień. Tyka mruknął pod nosem:

– Jeśli ten kawaler również dobrze włada bronią, jak pięścią, nie dałbym jednego liwra za skórę barona. Tymczasem de Ville przyskoczył do kawalera, wołając:

– Muszę ci wypruć flaki i oddać je psom na pożarcie! Ty nędzny żebraku!

– Najnędzniejszy żebrak jest jeszcze tysiąc razy więcej wart od ciebie, wstrętny rufinie! – odpowiedział Montauban, dobywając szpady.

Szczęknęła broń; de Ville, jako dobry rębacz, ocenił w mgnieniu oka zalety swego przeciwnika i odzyskując panowanie nad sobą, jął szydzić na zimno:

– Podziękuj mi, że pragnę przebić ci szpadą serce, w przeciwnym bowiem razie nie minie cię szubienica. Z tymi słowami zrobił niezwykle zręczny wypad. Montauban odparował atak i bąknął lekko:

– Aby dowodzić tymi łotrami należało upatrzyć sobie utytułowanego rufina. Wybór zatrzymał się na tobie. Trudno było wybrać lepiej.

De Ville zaczął stosować najbardziej zawile metody ataku, żadna z nich jednak nie zaskoczyła zniecałkowanego Montauban'a. De Ville przekonał się nieco za późno, że ma do czynienia z nie lada przeciwnikiem. Już nie podniecał go ostrymi słowami, zaciskając szczęki skupił całą swą uwagę.

Montauban z kolei zagaił rozmowę.

– Wiesz, co mnie najbardziej dziwi. Oto okoliczność, że nie jesteś napiętnowany. Nie rozumiesz mnie? A wiesz przecież, że zbrodniarzy, skazanych na galery, piętnuje się rozpalonym żelazem.

– Broń się! – warknął de Ville.

– Czynię to – odpowiedział z flegmą Montauban. Najwidoczniej zapomniano o napiętnowaniu cię. Ja naprawię ten błąd. Pilnuj się, zabieram się do roboty. A więc, najpierw policzek prawy!

Po kilku krótkich rzutach szpadą Montauban z błyskawiczną szybkością wyciągnął ramię, w tej chwili de Ville ryknął, jak ranne zwierzę. Z prawego policzka barona spłynęła struga krwi.

– Teraz policzek lewy! – zabrzmiał spokojny głos Montauban'a i znowu wystąpienie jego zakończyło się raną w lewy policzek. Nie zmieniając lodowatego tonu zuchwały młodzik ciągnął dalej – teraz ubiorę cię w czerwone rękawice. Ponosisz rękę na temblaku przez tydzień.

I znowu nastąpił szereg błyskawicznych ruchów szpadą, potem jakby uderzeniem batem i koniec szpady Montauban'a ugodził de Ville'a w samą nasadę dłoni; kurczowo zaciśnięte dokoła rękojęści palce omdlały, wypuszczając broń.

Montauban uklonił się szpadą z kurtuazją i rzekł:

– Jeśli się to panu na coś przyda, możesz pan przyjąć do wiadomości, że lekcji fechtunku udzielał mi pan de Pardaillan. Jeśli spotkasz się pan z nim kiedy, poproś go, aby ci nie odmówił swych wskazówek, będą bardzo cenne. No, tymczasem, mój panie, znikaj stąd czym prędzej, uprzedzam bowiem, że nie grzeszę nadmiarem cierpliwości.

Liczył na uczciwość przeciwnika, był pewien, że sprawa z de Ville'm już jest całkowicie wyczerpana. De Ville jednak nie mógł mu darować tego, że go poniżył w oczach jego podwładnych. Toteż chcąc zemścić się za porażkę, zwrócił się do swej bandy i nieludzkim z gniewu głosem rzucił rozkaz:

– Huzia! Zabierzcie się do tego przeklętego włóczęgi!

– Widząc, że cała siódemka, w ich liczbie Tyka i Pęcherz rzucili się na niego, pewny swej sprawy jął wołać:

– Brać go żywcem! Chcę pogрузić sztylet mój w jego sercu!

Cała banda rzuciła się na młodzieńca z ogłuszającym krzykiem i nawoływaniem.

Ulica św. Marcina rozbrzmiała dzikim wrzaskiem, do którego przyłączyło się wściekle szczekanie pieska imć pana Pęcherza.

Montauban nie uląkł się napaści. Jednym susem znalazł się przy głównych wrotach, wiodących do domu matki Agadou. Osłaniając sobie tym sposobem tyły puścił w ruch swoją szpadę, tocząc nią dokoła i czyniąc niesamowicie szybkie młyńce. Donośnym głosem wyrzucał przy tym z piersi okrzyki wojenne – zawołanie swego rodu:

– Montauban! Hoël de Montauban!

Okrzyk ten doleciał do uszu Polnej Różyczki, która wychyliła się przez okno a na widok tego, co się święciło, wykrzyknęła drżąc z trwogi:

– Najświętsza Panno, oni go zabiją!

Stanęła w miejscu, jak skamieniała, wpatrując się szeroko otwartymi oczami w tłoczących się pod jej balkonem ludzi.

Krzyk dziewczęcia doleciał do uszu Langrogne’a, który wyrwany z posepnej zadumy, wyjrzał oknem na chwilę, po czym cofnął się gwałtownie, blednąc jak ściana. Mruknął gniewnie pod nosem:

– Tam do diabła, oby to nie był ostatni czyn bohaterski kawalera! Niech mnie diabli porwą, jeśli ujdzie cało z tej bójki!

Okrzyk przerażonego dziewczęcia zwrócił na ciebie również uwagę Pontalais’go, który siedział teraz spokojnie na ogólnej sali, popijając wino.

– Znowu ten szalony młodzik – mruknął pod wąsem. – Ależ to zawadiaka, jakich mało! I ja go posądzilem o tchórzostwo!

Montauban po wydaniu okrzyku bitewnego, czując potrzebę dokuczenia wrogowi, jął smagać barona szyderczymi słowy:

– Hej, de Ville’u, rufianie, tchórze, łajdaku, drogo zapłacisz za twą przewrotność i podstęp!

Na co de Ville odpowiedział, pieniąc się z gniewu:

– Brać go! Związać i zanieść do mego pałacu! Tylko nie zabijać! Byłbym niepokieszony, nie mogąc uczynić z niego podarku dla kata!

Stosując się do wydanego sobie rozkazu zbirowie walczyli z Montauban’em, starając się wytrącić mu broń z ręki, lecz oszczędzając jego życie.

Nagle napadnięty wyrzucił naprzód ramię i rąbnął na prawo i na lewo. Rozległy się niezwłocznie dwa głuche okrzyki i dwaj napastnicy padli na ziemię, zraszając ją krwią swoją.

– Hej! Nicponie! Wy dwaj nie wydacie już mnie na pewno w ręce przysięgłego kata – twego pana!

Okrzyki wściekłości zagłuszyły jego głos, pięciu pozostałych zbirów zwarło dokoła niego żelazny pierścień, brzęcząc jak jadowite muchy. Nie rwali się z dawnym impetem do walki. Nieco za późno stwierdzili, że mają do czynienia z niezwykle zręcznym i silnym przeciwnikiem.

I znowu Montauban wyciągnął ramię, i znowu dwóch napastników nakryło się nogami.

Montauban w mgnieniu oka pozbył się czterech wrogów. Sam wyszedł zupełnie obronną ręką z potyczki. Dla wszystkich stało się jasne, że pozostała trójka, czeka ten sam los, co ich poprzedników. Toteż Tyka, jeden z pozostałych, szepnął z zabobonnym strachem:

– Gorze nam! To nie jest człowiek! To szatan... szatan w ludzkim ciele!

Pęcherz również niespokojnie rozglądał się dokoła, jakby szukając wzrokiem pomocy. Gdyby nie obecność ich pana; wszyscy trzej chętnie wzięliby nogi za pas.

Montauban zrozumiał sytuację i zaśmiał się szyderczo:

– Podzielcie los waszych towarzyszy! Toteż najmądrzej uczynicie zmiatając stąd!

Chętnie usłuchaliby jego rady, lecz obecność barona uniemożliwiała im wykonanie tej decyzji.

Baron niemniej był zdumiony od nich. Spoglądając na wyczyny Montauban'a, mówił do siebie:
– Kto to jest – ów Montauban? Do czyjej partii należy? Czy to przypadkiem nie stronnik Karola Orleańskiego?

Zgrzytnąwszy gniewnie zębami rozmyślał dalej:

– Zresztą to nieważne! Najważniejsze jest to, że musi on zginąć, w przeciwnym razie moja opinia ucierpi. Lecz z takim drabem nigdy za wiele ostrożności!

Dobył z kieszeni mały gwizdek i gwizdnął przeraźliwie.

Na sygnał ten dziesięciu żołnierzy stojących po obu stronach ulicy św. Marcina, nadbiegło pędem, szczękając bronią i tupiąc głośno.

W mgnieniu oka Montauban znalazł się w obliczu trzynastu przeciwników, uzbrojonych od stóp do głowy i wydających gniewne okrzyki.

Teraz nie wątpił już w to, że nadeszła jego ostatnia godzina. Dziwny uśmiech przewinął mu się po wargach; szepnął do siebie:

– Tym lepiej! Co mi po życiu bez niej?! Wobec tego, że ona kocha innego, mogę zginąć. Muszę jednak zejść z tego świata z honorem i w licznym towarzystwie.

Nie namyślając się długo rzucił się do ataku; jego ciężka szpada jęła zataczać w powietrzu koła, gwizdząc, kłując i mordując. I znowu trzech przeciwników obsunęło się na ziemię.

– Nie potrafisz nawet wybrać zręcznych zbirów – zawołał, zwracając się w stronę de Ville'a, który pinił się ze złości, że odniesione w pojedynku rany zmuszały go do trzymania się na uboczu w charakterze obojętnego widza.

– Oberwał! Oberwał – ryknęli nagle zbirowie.

Nie omylili się; teraz kawaler również otrzymał lekkie draśnięcie: piękny jego nowy kaftan został w kilku miejscach rozdarty i splamiony krwią. Mimo to nie przestawał szydzić:

– Nic to! Ukłucia igłą! Fraszka! Moje pieścizoty są dotkliwsze. Znowu zaatakował i znowu dwóch napastników padło na ziemię, aby już więcej nie powstać.

– Dziewięć sztuk! – wykrzyknął donośnym jak dźwięk fanfary głosem.

I znowu wraza broń rozdarła w kilku miejscach materię jego kaftana, raniąc lekko kawalera. Patrząc na ośmiu przeciwników jeszcze zdolnych do walki pomyślał:

– Jeszcze paru rannych i zabitych, a potem ja z kolei udam się w podróż do nieznannej krainy, z której nie ma powrotu.

XIII

KONIEC POTYCZKI

Nagle drgnął i uczył przebłysk nadziei. Bo oto dwaj zbirowie, najenergiczniej nacierający na niego, runęli nagle na wznak z przedśmiertnym charkotem, a stało się to nie za jego sprawą. Ktoś pośpieszył mu z pomocą atakując wroga od tyłu.

Byli to: Langrogne, wierny sługa i poeta Pantalais.

Rozpacz Langrogne'a na widok niebezpieczeństwa, jakie groziło jego panu, nie trwała długo; w jednej chwili otrząsnął się z przygnębienia i postanowił działać. Dobywając swój olbrzymi miecz z pochwy, wypadł jak burza na schody.

Pontalais namyślał się nieco dłużej; mrucał pod nosem, ociągał się, w końcu jednak powziął decyzję i zarzucając połę swego szkarłatnego płaszcza na ramię, przewracając straszliwie oczami, zbiegł ze schodów ganku w tej samej chwili, kiedy Langrogne wypadł na ulicę, aby przyjść swemu panu z pomocą.

Nie zauważeni przez nikogo zakradli się na tyły oddziałku napastników.

Wtedy Langrogne z okrzykiem:

– Montauban! Hoël de Montauban! – zdzielił rękojęścią swego rapieru jednego z wrogów po głowie. Wróg padł na ziemię, jak kłoda.

Pontalais nie krzyczał; rzekłbyś, że ruszył do walki wbrew swojej woli, tak zrzędlawie mamrotał pod nosem:

– Za dużo ich, stanowczo za dużo! Niech się dzieje, co chce, nie mogę pozostać obojętnym na to, że te draby chcą ubić tego nieostrożnego, choć niezwykle dzielnego młodzieńca! Z tymi słowy powalił również jednego z przeciwników. Widząc, że są atakowani od tyłu, najemni zbirowie de Ville’a odwrócili się nagle w stronę napastników. Montauban skorzystał z dywersji i używając rękojęści swjej szpady, jak obucha, zdzielił nim jednego z nieostrożnych łotrzyków, uwijających się dokoła niego. Jednocześnie zawołał:

– Mój poczciwy Langrogne! Drogi panie...

– A bodaj ci język spuchł, ty gaduło! – przerwał mu Pontalais – chcesz koniecznie wyśpiewać przed tymi łajdakami, jak się nazywam?

Rozgniewany – celnym uderzeniem pięści powalił jeszcze jednego przeciwnika. Montauban i Langrogne nie omieszkali pójść za jego przykładem.

Z całej bandy de Ville’a pozostało już tylko dwóch ludzi. Na ten widok baron szalał po prostu z rozpacz. Rozjuszony gniewem Montauban przyskoczył do dwu niedobitków i wpił się rozczapierzonymi jak krogulcze pazury palcami w ich szyje. Mało brakowało, a byłby ich udusił. Nagle mały pudełek, siedzący spokojnie na uboczu, zerwał się ze swego miejsca i przyskakując do kawalera, jał kręcić się dokoła niego, wydając żalony skowyt. Montauban spojrział na psa i poznał go, jednocześnie zorientował się, kim byli dwaj na pół uduszeni łotrzykowie.

Istotnie Tyka i Pęcherz z twarzami nabrzmiętymi krwią, z wywieszonymi językami charczeli straszliwie, nie mogąc ani rusz uwolnić się z żelaznych kleszczy jego rąk.

Montauban pochylił się nieco w stronę psa:

– Biedne zwierzątko, wstawiasz się za swoim panem. Niech tam. Nie chcę odbierać życia temu, kogo ty pokochałeś.

Jakby rozumiejąc, co do niego mówiono – piesek zaszczekał radośnie, Montauban tymczasem uwolnił z żelaznego uścisku rąk dwie swoje ofiary. Był już najwyższy czas po temu, bo obu łotrzykom mało już brakowało, aby się przenieść do imć pana szatana na piwo. Spojrzeli na kawalera nieprzytomnym wzrokiem, w którym powoli zaczęło przebłyskiwać niewymowne zdumienie. Gdy już ochłonęli nieco ze strachu i przyszli jako tako do siebie, Montauban potrząsnął nimi silnie i rzucił im prosto w twarz:

– Wynoście mi się stąd i to nie zwlekając ani chwili, ułaskawiam was!

Wobec tego, że odtrącając ich od siebie pchnął obu przypadkowo zupełnie w kierunku bramy św. Marcina, rzucili się do ucieczki w tym kierunku, tym razem jednak wbrew swemu zwyczajowi nie szli gęsiego, lecz wlekli się środkiem ulicy, potracając się, popychając łokciami i milcząc jak grób.

Piesek przyskoczył do Montauban’a, wywijając radośnie ogonem, jakby chcąc podziękować mu za jego wspaniałomyślność, potem pośpieszył za swoim panem poszczekując radośnie; to biegnąc przy jego boku, odwracał co pewien czas pyszczek w stronę Pęcherza, warcząc groźnie i pokazując mu swe ostre kły.

Teraz Montauban odwrócił wzrok od dwu uciekinierów i zwracając się do de Ville’a, mruknął:

– Możesz odejść!

Wyraz jego twarzy był tak groźny, że baron zrozumiał, iż życie jego trzyma się na włosku, mimo to jednak nie uląkł się młodzieńca, lecz spoglądając mu prosto w oczy, syknął z nienawiścią:

– Spotkamy się jeszcze ze sobą, ty żebraku!

– Idź już, idź sobie, rufianie! – odpowiedział Montauban.

Te wzgardliwe słowa smagnęły dumnego barona, jak uderzenie szpicruty. Pieniąc się ze złości i zgrzytając zębami ruszył z miejsca, lecz znalazłszy się już w pewnym oddaleniu od Montauban'a, odwrócił się i pogroził mu ręką, po czym przyspieszył kroku, zmierzając w tym samym kierunku co Tyka i Pęcherz.

Montauban wzruszył ramionami, zaczął szukać wzrokiem swoich sojuszników, którym zawdzięczał ocalenie. Langrogne stał o parę kroków od niego, przyglądając mu się z wyrazem komicznej rozpaczony na twarzy. Nie mógł jednak dopatrzeć się Pontalais'go.

– Dziękuję ci, mój Langrogne! – rzekł z wielką prostotą.

Langrogne patrzył wciąż na swego pana z rozpaczą i nic nie słyszał, co ten do niego mówił. Wreszcie wyjąkał:

– Ach! Panie, jaka klęska!

– Klęska! – zdziwił się niby, jakby nie rozumiejąc, o co wiernemu słudze chodziło.

– Pański piękny strój! – jęknął Langrogne żałościwie. W jakim on jest stanie, Wielki Boże! Same łachmany!

– Ha! Kupię sobie inny! – zabrzmiała spokojna odpowiedź.

– Kupisz pan nowy! Ależ to właśnie będzie naszą ruiną! – A więc zostanę w tych łachmanach, aby się nie zrujnować.

– A ludzie wezmą pana za włóczęgę, za obywatela królestwa żebraków – jęknął Langrogne. – Nie zezwolę na to nigdy!

– W takim razie nie pozostanie mi nic innego, jak kupić nowe ubranie.

– Tak, tak! Lecz co będzie potem? Z czego będziemy żyć? Ach, panie, po co rozpoczynasz bójkę z tymi łotrami?! Nie wątpię bowiem ani przez chwilę, że to pan dałeś początek całej awanturze. Trzeba oszaleć, aby chcieć walczyć siedmiu przeciw jednemu.

– Z siedemnastoma! – sprostował Montauban.

– Z siedemnastoma?!

– Możesz łatwo sprawdzić: pozostali na poboju, odlicz tylko dwóch łajdaków, którym darowałem życie. Langrogne policzył szybko ciała ludzkie, leżące na bruku i zdumiał się:

– Czyś pan oszalał na dobre! Przecież w tak nierównej walce ryzykowałeś pan nie tylko nowym ubraniem, lecz i własną skórą!

– Nudzisz, mój drogi! Zresztą jeśli uszedłem cało, wam to zawdzięczam: tobie i panu de Pontalais. Jeśli jednak nie przestaniesz zawracać mi głowy narzekaniem, wyrwę ci twój gadatliwy ozór... i basta!

– To nie odnowi panu zniszczonego ubrania!

– Racja, lecz nie będę zmuszony słuchać twych jęków – odpowiedział Montauban, uśmiechając się filuternie. – Ale, ale gdzie się podział pan de Pontalais? Czy to jego widzę hen – przy ulicy St. Merri?

– Tak, panie, to jego szkarłatny płaszcz – mruknął nieco wzgardliwym tonem Langrogne.

– Dlaczego, u diabła, przemyka się on chyłkiem pod murami domów, jak człowiek, który ma coś na sumieniu?! Wieje tak, jakby za nim gonił cały oddział łuczników imć pana prefekta. Nie dam mu się ulotnić, muszę podziękować należycie za przysługę, jaką mi wyświadczył.

Nie słuchając molestowań Langrogne'a, który chciał, aby jego pan zmienił ubranie, Montauban rzucił się w pogoń za Pontalais'em. Mijając kamieniczkę matki Agadou nie mógł powstrzymać się od zerknięcia w kierunku okna „zdrajczyny”. Okno było wciąż jeszcze otwarte,

„zdrajczyń” jednak znikła. Właściwie była bardzo blisko, jakkolwiek oko zakochanego młodzieńca nie mogło jej dojrzeć z ulicy.

Widząc, że nierówna walka zakończyła się mimo wszystko zwycięstwem nieustraszonego śmiałka, padła na kolana, składając dłonie do dziękczynnej modlitwy i wykrzyknęła:

– Ocalony! Ocalony!

Po jej pobladłych policzkach zaczęły spływać łzy radości, a cudne usteczka szeptały:

– Znowu bił się za mnie! W mojej obronie wystąpił przeciw takiej gromadzie wrogów!

Montauban nie podejrzewał tej sceny; po dogonieniu Pontalais’a rzekł doń z niezwykłą uprzejmością:

– Panie de Pontalais, nie mogłem pozwolić na to, abyś odszedł, nie wysłuchawszy słów wdzięczności za wyświadczoną mi przysługę i zachwytu w obliczu pańskiej dzielności i umiejętności władania bronią. Narazając swe życie w obronie życia nieznanego, znamy się bowiem bardzo mało, postąpiłeś pan jak prawdziwy szlachcic.

Pontalais skrzywił się i odparł niechętnym głosem:

– Przede wszystkim dowiedz się pan, że nie jestem szlachcicem. Jestem tylko wędrownym poetą, niczym więcej. Zapamiętaj pan to sobie.

– Niech i tak będzie – uśmiechnął się Montauban – czy chcesz pan jednak, czy nie chcesz, pod płaszczem skromnego poety bije serce wielkiego szlachcica, nie każdy herbowy pan może się poszczycić takim skarbem.

– Po wtóre – ciągnął dalej Pontalais coraz bardziej speszony – zamiast prawić mi komplementy powinieneś mnie obrzucić stekiem obelżywych słów za zbrodnię – słyszysz pan – zbrodnię, jaką popełniłem dla nieznanego prawie człowieka, jak się pan przed chwilą o sobie wyraził.

– Zbrodnię? – zdziwił się Montauban. – Zbrodnię?

– Alboż nie jest zbrodnią – występowanie przeciw delfinowi Francji, dobywanie broni przeciw jego straży przybocznej. Obawiam się, że dwóch padło trupem z mojej ręki. Czy nie jest to zbrodnią?! Zbrodnią, zasługującą na stryczek? Oby niebo zechciało mi wybaczyć ten czyn?

– Zdumiewasz mnie pan tym, co słyszę z twoich ust. A więc to dlatego przemykałeś się pan chyłkiem pod domami?

– Myślę! Nie jestem taki dzielny, jak waćpan i drzę jeszcze o całość mej skóry, nie chcę również dyndać na szubienicy pod Halami. Otóż oświadczam panu, że jakkolwiek jestem poetą i aktorem z zawodu, a więc siłą rzeczy grywam i lubię grywać wszystkie role, jakie mi się nadają, rola wisielca ujęta zbyt realistycznie mierzi mnie niewymownie!

– Gdyby podobne nieszczęście miało spaść na pana, nie przebaczyłbym sobie tego przez cały ciąg mego żywota! – rzekł bardzo poważnie Montauban.

– Co nie uchroniłoby mnie jednak od stryczka! – wtrącił Pontalais.

– Cokolwiek się stanie, muszę powiedzieć panu, panie de Pontalais, że od dziś masz pan we mnie przyjaciela, aż do grobowej deski.

Z tymi słowy Montauban wyciągnął dłoń do Pontalais’go.

Pontalais uścisnął ją serdecznie, po czym rzekł głosem, w którym drgało ukrywane starannie wzruszenie!

– Wierz mi pan, mości de Montauban, że potrafię ocenić ten zaszczyt.

Zaraz jednak dokończył mrukliwym tonem:

– A teraz moje najniższe ukłony! Żegnam waćpana!

– Dokąd się panu tak śpieszy? – zapytał Montauban z uśmiechem.

– Nie gniewaj się pan, ale jawna przyjaźń z takim zawadiaką, jak pan, nie może wyjść na zdrowie takiemu nędzarzowi, jakim ja jestem. Pan szukasz tylko guzów i siniaków, ja muszę przemykać się przez życie, uważając, aby nikomu nie wejść w drogę. Gdyby wyszło na jaw, że byłem pańskim sojusznikiem, byłoby źle ze mną. Toteż szanując pana niezmiernie i życząc

mu jak najlepiej, pozwolę sobie odejść i udać się we wprost przeciwnym, niż pan kierunku. Najniższy sługa i podnózek!

Wymowny artysta uklonił się nisko i odszedł pospiesznie, wymachując długimi rękami.

Montauban zamyślił się:

– Tam do diabła! W tym człowieku żyje jakoby dwoje ludzi: jeden dzielny śmiałek, który pospieszył mi z pomocą, drugi tchórz, drżący na myśl o możliwości zatargu z władzami. Hm! Tchórz... nie tchórz! Zadarłem ni mniej, ni więcej tylko z synem króla... i... z kardynałem Lotaryngii... I o co? O „zdrajczynię”, która kocha innego! Ładna historia! Pan de Pontalais ma słuszość, jestem szaleńcem! Niech mnie diabli porwą!

Zawrócił, jakby ociągając się w kierunku oberży „Pod Ślepą Sroką”, wkrótce jednak podniósł głowę i błysnąwszy okiem, szepnął:

– Wobec tego jednak, że życie bez niej nie ma dla mnie wartości, niech się dzieje, co chce.

XIV

SAKIEWKA

Matka Agadou wróciła do swego domku w kilka chwil po opisanych powyżej wypadkach. Śladem jej włókł się jak cień nędzny żebrak. Widząc, że stanęła w progu swej kamieniczki, poniechał wreszcie śledzenia jej i ruszył w kierunku bramy miejskiej, jakby uważając, że misja jego jest już skończona.

Cała ulica św. Marcina była poruszona tym, co zaszło; z ust do ust biegly wieści o bitwie stoczonej tu pomiędzy jednym szaleńcem a całym oddziałem zbrojnym; kumoszkom nie zamykały się usta, a każdy i każda mówili o kawalerze de Montauban.

Imię to zainteresowało dwu młodych wytwornie ubranych, dumnych panów, którzy ukazywali się w pobliżu domku pani Agadou, nie zwracając wielkiej uwagi na to, co się działo dookoła nich, a dając baczenie jedynie na kamieniczkę, dokoła której zaczęli krążyć.

Byli to: hrabia Jakub d'Albon de St.-André i baron Kajetan de Roncherolles, faworyci del-fina.

Matka Agadou, ciekawa jak każda z jej sąsiadek nie weszła do wnętrza kamieniczki, lecz puszczając w obrót swój język, przyłączyła się do gromady kobiet, radzących nad tym, co się stało.

Nie zwróciła wcale uwagi na hrabiego i barona, oni również widocznie nie znali jej, nie zaszczylicili jej bodaj jednym spojrzeniem.

Stara megiera drgnęła natomiast na widok braciszków zakonnych Teobalda i Lubka, którzy przyglądali się z daleka całej tej scenie w nadziei, że będą mogli upoić się radosnym widokiem pohańbienia wroga. Gdy jednak kawaler oddalił się spokojnie, pozostawiając na polu bitwy zabitych i rannych, przypomnieli sobie o powierzonej im przez kardynała misji.

Brat Lubek rzekł do Teobalda:

– Jeśli nie wypełnimy rozkazu będziemy zhańbieni, nigdy już więcej nie zaufają nam i... fortuna odwróci się od nas na zawsze.

– Deo gracias!² A jednak nikt nam nie dorówna w męstwie i przebiegłości!

– Mimo to jednak możemy łatwo znaleźć się w karceresie klasztornym.

– O chlebie i wodzie!

– Niestety!

– A więc musimy wypełnić powierzona nam misję!

Skierowali się ku domkowi matki Agadou, nagle przystanęli, zdjęci trwogą:

– A jeżeli ten przeklęty kawaler ujrzy nas w pobliżu kamieniczki? Co wtedy?

– Tak jest! Co wtedy?

Przez chwilę milczeli, zdjęci niepewnością.

² Bogu dzięki!

– Mam wyjście! – wykrzyknął nagle brat Lubek. Ty, bracie dawaj baczenie na kamieniczkę i na zacną panią Agadou, ja postaram się dopilnować tego bezbożnika... kawalera z piekła rodem. Gdy go ujrzę, chociaż z daleka...

– Dasz mi znać – dokończył Teobald – wtedy ustąpimy mu miejsca, aby nie narażać naszych czcigodnych pleców na szwank.

Los sprzyjał im w tej chwili, nie upłynęło bowiem wiele czasu, a ujrzeli matkę Agadou.

– Kamracie – szepnął Teobald do Lubka – czy widzisz tę słodką niewiastę?

– Tak jest.

– A czy ten bezbożnik nie kryje się w jakim kącie?

– Nie. Mam dobry wzrok, lecz nigdzie go nie widzę. Może poszedł na drugi brzeg.

– Niech idzie nawet na złamanie karku! A więc jesteśmy w tej chwili panami sytuacji?

– Sądzę, że tak.

Spojrżeli po sobie z uśmiechem.

– A więc możemy zaczepić tę czcigodną kobiecinę? – zapytał Teobald.

– Możemy bez ryzyka! – uśmiechnął się błogo Lubek.

– Zaproponujemy jej pękata sakiewkę...

– A ona odmówi swoim zwyczajem przyjęcia jej; kardynałowi jednak powiemy, że przyjęła hojny jego dar.

– A my wtedy podzielimy się po bratersku zawartością ślicznotki.

– Aby wynagrodzić sobie wszystkie trudy i cierpienia!

Wydobyli z kieszeni pękata sakiewkę, po czym, strojąc twarz we wdzięczny uśmiech, zaczęli posuwać się w stronę matki Agadou.

Megiera, na nich niby nie patrząc, zerknęła ciągle w ich kierunku, toteż odkryła natychmiast w ręku Teobalda sakiewkę. Jej bezzębne usta otworzyły się w ohydny uśmiech, a małe niespokojne oczka zapłonęły ogniem chciwości. Nie dała jednak poznać po sobie radości, lecz obojętna pozornie ruszyła powoli w kierunku ulicy de la Baudrerie.

Braciszkanie zakonni widać zapoznani z wszelakimi dyplomatycznymi fortelami, pośpieszyli za nią. Po długiej dosyć wędrówce stara zatrzymała się na rogu ulicy Neuve-Saint-Merri.

Braciszkanie podeszli do niej, uśmiechając się obleśnie. Brat Teobald trzymał z elegancją w dwóch palcach pękata sakiewkę i miał właśnie rozpocząć szumne przemówienie, gdy stara poplątała mu wszystkie szyki. Przyskakując do braciszka zakonnego, wydarła mu z rąk sakiewkę, kryjąc ją w swej przepastnej kieszeni, potem składając niski ukłon rzekła tajemniczym tonem:

– Panna uda się jutro po południu do Bagnolet. Będzie sama. Wszystko to odbyło się z błyskawiczną szybkością.

Braciszkanie zakonni byli tak zdumieni, że nie wydali ani słowa. Zdumienie ich było tym większe, że ani się obejrżeli, jak stara znikła, a wraz z nią ulotniła się pękata sakiewka.

Spojrżeli po sobie z głupią miną, po czym wybuchnęli gniewem:

– Kto by to mógł przypuścić?

– Kobieta, która zdawała się być wcieleniem uczciwości.

– Której udzielilibyśmy bez wahania rozgrzeszenia nawet bez spowiedzi!

– Oby piekło pochłonęło zdrażczynię!

– Oby sam szatan ugotował ją żywcem we wrzącej smole!

– Stara czarownica okradła nas!

– Wiedźma z piekła rodem zrujnowała nas niecznie!

Ruszyli przed siebie, nie bardzo zdając sobie z tego sprawę, dokąd idą, klnąc i złorzecząc przewrotnej babie i czyniąc sobie wzajemne wymówki:

– To twoja głupota jest przyczyną wszystkiego! – jęczał brat Lubek. – Po co wystawiłeś sakiewkę na pokaz.

- To ty, mój bracie, zapewniałeś mnie, że odmówi przyjęcia jej!
- Łzesz, jak pies, bracie Teobaldzie!
- Alboż nie uprzedzałem cię, bracie Lubku, że może się namyśleć?
- Śniło ci się chyba!

Tak kłócąc się ze sobą znaleźli się na ulicy Tailla–Pain, zamieszkałej przez dziewczęta lekkich obyczajów i najpodlejszego autoramentu złodziejasków. Na razie pozostawiono ich w spokoju, wiadomo było bowiem, że zakonnicy nie śmierdzą groszem. Nieszczęście jednak chciało, że w pobliżu kościoła Saint–Merri natknęli się na Czerwonorękiego i na Kozia Bródkę. Pełnili oni widocznie jakąś tajemniczą służbę, wyglądali bowiem, jak żołnierze, stojący na warcie. Dwaj łotrzykowie spostrzegli braciszków zakonnych wychodzących zza rogu ulicy Taille–Pain.

– Patrz, kamracie – mruknął Kozia Bródka – nasi dwaj braciszkwowie z oberży „Pod Ślepą Sroką”.

- Ci bogacze? – zapytał Czerwonoręki.
- Ci sami.

Uśmiechnęli się domyślnie, zawahali się przez chwilę, po czym zdecydowali się nagle:

- Ee... Alicja nie dowie się! Szkoda opuścić sposobność!

Wilczym krokiem ruszyli za braciszkami zakonnymi, trzymając w ręku olbrzymie sztylety. W pewnej chwili zatrzymali nieszczęsne swe ofiary a Czerwonoręki syknął groźnie:

- Sakiewkę... prędko! Ani pary z ust, jeśli nie chcecie zawrzeć znajomości z tym kozikiem!
- Przerażeni braciszkwowie padli na kolana i bijąc się w piersi, jęli powtarzać drżącym głosem:
- Mea culpa! Mea culpa!³

Tymczasem Czerwonoręki przeczesał ich kieszenie, klnąc na czym świat stoi:

- Na pepek Belzebuba! – znalazłem tylko tę nędzną karlicę!

Z tymi słowami pokazał towarzyszowi małą sakiewkę.

- Do stu tysięcy diabłów! – zaklął Kozia Bródka.

Czerwonoręki potrząsnął gwałtownie braciszków za ramiona i wrzasnął:

– Co zrobiliście z pękata sakiewką, którą mieliście w oberży? Gadajcie! Tylko bez wykrętów, bo zapłacicie za to swoją skórą, podle klechy!

- Łaski! To nie była nasza własność! – wybełkotał Teobald, szcękając zębami.

- Łaski! Oddaliśmy ją jej właścicielowi! – dodał Lubek, płacząc jak bóbr.

Dwaj łotrzykowie nie chcieli poniechać poszukiwań i obracali biednymi klechami, jak chłop cepem.

- Zdaje się, że nie mają jej przy sobie naprawdę! – rzekł w końcu Kozia Bródka.

– Ładnie nas urządzili! – jęknął Czerwonoręki, chwytając obie nieszczęśliwe ofiary za kołnierze i popychając je w kierunku ulicy Taille–Pain.

– Precz z naszych oczu! Już was tu nie ma! Trzymać język za zębami, jeśli dbacie o wasz nędzny żywot! – ryknął groźnie.

Nie każąc sobie dwukrotnie powtarzać ostrzeżenia puścili się kłusem przed siebie, wydając głuche jęki.

Czerwonoręki i Kozia Bródka tymczasem wrócili na swe stanowisko pod kościołem. Byli wściekli.

Przystąpili w końcu do podziału łupu:

- Czterdzieści liwrow na pysk! – rzekł Czerwonoręki po przeliczeniu zawartości sakiewki.

– Nie warto było fatygować się! – mruknął Kozia Bródka, chowając do kieszeni swoją część.

- Zwłaszcza, że gdyby dowiedziała się o tym Alicja – dodał Czerwonoręki, drżąc ze strachu.

- Ładne lanie czekałoby nas! – westchnął Kozia Bródka.

- Ba! Zeszliśmy z posterunku tylko na chwilę. Nie dowie się!

³ Moja wina!

- Alicja wie wszystko, widzi wszystko i słyszy wszystko!
- Niech diabli porwą podłych klechów!
- Niech no tylko jeszcze raz wpadną w moje ręce! Będą się mieli z pyszna! – rzekł groźnie Czerwonoreki.

XV

RAPORT

Zgnębieni braciszkuwie zakonni gnali bez określonego celu ulicami, wreszcie zdyszani i ociekający potem zatrzymali się na ulicy Temple. Tu po chwili odpoczynku odzyskali wreszcie mowę.

– Podły dzień! – jęknął ponuro Teobald.

– Trzykroć podły! – odpowiedział Lubek. Najpierw ten szaleniec, kawaler de Montauban z piekła rodem...

– Potem stara megiera...

– W końcu ci dwaj rabusie... oby kat porwał ich jak najprędzej w swe ręce! – dokończył brat Lubek.

Znowu zaczęli się kłócić ze sobą, tym razem jednak kłótnia ich nie trwała zbyt długo, myśl bowiem o tym, co powiedzą kardynałowi, powstrzymała upusty ich wymowy.

Po chwili namysłu ruszyli do swego pana i władcy, a znalazłszy się w jego gabinecie rozpoczęli od słów:

– Wasza eminencjo, pani Agadou zaczyna rezygnować ze swej niezłomności.

– Przyjęła sakiewkę.

– Lecz nie bez wysiłku z naszej strony!

– Wymowa nasza jednak zachwiała jej zasady.

Robili dumne miny, starając się przypisać sobie jak największe zasługi.

Fatyga ich była zupełnie niepotrzebna, kardynał bowiem znał dobrze ludzi i był pewny, że opór starej zostanie wreszcie przełamany. Nie zdradził się z tym jednak i zapytał swych wysłanników:

– Co dała wam w zamian za sakiewkę?

– Bardzo cenną informację, wasza eminencjo.

– Niezwykle doniosłą informację. Oto: szlachetna panna uda się jutro po południu, zupełnie sama... do Bagnolet!

Wiadomość ta zelektryzowała kardynała:

– Do Bagnolet, powiadacie? – zapytał żywo.

Spojrzeli po sobie niepewnie, nie wiedząc czy wiadomość jest zła, czy dobra.

– Tak jest, eminencjo, do Bagnolet – rzekli niepewnym głosem.

– Nie mylicie się?

– Pani Agadou powiedziała wyraźnie: do Bagnolet.

Kardynał powstał z fotela i spacerował nerwowo po gabinecie. Wzruszenie jego wzrastało z każdą chwilą. Zdawało się, zapomniał zupełnie o obecności braciszków. Rozważał w duchu:

– Do Bagnolet? Czyżby rzeczywiście była zamieszana w jakieś intrygi polityczne? A może jest jedną ze stronniczek księcia Orleanu? Kto wie? Kobiety lubią wtrącać się do polityki. Muszę to zbadać! Sam udam się jutro na przeszpiegi i... zbadam sprawę na miejscu.

Usiadł przy biurku i spojrzawszy na Teobalda i Lubka, rzekł:

– Wiadomość, jaką mi przynieśliście, jest istotnie cenna. Sam jadę jutro do Bagnolet, a wy udacie się za mną w pewnym oddaleniu.

Uklonili się uniżenie.

– Co macie mi jeszcze do powiedzenia?

– To już wszystko... a raczej, to jeszcze nie wszystko, wasza eminencjo.

– Mówcie! – rzekł krótko.

Zaczęli opowiadać o swoim spotkaniu z kawalerem de Montauban, przedstawiając go jako największego łotra i zuchwalca.

Kardynał słuchał ich opowieści w milczeniu.

– Na pewno jakiś wielbiciel tej turkawki – pomyślał. Nie pozwolę byle komu zdmuchnąć sobie sprzed nosa taki kasek. Gdy już zaspokoję swój kaprys, może sobie dalej gruchać z nią, jeśli mu to nie zepsuje apetytu. Na razie jednak musi ustąpić mi z drogi.

Po powzięciu tej decyzji rzekł głośno:

– Nie będę zaprzątał sobie głowy tym jegomościem. Uspokójcie się, moi bracia, nie będzie już was niepokoić.

Spojrzeni po sobie z radością w oku, na usta ich wybiegł uśmiech zadowolenia.

– Montauban! Montauban! – powtórzył kardynał, jakby szukając czegoś w swej pamięci. – Znałem kiedyś pewnego bretońskiego kawalera, który nosił to samo nazwisko. Był on podobno potomkiem w prostej linii znakomitego Montauban’a towarzysza broni Bertranda du Guesclin. A może przechwalał się tylko. Wiem tylko, że dzielny był z niego człowiek i zdaje mi się, że wyświadczył mi kiedyś jakąś wielką przysługę! Zresztą, mniejsza z tym, będę miał go na oku. Co jeszcze macie mi do zakomunikowania?

– Pod kamieniczką pani Agadou spotykamy się często z ludźmi barona de Ville’a. Jak mamy się zachować w stosunku do nich?

Kardynał drgnął na tę wieść, zakonnicy jednak nie zauważyli tego. Przełożony ich opanował się w mgnieniu oka i odpowiedział od niechcienia:

– Nie zwracajcie na nich żadnej uwagi! Baron de Ville służy delfinowi, któremu wy służycie również. Najprawdopodobniej są oni wysłani w tym samym co wy celu, nie powinniśmy więc im przeszkadzać.

Zwolnił swych powierników, przypominając im jeszcze raz, aby nie zapomnieli o jutrzejszej wyprawie.

Pochylili się w niskim ukłonie i wysunęli się z gabinetu zgnębieni. Kardynał pogrążony w zadumie nie zauważył ich rzadkich min. Spotkał ich straszny zawód, bo oto znaleźli się na ulicy bez jednego sous’a w kieszeni.

Przez chwilę milczeli, Teobald wreszcie zabrał głos pierwszy.

– Nie dał nam nic!

– Nie! Lecz mógłby odesłać nas do klasztoru. Upięknę nam się mimo wszystko.

– Masz słuszość, lecz co będzie z naszym obiadem, bracie Lubku?

– Bóg pomyśli o swoich sługach, bracie Teobaldzie.

Westchnęli żałośnie.

XVI

NA ULICY ŚW. MARCINA

Wychodząc od Polnej Różyczki Alicja przeszła koło swej straży przybocznej nie zatrzymując się, skinęła tylko dyskretnie w kierunku Eustachego Urwiłebka, który jak można było wnioskować był jej prawą ręką.

Wierni słudzy Alicji zrozumieli widocznie, o co chodziło, nie ruszyli bowiem za nią, podzielili się tylko na dwie grupy, jedna w której był Eustachy i Białorączka, udała się na stanowisko przy ulicy Saint-Julien. Druga – to jest: Czarnoreki i Kozia Bródka odeszli w kierunku Saint-Merri, gdzie dokonali nieco później napadu na braciszków zakonnych.

Alicja ruszyła do bramy św. Marcina. Szła nie spiesząc się, krokiem lekkim i zwinnym od czasu do czasu muskając palcami przyprawione wąsiki. Grając świetnie rolę pięknego młodzieńca nie zapomniała o rzucaniu zabójczych spojrzeń na piękne kobiety, które spotykała na swej drodze. Mężczyzn mierzyła tak zuchwałym wzrokiem, że każdy prawie na widok tak zadzierzystego panka ustępował mu z drogi, nie chcąc narażać się na zbrojne spotkanie.

Pozornie nie zwracając na nic uwagi, faktycznie notowała w swej pamięci wszystko, co się dokoła niej działo. Porozumiewała się również z szeregiem osobistości, zaszytych w tłumie, tajemnymi znakami. Raz był to mieszczanin, spokojnie sterczący przed drzwiami sklepiku, to znowu wyszczekana przekupka lub kwiaciarka, której płacąc z pańską hojnością za bukietek skromnych kwiatków, szeptała kilka słów na ucho; dawała znaki którejsz żebraczce, wędrownemu kramarzowi, poczciwemu mieszcuchowi lub też obdartemu ulicznikowi.

Idąc powoli ulicami miasta znalazła się wreszcie przy Saint-Martin-des-Champs. Tu zatrzymała się na chwilę.

Ujrzała kilkunastu łuczników prefektury, którzy podzieleni na nieliczne grupki rozmawiali ze sobą i żartowali, jakby w oczekiwaniu na coś czy też na kogoś.

Oczy Alicji prześlizgnęły się po łucznikach obojętnie i zatrzymały się na wyniosłej postaci, siedzącej na okrytym zbroją koniu. Jeździec na swym rumaku, stojący bez ruchu na środku ulicy podobny był do olbrzymiego posągu z czarnego brązu. Jeździec był barczysty, jeszcze bardzo krzepki, jedynie włosy i brodę miał mlecznobiałą.

Mógł mieć również dobrze pięćdziesiąt, jak przeszło sześćdziesiąt lat. W chwili kiedy pozostawał w pozycji nieruchomej, ze wzrokiem wbitym w dal, cała jego postać tchnęła tak bezgranicznym smutkiem, że nawet zupełnie obcy ludzie doznawali na jego widok bolesnego uczucia... współczując mimo woli jego milczącej rozpacz. Gdy jednak roztkliwiony osobnik spotkał się z lodowatym spojrzeniem jego stalowych oczu, ukrytych pod krzaczastymi brwiami, współczucie ustępowało miejsca lękowi i chęci ucieczki, aby znaleźć się jak najdalej od tej posepnej osobistości.

Istotnie był to najgroźniejszy dostojnik w całej stolicy – sam pan de Noirville – wielki prefekt policji.

Ojciec Polnej Różyczki.

Tak przynajmniej zapewniała pani Alicja de Bagnolet.

Na widok wielkiego prefekta w oczach Alicji zapalił się posepny ogień... Odruchowo sięgnęła ręką po sztylet i pomyślała z pełną okrucieństwa radością.

– Cierpisz, Noirville'u! Płaczesz w duchu! Cierpliwości, godzina wielkiej zemsty jest już bliska! Wtedy dowiesz się, jak cierpią potępieńcy, skazani na męki piekielne. Krwawe łzy, jakie teraz wylewasz, wydadzą ci się ożywczą rosą w porównaniu ze łzami, jakie będą ci wtedy spływać w głąb serca, ciężkie, jak krople roztopionego ołowiu!

Jakby czując dotyk brzemiennego nienawiścią wzroku Alicji, Noirville obrócił głowę w jej stronę i spojrzał na nią badawczo swymi stalowymi oczami.

Alicja uśmiechnęła się niefrasobliwie i wyminęła posepną postać, prefekt z przyzwyczajenia odprowadził ją spojrzeniem, potem odwrócił się z obojętną miną, nieruchomiejąc znowu w swym niemy ból.

Alicja stanęła wreszcie przy bramie miejskiej. Tu ujrzała prefekta kupców, imię pana Jana Morin'a, wjeżdżającego konno; za nim postępowało dwunastu pieszych łuczników.

Jan Morin ze swą eskortą zatrzymał się na chwilę przed samą bramą. Alicja, niby wiedzioma pustą ciekawością, zbliżyła się do orszaku, a wtedy jeden z łuczników, korzystając z gwaru, jaki panował przy bramie, szepnął jej coś na ucho, na co ona odpowiedziała mu paru krótkimi słowami. Wszystko to odbyło się niezwykle szybko i zreźnie.

Jan Morin i wielki prefekt de Noirville znaleźli się przy sobie i zaczęli rozmawiać półgłosem. Ich świta czekała na rozkazy swych panów. Jeden z łuczników, mimo pozornej obojętności zbliżył się jak tylko mógł najbardziej bez zwracania na siebie uwagi, otwierając jak najszerszej uszy i oczy, aby uchwycić bodaj strzępy rozmowy tych dwu dostojników.

Tłum gapiów otaczał, rzecz oczywista, obydwu orszaki; wśród nich znajdowała się Alicja; stojąc w pierwszym rzędzie wzrokiem porozumiewała się z podsłuchującym rozmowę łuczniakiem, który na migi informował ją o tym, co dało mu się podsłuchać. Czynił to tak zreźnie, że gdyby nawet sam Noirville chciał go obserwować, nie posądziłby go nawet przez chwilę o jakieś konszachty z eleganckim młodzieńcem, zaszytym w tłumie.

Gdy dwaj prefekci skończyli naradę i rozjechali się każdy w swoją stronę, Alicja udała się również w drogę... powrotną. Tym razem jednak odbywała ją w przyspieszonym tempie.

Nie traciła już czasu na tajemnicze porozumiewania się. Raz jeden tylko zaczął ją zebrak, prosząc o jałmużnę nosowym głosem. Był to ten sam, który szedł krok w krok za matką Agadou.

Tuż za Alicją jechał prefekt de Noirville na swym czarnym rumaku, a za prefektem szli miarowym krokiem łucznicy.

XVII

W POGONI ZA MONTAUBAN'EM

Zmierzając w kierunku oberży „Pod Ślepą Sroką” Alicja myślała o Montauban'ie.

Uporczywość, z jaką prześladowało ją wspomnienie o nim, zdziwiła ją.

– Nigdy jeszcze nie interesował mnie tak bardzo żaden mężczyzna – myślała. – Czemu tak się dzieje, że dziś nie mogę się otrząsnąć z wrażenia, jakie ten na mnie wywarł? Wiem już. Myślę o nim, bo jest on wielbicielem Polnej Różyczki, mojej ukochanej siostry! Cóż dziwnego, że myślę o tym, który będzie moim bratem? Na pewno pobiorą się, bo kochają się przecież. Dlaczego się kochają? Polna Różyczka nie ma nic, a jej galant, jak mi się zdaje, ma również wiatr w kieszeni. Lecz pani de Bagnolet moja matka jest dostatecznie bogata, aby ich wywianować.

Na tę myśl wybuchnęła śmiechem.

Śmiech ten jednak zabrzmiał dziwnie fałszywie; przeraziła się:

– Co mi się stało? Jaka mucha mnie ugryzła?

Wzruszyła ramionami i ruszyła w dalszą drogę, mrużąc pod nosem:

– Do diabła z zakochanymi! Nie myślmy o nich!

Łatwiej jednak było to powiedzieć, niż wykonać. Wszystko jakby się zawzięło, aby przypominać jej Montauban'a. A więc, przede wszystkim spotkała Tykę i Pęcherza, którzy ochłonawszy nieco po przygodzie, szli ulicą rozmawiając głośno o kawalerze.

Potem zetknęła się z de Ville'em, który na widok swych satelitów, zbliżył się do nich i wybuchnął złorzeczeniem pod adresem Montauban'a. Słowem nie sposób było nie myśleć o junaku.

Myślała więc o nim ciągle, myślała, jakkolwiek całą siłą woli starała się odrzucić od siebie te myśli.

Minęła się w drodze z Eustachym Urwilebkiem i Białorączką, udała jednak, że ich nie zna, ci z kolei przepuścili ją przed sobą, potem zaś zawrócili z drogi i szli za nią w pewnej odległości, starając się nie stracić jej z oczu.

W dosyć znacznej za nimi odległości wielki prefekt zatrzymał konia i rozmawiał z baronem de Ville'm; oddział łuczników zatrzymał się również, czekając cierpliwie, aż ich dowódca zechce ruszyć w dalszą drogę.

Wreszcie Alicja stanęła przed oberżą „Pod Ślepą Sroką”. Zdecydowanym krokiem weszła po stopniach ganku, zmierzając na ogólną salę.

Tu zaczęła rozglądać się, szukając wzrokiem tego, o kogo jej chodziło.

Zalotna Wilhelmina Pączuszek zbliżyła się szybko do niej i zapytała:

– Kogo szukasz, piękny panie?

Alicja odpowiedziała melodyjnym głosem:

– Kawalera de Montauban. Czy nie mieszka u ciebie, piękna gosposiu?

Wilhelminka, nie mając nic złego na myśli, miała już odpowiedzieć twierdząco, gdy Langrogne, który przypadkiem znalazł się w pobliżu, przerwał jej pospiesznie słowami:

– Kawaler de Montauban tu nie mieszka.

Alicja spojrzała podejrzliwie na mówiącego i zwracając się do oberżystki zapytała imperytynencko:

– Cóż to za dryblas i dlaczego śmie wtrącać się do naszej rozmowy?

– Dryblas wtrąca się do rozmowy, bo ma do tego prawo! – odparował zaczepkę Langrogne. A ma prawo, bo jest masztalerzem pana de Montauban.

Alicja zwróciła się teraz do niego:

– Dlaczego nie powiedziałeś tego od razu?

Spojrzała na niego badawczo:

– A więc zapewniasz, że twój pan tu nie mieszka?

– Zapewniam! – odpowiedział Langrogne, wytrzymując dzielnie jej wzrok.

– Gdzie więc mieszka w tej chwili?

– Przy ulicy św. Jakuba, niedaleko od Saint–Etienne–des–Pres;

– Na drugim krańcu ulicy św. Marcina – podkreśliła Alicja.

– Możliwe! – odpowiedział z naiwną miną Langrogne.

Alicja uśmiechnęła się. Sięgnęła do swej torebki wydobywając garść złota, włożyła je w rękę Langrogne’owi, mówiąc:

– Rzadko kiedy widziałam tak nieudolne kłamstwo... wiem dobrze, że twój pan mieszka tutaj. Rozumiem jednak, że kłamstwo było popełnione w dobrej wierze: miałeś na myśli dobro twego pana. Weź to i nie miej o tę bagatelkę wyrzutów sumienia. Tacy, jak ty, słudzy nigdy nie są zbyt dobrze wynagradzani.

Zachwycony pochwałą i hojnym datkiem Langrogne przełamał się w pół w ukłonie.

– A teraz – rzekła Alicja rozkazującym tonem – powiedz, gdzie mógłbym znaleźć twego pana?

– Daję słowo, jaśnie wielmożny panie – odpowiedział Langrogne, wiem to tylko, że udał się w kierunku mostów. Tam chyba tylko spotkać go pan może. O ile nie poszedł gdzie indziej! – dodał nie bez złośliwości.

– Pójdę więc w stronę rzeki – rzekła Alicja, idąc ku drzwiom – zwłaszcza, że mam w tamtej dzielnicy coś do załatwienia.

Zmierzyła ku drzwiom, odprowadzona przez Langrogne’a, który nie szczędził ukłonów. Już na ganku ośmielił się zadać pytanie:

– Czy wielmożny pan nie zechciałby podać mi swego imienia?...

– To zbędne! – twój pan mnie nie zna. Odeszła, pozostawiając Langrogne’a w osłupieniu.

Po chwili znalazł się znowu na ogólnej sali, gdzie odciągnawszy piękną Wilhelminkę na stronę, zaczął ją strofować za to, że lekkomyślnie chciała wyznać pierwszemu lepszemu nie znanemu nikomu chłystkowi, że kawaler de Montauban jest jej lokatorem.

– Mój pan, jak się obawiam, ściągnął na siebie gniew bardzo potężnych osobistości, które zaczną teraz czynić na niego nielitościwą nagonkę.

– Mój Boże! I to w jakim celu? – spytała oberżystka, blednąc ze strachu.

– Aby go ściąć... chyba, żeby mu pogruchołano kości, jak za dawnych lat! – odpowiedział dumnie Langrogne.

– Jezu Chryste!

– Pani Wilhelminko, a może chce pani tego?

– Co znowu, panie Langrogne!

„Pan Langrogne” przeszył ją badawczym spojrzeniem, a widząc, jak jest wzruszona i drżąca, uśmiechnął się z triumfem. Teraz zaczął mówić jej coś szeptem na ucho, ona zaś słuchała go w skupieniu, kiwając od czasu do czasu potakująco głową. Gdy wreszcie narady zostały ukończone, Langrogne udał się do siebie na poddasze, mrużąc pod nosem:

– Wilhelmina świetnie umie zagrać swą rolę!

Zaczął teraz liczyć złoto, ofiarowane mu przez Alicję – gdy skończył tę czynność, wykrzywił twarz w radosnym uśmiechu i chowając pieniądze do sakiewki, rzekł do siebie:

– Nasz majątek podwoił się w jednej chwili! Na szczudła mojej babki, gdyby takie żniwo zdarzało nam się przynajmniej raz w tygodniu, kawaler nie potrzebowałby szukać sposobów zrobienia majątku. Bylibyśmy już od dawna bogaci.

XVIII

SPOTKANIE

Zbliżając się do Saint–Merri, gdzie tuż przy kościele stali na czatach Czerwonoreki i Kozia Bródka, czekając na to, aż Alicja w przejściu da im jakiś rozkaz, Alicja ujrzała nagle idącego w jej stronę Montauban’a.

On zauważył ją również i poznał natychmiast. Zbladł z gniewu i przygryzł wargi: zazdrość szarpnęła jego sercem, a zazdrość jest i była zawsze złym doradcą.

Był pewny, że widzi przed sobą tego, komu płocze dziewczę „zdrajczyń” oddała swe serce.

Instynktownie uderzył dłonią po rękojeści szpady, w tej samej jednak chwili opanował swe wzruszenie i pomyślał:

– Nie mam prawa wszczynać sporu z wybrańcem jej serca! Niech będzie szczęśliwa!

Mijając Alicję odwrócił głowę w inną stronę, aby jej nie widzieć i nie mieć pokusy. Alicja jednak zaczepiła go sama i składając mu najwytworniejszy z ukłonów, rzekła niezwykle grzecznym tonem:

– Panie, czy mam zaszczyt mówić z kawalerem Hoëlem de Montauban? Pozwól pan, że się przedstawię. Jestem Jan de Maubert, pan na Bagnolet.

Montauban odłonił również głowę i odpowiedział na pozdrowienie nie mniej dworskim ukłonem, potem znieruchomiał, czekając na to, co mu jego domniemany rywal powie.

– Teraz, kiedy znamy się już z imienia, muszę panu wyjaśnić, jaką mam do pana prośbę. Muszę panu powiedzieć, że szaleję po prostu z pragnienia zmierzenia się na szpady z jakimś mistrzem sztuki szermierskiej. Otóż cała ulica św. Marcina mówi dziś o panu, jako o niezrównanym fechtmistrzu. Czy nie zechciałbyś pan wyświadczyć mi tej łaski i skrzyżować swą broń z moją?

Zdumiony Montauban nie okazał tego po sobie – zapytał tylko bardzo spokojnie:

– A więc wyzywasz mnie pan? Nieprawdaż?

– Nie pozwoliłbym sobie na zarzucenie panu kłamstwa! – odpowiedziała Alicja z wdzięcznym uśmiechem.

– Ależ, kawalerze – rzekł de Montauban – nie znamy się, nie uczyniłeś mi pan nic złego? Z jakiej racji mamy się zabijać?

– Chociażby dlatego, żeby stwierdzić, że jesteś pan takim mistrzem, jakim cię okrzyknięto!
– odpowiedziała spokojnie.

Montauban nie mógł wyjść z podziwu; głowił się nad istotnym powodem tego wyzwania i mimo, iż wszystko się w nim burzyło, postanowił nie przyjąć go, aby nie stać się pomimo woli przyczyną łez ukochanej dziewczyny.

Odpowiedział z dworską uprzejmością:

– Jestem zrozpaczony tym, że nie będę mógł przyjąć pańskiej zaszczytnej dla mnie propozycji.

– Pan odmawia? – zapytała ze zdumieniem Alicja.

– Tak jest – stanowczo i bezapelacyjnie – zabrzmiała odpowiedź, po czym blady z wściekłości na siebie samego Montauban, nie mówiąc już więcej ani słowa, ruszył w dalszą drogę.

Pogonił za nim szyderczy śmiech Alicji i nie mniej obelżywe słowa:

– He, he, he! Srogi lew zamienił się w zająca, który zmiata ze skulonymi uszami!

Ten śmiech i te słowa wzburzyły w żyłach Montauban’a krew. Nieprzytomny z gniewu, przyskoczył do Alicji rozedrganymi wargami wybełkotał:

– Kto się ośmiela pomawiać Hoëla de Montauban o tchórzostwo?!

– Ja! – odpowiedziała Alicja ze straszliwym spokojem.

– Jest to niecne łgarstwo! – wrzasnął nie panując już nad sobą.

Po ustach Alicji przewinął się uśmiech zadowolenia. W tej chwili jednak spoważniała, wy dobyty z pochwy rapier błysnął w jej dłoni, a z ust padły słowa:

– Do broni, kawalerze! Do broni, jeśli łaska!

Gniew de Montauban’a znikł nagle bez śladu, szepnął w duchu:

– Niech mnie diabli porwą za moją babską drażliwość! Nie mogłem jednak wytrwać w mym postanowieniu. Musiałem się unieść! Teraz, chcąc nie chcąc, muszę dobyć broń przeciw wielce eleganckiemu imć panu Janowi de Maubert, panu na Bagnolet, któremu mogę zarzucić to chyba, że wygląda jak ruchoma witryna sklepu jubilerskiego.

Wydobył szpadę nie śpiesząc się; Alicja zadowolona, że postawiła na swoim, czekała teraz cierpliwie na rozpoczęcie pojedynku.

Szczęknęła broń; dokoła walczących skupił się tłum żądnych wrażeń gapiów; wśród nich znaleźli się również czterej łotrzykowie, stanowiący straż przyboczną Alicji. Panna de Bagnolet udawała, że nie widzi ich wcale, oni zaś zbliżyli się do niej, gotowi w każdej chwili przyjść jej z pomocą.

Montauban nie wahał się już teraz:

– Sam tego chciałem! Zresztą nic mnie nie zmusza do zabijania go. Ukłuję go tylko w rękę... ona przekona się tym sposobem, że jej galant nie jest w stanie zmierzyć się ze mną.

Po kilku pierwszych wypadach przeciwnicy ocenili się wzajemnie. Alicja próbowała atakować, Montauban bronił się tylko. Nagle zrodziło się w nim pewne podejrzenie, nieuzasadnione co prawda, lecz silne. Wiele dałby za to, żeby móc zadość uczynić swej ciekawości.

Pojedynek dwóch mistrzów był bardzo interesujący. Alicja dokonywała cudów zręczności, Montauban z niezrównanym kunsztem wciąż tylko parował ciosy:

– Muszę przeprosić pana za to – odezwała się wreszcie – że posądziłam cię o tchórzostwo. Sam nie wierzyłem w to nawet przez chwilę. Uważam pana, mości Montauban za dzielnego rycerza!

– A więc, znasz mnie pan, panie de Maubert?

To mówiąc, kawaler de Montauban wbijał się wzrokiem w postać swego przeciwnika. W głowie miał kłębowisko myśli:

– Ależ on jest zupełnie podobny do kobiety! Nie, nie! To niemożliwe! Żadna kobieta nie mogłaby z takim kunsztem władać bronią! A jednak!

– Widziałem pana przy robocie „Pod Slepą Sroką”; podziwiałem pańską siłę; dlatego nie mam wcale zamiaru zabijać pana.

– A jaki masz pan zamiar? – zapytał szyderczym nieco tonem Montauban.

– Chcę jedynie ukłuć pana w rękę.

– Jedynie! – zaśmiał się Montauban. – Przedtem jednak musisz pan nauczyć się prawidłowego trzymania broni. Zbyt nisko opuszczasz koniec szpady... Gdybym tego chciał, mógłbym zranić waćpana w pierś... Uwaga...

Mimo całej swej zręczności Alicja z trudem uniknęła zadrapania, tak błyskawiczny był wypad Montauban'a, którego szpada zatrzymała się jednak w samą porę o parę milimetrów od piersi Alicji, która cofnęła się gwałtownie, zasłaniając się wstydliwie – po kobiecemu.

Montauban rozpromienił się; przerywając walkę, zsalutował szpadą i wykrzyknął w duchu:

– Na Boga! To kobieta! Podejrzewałem, że tak jest! Zdradziła się! Kobieta! Więc nie jest jej narzeczonym!

Zapomniał zupełnie o tym, że ma przed sobą przeciwnika, który mógł go w każdej chwili wyprawić na tamten świat. Alicja jednak walczyła uczciwie. Widząc, że przeciwnik nie myśli o obronie, spuściła również broń. Z dziwnym uśmiechem zapytała go:

– Przed chwilą trzymałeś pan me życie na końcu twej szpady, dlaczego nie zabił mnie pan?

– Nie mam żadnego powodu do nienawidzenia pana, przeciwnie podobasz mi się pan, dlaczego więc miałbym pana zabijać?

Głos jego nabrał miękkich, łagodnych akcentów, takim głosem zwykł był przemawiać do kobiet. Miły uśmiech wypłynął mu na usta.

Alicja spojrzała na mówiącego ze zdumieniem. Takim nie znała go jeszcze, a wzruszenie jakiego doznała w tej chwili, było tak silne, że nie była w stanie uporać się z nim. Zadała sobie w duchu pytanie:

– Dlaczego mnie oszczędził? Czyżby odgadł, że jestem kobietą? Nie, to niemożliwe! Dlaczego jednak spoglądał na mnie tak dziwnym wzrokiem? Dlaczego uśmiecha się tak słodko?

– Wyzwałem pana bez powodu? – rzekła głośno.

– Przecież mogłeś pan chcieć upewnić się czy naprawdę tak władam bronią, jak głosiła fama!

– Natrafiłem na mistrza, silniejszego ode mnie.

Wydało mu się, że w głosie jej słyszy odcień gorczy. Wspaniałomyślnie pocieszył ją:

– Każdy z nas wcześniej lub później może natrafić na silniejszego od siebie. Jutro może mnie to spotkać.

Alicja opanowała już swe dziwne wzruszenie, salutując kawalera bronią, rzekła:

– Cokolwiek dalej się stanie, będę wdzięczny panu przez całe życie. Nie zapomnę twej lekcji nigdy, panie de Montauban.

Z tymi słowami schowała szpadę do pochwy.

W głosie jej usłyszeć można było teraz odcień dziwnego chłodu; toteż Montauban zmarszczył lekko brwi i odpowiedział na ukłon Alicji milczącym ukłonem.

Alicja raz jeszcze pozdrowiła go skinieniem głowy, nie podając mu ręki, odwróciła się do niego plecami i oddaliła się.

XIX

ARESztOWANIE

Montauban był tak zdziwiony nagłym usunięciem się nieznajomej i jej chłodem, że pozostał z bronią w ręku, zapominając schować jej do pochwy. Odprowadził ją wzrokiem, mówiąc w duchu:

– Dziwna kobieta! Zapewnia mnie o swej wdzięczności, a rozstaje się, jak z wrogiem. Kim jest? Jan de Maubert pan na Bagnolet to pewnie przybrane imię! Dlaczego nagle rozgniewała się! Co mogłem uczynić lub powiedzieć takiego, za co by się rozgniewało? Muszę się dowiedzieć!

Nagle usłyszał za plecami okrzyki, odwrócił się, i spotkał się ze smutną rzeczywistością oko w oko.

Tuż za sobą ujrzał imć pana de Noirville i jego łuczników, którzy otaczając kawalera de Montauban zwartym kołem, rozpędzali gapiów, oczyszczając teren. Z chwilą ukazania się prefekta i jego ludzi, przyboczna straż Alicji: Czerwonoreki, Kozia Bródka, Urwilebek i Białościanka znikli, jak kamfora.

Alicja usłyszała za plecami przerażone głosy potrącanego przez łuczników prefektury tłumy, odwróciła się zdjeta ciekawością i, stanęła, jak wryta, rozbłyśniętym okiem wpatrując się w Noirville'a.

W pierwszym rzędzie brutalnie rozpychanych gapiów znajdował się Langrogne. Z wielkim trudem przedostał się na front i znalazł się prawie tuż przy swym panu. Widział pojedynek kawalera z Alicją i nie zdając sobie sprawy z nowego niebezpieczeństwa jakie groziło jego panu, zaczął go monitować:

– Czyś pan naprawdę oszalał?

Montauban poskromił go spojrzeniem. On widział wszystko i zorientował się w sytuacji; widział posępne spojrzenie Noirville'a, złowrogi uśmiech barona de Ville, szepczącego coś na ucho prefektowi, słowem ocenił całą grozę sytuacji i z rozpaczliwą brawurą przygotował się do obrony.

Langrogne z reakcji tłumy i z twarzy kawalera zaczął również coś wyczuwać; tocząc dookoła wściekłym spojrzeniem, sypał przekleństwami, szarpiąc gwałtownie swe sumiaste wąsy.

Nagle dokoła Montauban'a i Langrogne'a utworzyła się pustka.

De Ville po wydaniu instrukcji usunął się na stronę, pozostawiając Noirville'a, który sam już szedł dalej naprzód spokojnym krokiem. Zatrzymując się wreszcie tuż przed kawalerem, uklonił się bardzo grzecznie i zapytał go:

– Czy waćpan jesteś kawalerem de Montauban?

– Mam zaszczyt nosić to nazwisko! – odrzekł de Montauban, odpowiadając na ukłon prefekta i wytrzymując spojrzeniem bardzo zimny wzrok Noirville'a.

Noirville wyciągnął rękę i obojętnym głosem oznajmił:

– W takim razie aresztuję waćpana w imieniu króla jegomości. Zechciej pan wręczyć mi swą szpadę.

– Montauban ma dobrowolnie oddać swą szpadę? Tego nie uczynię. Weź ją pan, jeśli ośmielisz się to uczynić i... jeśli zdołasz.

Z tymi słowami przeciął powietrze ostrzem stali, która błysnęła w słońcu.

Twarz Noirville'a ani drgnęła, wzrok jego pozostał po dawnemu martwy, rzekłbyś, że twarz ta dawno już umarła dla ludzkich uczuć.

– Wymawiasz pan posłuszeństwo? – zapytał.

– Wymawiam! – zabrzmiała lakoniczna odpowiedź.

Noirville spojrział na zuchwalca:

– Młodzieńcze, uświadom to sobie, że reprezentuję w tej chwili osobę króla jegomości.

– Uświadom pan sobie, że ja reprezentuję sławny ród Montauban'ów – odparł kawaler.

– Nie przypuszczam, że masz pan nadzieję poradzić sobie z czterdziestoma łucznikami, którzy są przy moim boku.

– Nie. Pańscy łucznicy na pewno w końcu mnie zabiją, lecz nikt nie ośmieli się powiedzieć, że Montauban oddał szpadę bez walki.

Noirville ani drgnął; kawaler zaś z każdą chwilą zdradzał coraz większe wzruszenie; szpada, którą trzymał w ręku, drgała nerwowo, jakby wyrrywając się niecierpliwie do walki.

– Moi łucznicy nie zabiją waćpana – rzekł Noirville. – Pochwyć ją jedynie, aby przekazać cię przedstawicielom sprawiedliwości, która wyda wyrok.

Noirville wzruszył ramionami i zwracając się do swych ludzi, rzucił rozkaz.

– Brać go!

Usunął się sam na stronę, stając przy de Ville'u, który pożerał kawalera pełnym złośliwej radości wzrokiem.

Pocziwy Langrogne teraz dopiero zrozumiał, co się święci i wykrzyknął z rozpaczą:

– Diabeł chyba pana opętał. Doprowadziłeś do tego, że cię aresztują jak rebelianta z bronią w ręku! Stanowczo skończymy hańbiącą śmiercią na szafocie.

Po tych słowach wydobył z pochwy swój olbrzymi rapier.

Montauban spojrział na niego z filuternym uśmiechem i rzekł z niewinną miną:

– Możesz odejść, mój pocziwy Langrogne, jeśli obleciał cię strach!

– Tak, panie, boję się! Boję się okropnie, bo nie wiem czy diabeł nawet potrafi wydobyć nas z matni, w którą się wpakowaliśmy. Ale to jeszcze nie powód, żebym miał pana opuścić w nieszczęściu! Do stu tysięcy diabłów! Jestem czy nie jestem pańskim masztalerzem?!

– Jesteś nim! Jesteś, mój Langrogne! – uspokoił go Montauban z uśmiechem.

Alicja przyglądając się temu, co się działo, czuła dziwny niepokój. W mózgu jej zrodziło się pytanie:

– Mam pozwolić, aby go zamordowano na moich oczach? Rozejrzała się za swoją strażą przyboczną, niezdecydowana i wzruszona spotkała się nagle wzrokiem z Montauban'em, w którego wzroku zdawało jej się, że czyta cięń wyrzutu. Szepnęła w duchu:

– Jego szlachetnej wspaniałomyślności zawdzięczam to, że jeszcze żyję!

Widocznie powzięła wreszcie jakąś decyzję, poprawiła bowiem pasa i sprawdziła sprawność szpady, tkwiącej w pochwie.

Piętnastu łuczników posłusznych rozkazowi prefekta ruszyło miarowym krokiem w kierunku dwóch rebeliantów. Montauban zmierzył ich błyskawicznym spojrzeniem i rzekł drwiąco:

– Phy! Nie ma znowu tak bardzo czego się obawiać: zaledwie marne siedem do ośmiu żołdaków na każdego z nas.

– Zaledwie! – jęknął żałośnie Langrogne. – To więcej niż trzeba, aby nas wyprawić do Abrahama na piwo... piętnastu na – dwóch!

– Może być na trzech, jeśli panowie pozwolicie – rozległ się głos Alicji, która niedługo myśląc stanęła przy boku Montauban’a z rapierem w dłoni.

– Widzę, że lubisz pan szybko spłacać długi, panie de Maubert – uśmiechnął się Montauban.

Łucznicy widząc, że liczba rebeliantów powiększyła się, przystanęli na chwilę, spoglądając w kierunku swego przełożonego.

– Brać całą trójkę! – rzucił rozkaz de Noirville.

– Do ataku! – wykrzyknął grzmiącym głosem de Montauban.

Nie oglądając się za siebie rzucił się na zwarte szeregi łuczników. W oknach pobliskich domów zaczęły się ukazywać głowy zaciekawionych obywateli miasta. W niejednym oku błysnęła iskra sympatii i życzliwości dla tych, na których życie godzili żołnierze prefektury.

Za Montauban’em podskoczyli Langrogne i Alicja; cała szalona trójka wbiła się w szeregi łuczników, jak żelazny klin w drzewo.

Szczęknęła broń, rozległy się krzyki i złorzeczenia, klingi trzech śmiazków spłynęły krwią, dokoła trójki szaleńców jęły padać trupy i ranni, zabrzmiały wrzaski i przedśmiertny charkot.

Wszystko to nie trwało dłużej nad dwie sekundy, a może nawet krócej; łucznicy cofnęli się pospiesznie, pozostawiając na polu bitwy osiem nieruchomych ciał.

Montauban, Langrogne i Alicja wyszli cało z pierwszego starcia. Montauban, jakkolwiek pełen ognia i wigoru, nie stracił ani na chwilę głowy i daru rozumowania; Langrogne klął i mamrotał, aby nie wyjść z wprawy, co nie przeszkodziło temu, że położył dwu przeciwników. Alicja panowała świetnie nad sobą; ciągle po dawnemu spokojna i uśmiechnięta, nie zdradzała swych emocji; jedynie może tylko policzki jej, bardziej różowe niż poprzednio, były żywym świadectwem tego, że jest wzruszona.

Nastąpiła przerwa.

Pan de Ville zaczął mówić z niezmiernym ożywieniem.

– Mości de Noirville, powtarzam panu, że nie znasz jeszcze tego rebelianta, nie wiesz do czego jest on zdolny! Jeśli nie wypuścisz na niego wszystkich żołnierzy razem, wybije ich jednego po drugim.

– Żałuję wielce, mości de Maubert – mówił tymczasem Montauban do Alicji – że przeze mnie zostałeś pan wplątany w tę głupią historię.

To mówiąc, przyglądał się uważnie Alicji.

– Dlaczego żalujesz pan? – zapytała spokojnie.

– Obawiam się bowiem, że nie ujdziemy z niej z życiem.

– O ja nieszczęśliwy! – jęknął Langrogne, który uważnie słuchał tego, co Montauban i Alicja mówili do siebie.

– Mości de Montauban – odpowiedziała Alicja z uprzejmym ukłonem – poczytam sobie za niezwykle zaszczyt zginąć w towarzystwie tak dzielnego, jak pan, szlachcica.

– Zawstydzasz mnie pan, mości de Maubert, cała przyjemność będzie po mojej stronie – zabrzmiała odpowiedź Montauban’a.

XX

ZWYCIĘSTWO

De Noirville w tym czasie podzielił więc swój oddziałek zbrojny na trzy części, które otrzymały rozkaz ruszenia do ataku jednocześnie. Teraz jasne było, że osaczeni nie mogli nawet marzyć o ujsciu z życiem.

Zrozumieli to w mgnieniu oka. Aby móc łatwiej stawiać atakującym czoło, zwrócili się twarzami każdy do innej grupy napastników, opierając się jeden o drugiego plecami.

Jedna grupka łuczników zaczęła następować na Alicję, druga na Langrogne'a, na czele trzeciej, zmierzającej wprost na Montauban'a, szedł sam de Noirville we własnej osobie. Wyraźnie wyróżniał on spośród trzech rebeliantów kawalera de Montauban; jego towarzysze nie interesowali go wcale. Montauban nie spuszczał oka ze zbliżającego się doń prefekta; gdy ten znalazł się od niego najwyżej w odległości trzech kroków, Montauban schował rapier do pochwy, wyprężył się jak struna i... przyskoczył do Noirville'a.

Pochwycił go, jak orzeł, w zaciśnięte szpony silnych palców, podniósł jak piórko, cisnął o ziemię, przydusił mu piersi kolanem i zamierzył się na niego sztyletem, który trzymał w lewej dłoni.

– Mości prefecie – rzekł zimnym głosem – każ ludziom swoim cofnąć się, albo przysięgam, że zginiesz!

Scena ta nie trwała dłużej nad parę sekund; łucznicy stanęli, jak wryci, z piersi wydarł się okrzyk:

– Prefekt! Prefekt nie żyje!

Potem zaległa głucha cisza.

– Och! Szatanie! Wcielony szatanie! – ryknął de Ville, wydzierając sobie włosy z rozpacz.

Montauban zwolnił na chwilę uścisk rąk, dając prefektowi możność wydania rozkazu.

Noirville odetchnął pełną piersią; wbił ostre spojrzenie w twarz tego, który go trzymał w ręku; na twarzy prefekta nie widać było ani zdziwienia, ani gniewu, była po dawnemu obojętna. Nie próbował nawet uwolnić się z żelaznego uścisku; podniesionym nieco głosem, lecz po dawnemu spokojnym, rzucił rozkaz:

– Do ataku!

Łucznicy spojrzeli po sobie niezdecydowani:

– Do ataku, łajdaki! – powtórzył prefekt. Śmierć wszystkim.

Słowa te oznaczać miały, że gdyby tego zaszła potrzeba, musieli nawet stać się przyczyną śmierci swego dowódcy, lecz wziąć głównego rebelianta.

Tym razem głos prefekta zabrzmiał wyjątkowo rozkazująco. Łucznicy mimo wszystko postanowili wykonać rozkaz. Montauban z ich postawy zrozumiał, że za chwilę rzucą się na niego. Podniósł uzbrojoną dłoń jeszcze wyżej i wyrzekł:

– Bardzo mi przykro, mości prefecie, za to, co się stanie, dzielny bowiem z pana człowiek. Każdy jednak broni swej skóry, jak może.

I znowu łucznicy, widząc jego zdecydowaną pozycję, zawahali się.

Nie tylko oni byli przeświadczeni, że prefekt zginie z jego ręki. Alicja uwierzyła w to również. Uwierzyła... i... ogarnęło ją przerażenie.

– Co będzie, jeśli mi go zabije? Nie chcę tego! To się nie może stać! Zbyt lekka i zaszczytą spotkałaby go śmierć!

Nie wahając się długo, przyskoczyła do kawalera, potracając go silnie; nieprzygotowany do napaści ze strony sojusznika, zachwiał się na nogach, stracił równowagę i potoczył się na ziemi wypuszczając z rąk Noirville'a.

Prefekt odzyskał wolność. Tym razem nie okazał również zdziwienia, ani radości; lodowatym wzrokiem wpatrzył się w twarz swego zbawcy, po chwili odwrócił od niego obojętne spojrzenie.

– Podnieś się, mości prefekcie! – rzekła Alicja, podając mu drobną, lecz silną dłoń, ubraną w łośiową rękawicę. Noirville przyjął pomoc usłużnego młodzieńca i stanął na nogach.

Montauban podniósł się również z ziemi, chowając sztylet do pochwy. Był teraz bardzo blady, a twarz zastygła mu w niemiłym skurczu. Skrzyżował ramiona na piersiach i przyglądał się w milczeniu Alicji, która pomagała prefektowi podnieść się z ziemi. Potem rzekł zimnym głosem, w którym nie dopatrzyłbyś się cienia wyrzutu, ani gniewu:

– Oto są skutki pańskiej wspaniałości.

Wskazał wzrokiem na łuczników, którzy korzystając z okoliczności, otoczyli ich zwartym kołem. Teraz wszyscy trzej byli już naprawdę zgubieni.

Na te słowa Montauban'a Alicja odpowiedziała uśmiechem, tym samym zagadkowym uśmiechem, który parokrotnie już wypływał na jej usta.

Noirville, stanąwszy na równych nogach, wypuścił ze swej ręki dłoń Alicji, która przysłała mu z pomocą i nie wahając się ani chwili, co ma uczynić, położył jedną rękę na ramieniu swej wybawicielki, drugą na ramieniu Montauban'a i wyrzekł lodowatym tonem:

– W imieniu króla aresztuję waćpanów.

Żadne z nich nie usiłowało nawet stawiać oporu. Montauban widząc, że partia jego jest przegrana, nie wyrzekł ani słowa, był wzdorliwie zimny i obojętny; Alicja natomiast wciąż się uśmiechała, kiwając z zadowoleniem głową. W końcu szepnęła tak cicho, że ani Noirville, ani nikt w ogóle nie mógł usłyszeć tego, co mówiła:

– Dobrze, wielki prefekcie, dobrze! Jesteś taki, za jakiego cię miałam; ludzkie uczucia nie mają do ciebie dostępu.

Przymknęła oczy, jakby w obawie, aby de Noirville nie dostrzegł nienawiści, jaką błysnął jej wzrok.

– Brać ich! – rzekł prefekt, zwracając się do swoich ludzi.

Od chwili, gdy Alicja odtrąciła od prefekta Montauban'a do chwili, gdy łucznicy pośpieszyli wypełnić rozkaz swego szefa upłynęło zaledwie kilka chwil. W momencie gdy Alicja pośpieszyła prefektowi na pomoc, powietrze przeszył odgłos przeraźliwego gwizdka. To Alicja wydała to gwizdnięcie.

Nikt z uczestników gwałtownej sceny, jaka miała miejsce po uwolnieniu prefekta, nie zwrócił uwagi na ten gwizdek. A jednak dźwięk ten nie padł w próżnię.

Prefekt rzucając rozkaz aresztowania rebeliantów stawiał na całej historii krzyż, uważając, że sprawiedliwości i prawu już się stało zadość, że szala zwycięstwa przechyliła się na stronę króla jegomości. Łucznicy jednak nie zdążyli aresztować zbuntowanej trójki. W chwili gdy mieli to uczynić w tłumie rozległy się okrzyki grozy i panicznej trwogi:

– Złodzieje! Obywatele Argot!

Tłum zakołysał się; a potem jął pierzchać w straszliwym nieładzie. Nawet wyglądający przez okno mieszczanie cofnęli się od okien, zatraskując z hukiem ciężkie okiennice; kupcy w mgnieniu oka pozamykali swe kramy, zaryglowując drzwi i zabezpieczając je łańcuchami. W jednej chwili ulica opustoszała.

Jednocześnie z okrzykami trwogi rozległy się bitewne zawołania, podobne do ryku rozwścieczonych dzikich zwierząt w okresie rui:

– Urwilebek!... – Czerwonoreki! – Kozia Bródka! – Białorączka!

Nad tymi wszystkimi okrzykami górował jeden przeciągły ryk, podobny do ryku nadciągającego huraganu.

– Argot! Argot!⁴ Niech żyje Argot!

Huragan spadł na oszalałych trwogą łuczników, złamał ich szeregi, zdławił ich, rozproszył jak zeschnięte jesienne liście, odrzucając daleko od miejsca, na którym znajdowali się przed chwilą.

To straż przyboczna Alicji, słysząc jej wezwanie, pośpieszyła z pomocą, wiodąc za sobą tłumy nędzarzy w łachmanach, z twarzami, na których namiętność i okrucieństwo wyryły swe niezatarte piętno! Wyjścia dziko, jak stado rozszalałych demonów, tłuszcza zjawiała się nie wiadomo skąd, wywijając szerokimi ostrymi nożami.

Czterej satelici Alicji przyskoczyli pierwsi do zdjętych lękiem łuczników, waląc ich po łbach ręką ciężkich mieczy i drąc się wniebogłosy. Chór nędzarzy, idąc za ich przykładem, jął mordować ludzi prefekta, wołając:

– Niech żyje Argot! Śmierć pomiotowi prefekta! Śmierć psom policyjnym!

Łucznicy, chcąc ująć śmierci, rzucali broń i brali nogi za pas, modląc się w głębi serca, aby rozwścieczona banda, nie zdołała zatrzymać uciekinierów.

Baron de Ville opamiętał się dopiero na placu de Greve, dokąd go zaniósł uciekający przed napastnikami tłum.

W jednej sekundzie teren walki został prawie oczyszczony z łuczników, w jednej sekundzie banda mściwych szatanów, jakby zapadła się pod ziemię, uprowadzając ze sobą ciągle niewzruszenie spokojnego pana de Noirville'a.

Napastnicy zresztą nie wyrządzili mu żadnej krzywdy; przy ulicy św. Dionizego, niedaleko od ulicy Zbawiciela, gdzie rozpoczynała się już Dzielnica Cudów, zamieszkała przez włóczęgów, żebraków i różne inne ciemne osobistości, napastnicy znikli, jak kamfora, tak, że nawet orli wzrok pana de Noirville nie mógł dostrzec, gdzie się podziali.

Satelici Alicji znikli również, możliwe jednak, że nie zbiegli daleko, lecz ukryci w jakiejś dziurze, czuwali w dalszym ciągu nad bezpieczeństwem swej pani.

Montauban, Alicja i Langrogne pozostali na polu bitwy, jako triumfatorzy. Nieprzyjaciel znikł, dokoła nich były tylko stosy trupów i ciała rannych. Kawaler i jego sługa nie zdołali jeszcze ochłonąć ze zdumienia i dokładnie zrozumieć, co się stało. Alicja rozumiała, rzecz oczywista wszystko, lecz, jak najlepsza komediantka z niezwykłym kunsztem odegrała komedię zdziwienia.

– Skąd u diabła, zjawili się ci mieszkańcy Dzielnicy Cudów i Argot i dlaczego wyrwali nas ze szponów prefekta i jego pacholców? – wykrzyknął Montauban.

– Wyznam szczerze, że mało mnie to obchodzi – odpowiedziała Alicja; dzięki nim jesteśmy wolni i to mi wystarcza.

– A jednak przepowiedziałeś pan, że uratujemy nasze skóry? – wykrzyknął radośnie Langrogne.

Alicja uśmiechnęła się, potem jednak zwracając się do Montaubana, rzekła z poważną miną.

– Wierz mi panie, że musimy oddalić się stąd nie zwlekając ani chwili. Znam dobrze pana de Noirville'a i wiem, że nie znajdzie spokoju, aż pana nie pojmie.

Udała, że chce odejść, Montauban jednak zatrzymał ją, mówiąc:

– Panie de Maubert, wyświadczyłeś mi waćpan bezcenną przysługę, wystawiając na szwank swoje życie w mej obronie...

– Ba! – przerwała mu Alicja – nie tylko nie obroniłem waćpana, lecz przeciwnie o mały włos nie stałem się przyczyną pańskiej zguby, przeszkadzając panu zasztyletować prefekta. Pan zaś mogłeś mnie zabić i nie uczyniłeś tego. Pozostaję wciąż jeszcze pańskim dłużnikiem.

– O, co to to nie! Ja z kolei winien jestem teraz panu mą wdzięczność. Przed odejściem zechciej odpowiedzieć mi na pytanie: – Panie de Maubert, czy chcesz mieć za przyjaciela Hoële de Montauban, który nie szafuje swą przyjaźnią – w to zechciej uwierzyć łaskawie!

⁴ Argot była to nazwa królestwa złodziei i włóczęgów, posiadających w wiekach średnich swój samorząd i swoją dzielnicę w najstarszej części Paryża.

– Przyjmuję ofiarowaną mi przez waćpana przyjaźń z otwartym sercem! – wykrzyknęła z wielką radością Alicja.

Najwidoczniej przyczyny, które kazały jej niedawno jeszcze potraktować kawalera zimno, nie istniały już, albo też chwilowo zapomniała o nich, ze szczerą bowiem radością przyjęła propozycję przyjacielskiego sojuszu.

Montauban widział to.

– W takim razie przypieczętuujemy to serdecznym uściskiem! – oświadczył, uśmiechając się szelmowsko.

Alicja nie zawahała się ani chwili; z najlepszą miną padła w objęcia kawalerowi, gdy jednak wypuścił ją ze swych ramion policzki jej okrył gorący rumieniec a gęsta firanka rzęs przysłoniła oczy.

Montauban, który ją bacznie obserwował, rzekł do siebie uśmiechając się:

– Gdybym nawet miał co do jej płci jakieś wątpliwości, to zmieszanie rozproszyłoby je na pewno. Lecz kim jest ta kobieta? A raczej dziewczyna? Co znaczy to przebranie. Muszę pojąć jej tajemnicę!

Zwracając się do Alicji, rzekł głosem lekko drżącym ze wzruszenia:

– Gdy będziesz potrzebować przyjaciela pewnego i oddanego ci szczerze; takiego, który nie zawaha się nadstawić za ciebie swoją szyję, daj mi tylko znać, a przybędę na wezwanie. Znajdziesz mnie w oberży „Pod Ślepą Sroką”, gdzie na razie mieszkam.

– A ty, kawalerze znajdziesz mnie u mojej matki, pani de Bagnolet, w jej pałacu przy ulicy św. Katarzyny, w pobliżu ulicy Thorigny. A teraz pozwól, że cię pożegnam bo, pominawszy to, że niebezpiecznie jest dłużej przebywać na tym placu, mam kilka ważnych spraw do załatwienia, a nasza przygoda zabrała mi i tak już dużo czasu.

– Jeszcze chwilę. Myślałeś waćpan, że pchnę sztyletem prefekta. Gdybyś mnie znał lepiej, wiedziałbyś, że Hoël de Montauban nie byłby zdolny do użycia broni przeciw człowiekowi bezbronnemu i leżącemu na ziemi, nawet gdyby człowiekiem tym był jego śmiertelny wróg. Lecz mości Maubert, osoba pana de Noirville musi nie być dla ciebie obojętna, skoro tak energicznie stanąłeś w jego obronie?

Alicja zawahała się, potem po krótkim milczeniu odpowiedziała.

– Istotnie, bardzo się interesuję osobą pana de Noirville; obchodzi mnie ona tak bardzo, że byłbym po prostu zrozpaczony, tak jest zrozpaczony, gdybyś go waćpan zgładził ze świata.

Ton jakim to wypowiedziała był tak złowrogi, że Montauban uczył dreszcz grozy i zapytał:

– Dlaczego byłbyś zrozpaczony?

– Bo pan Noirville i ja mamy ze sobą porachunki osobiste! Tak – musimy wyrównać straszny rachunek, a wyrównam go ja...

Z tymi słowami oddaliła się.

Zapominając zupełnie o Langrogne’u Montauban ruszył w kierunku oberży „Pod Ślepą Sroką”, która otworzyła już znowu swe podwoje dla gości. Idąc rozmyślał o Janie de Maubert:

– Nie wiem, co przeszkrobał pan de Noirville, nie zazdroszczę mu jednak tego porachunku! – szepnął.

Langrogne postępował za swoim panem z nosem spuszczonej na kwintę... Nagle wzrok jego padł na jakiś przedmiot, leżący na ziemi. Była to agrafa usiana wspaniałymi diamentami. Poznał ją od razu; taką samą widział przy berecie Alicji, której przyjrzał się bacznie, jak hojnemu i nie żałującemu napiwków panu.

Langrogne był bezwzględnie uczciwym człowiekiem, toteż uczciwość zatriumfowała w nim nad ostrożnością. Postanowił, że musi zgubiony przedmiot zwrócić właścicielowi. Zamyślił się przez chwilę, wreszcie zdecydował się i otworzywszy olbrzymi cyrkiel swoich długich nóg, udał się na poszukiwania właściciela cennej spinki.

Wkrótce udało mu się zauważyć ją w tłumie.

– Panie – zawołał – zgubiłeś w zawierusze ten oto cenny klejnot, który ci przynoszę.

Alicja sięgnęła do beretu, a widząc, że istotnie brak jest sprzączki odpowiedziała:

– Masz słuszność.

Potem dodała z uśmiechem.

– Zatrzymaj ten klejnot na pamiątkę naszego spotkania.

– Ależ pan raczy żartować! – wykrzyknął olśniony taką hojnością Langrogne... Ten klejnot wart jest co najmniej paręset liwrów!

– Tysiąc pięćset – rzuciła od niechcenia – tyle zapłaciłem za niego. Zachowaj go jednak, jako nagrodę za twoją uczciwość.

Odeszła, pozostawiając Langrogne'a w radosnym osłupieniu. Opamiętał się wreszcie i kryjąc klejnot w najtajniejszym zakątku swych kieszeni, ruszył do oberży, mówiąc do siebie z zachwytem:

– Na pewno to jakiś przebrany książę! Aby móc robić takie podarunki biednemu masztalerzowi, jakim jestem, pan de Maubert musi być bogatszym od króla jegomości!

XXI

ALICJA ODSŁANIA KARTY

Alicja tymczasem skręciła w lewo i znalazłszy się na ulicy Rivoli, weszła do małego, nędznego szynku.

– Było to miejsce gdzie gromadziły się dziewczęta lekkich obyczajów, włóczędzy, żebracy, dezertery, słowem najniższa kasta ludzi. Dlatego pewnie szyld szynku opiewał: „Pod Pocziwymi Chłopcami”.

W tym zakładzie rozsiedli się przy stole Urwiłebek, Białorączka, Czerwonoreki i Kozia Bródka popijając wino. Na sali widać było jeszcze kilkunastu gości i wesołych dziewcząt. Dziewczyny byty młode i ładne. Twarze mężczyzn nacechowane byty dzikością i występkiem. Zgromadzenie piło, czyniąc straszliwy zamęt.

Skoro tylko Alicja ukazała się na sali, zaległa nagle cisza, jak makiem zasiał. Ruszyła prosto do stołu, przy którym siedziała jej straż. Przed zajęciem miejsca wydobyta z kieszeni kilka sztuk złota, które włożyła w rękę oberżyscie, po czym rzekła z królewską łaskawością i dumą, której mógłby jej pozazdrościć król Franciszek:

– Ugość ich w imieniu Alicji II.

– Wiwat Alicja! Wiwat nasza królowa – ryknęła cała sala, po czym wszczęła się ogólna pełna ożywienia rozmowa w oczekiwaniu obiecanego poczęstunku.

Alicja wyczekała chwilę, potem rozpoczęła rozmowę ze swą świtą:

– Statki przybiją do brzegu w pobliżu des Celestins i szop artylerii. Lecz sam Jan Morin nie wie jeszcze dokładnie, kiedy przybędą: może dzisiejszego wieczoru a może dopiero za parę dni. Trzeba dzień i noc pilnować tej sprawy.

– Ba! – bąknął jeden z jej satelitów – czy warto tracić czas dla kilku marnych worków soli?!

Na usta Alicji wybiegł zagadkowy uśmiech; zwróciła się do niego ze wzgardliwym skrzywieniem:

– Głupcze! Czy wiesz, ile kosztuje ten „marny” transport soli?... Dziesięć tysięcy liwrów!

– Dziesięć tysięcy liwrow! – wykrzyknęła cała czwórka, szeroko otwierając oczy.
– Co najmniej! – dodała z mocą Alicja. Czy teraz ciągle jeszcze uważacie, że nie warto tracić czasu na taką bagatelkę?...

Wpatrując się w Kozia Bródkę i Czerwonorekiego dodała ze złowróżbnym spokojem:

– A czy wiecie, na jaką karę zasługują ci wszyscy, którzy nie wytrwają na wyznaczonym sobie przez królowę Argot posterunku?

– A więc wiesz wszystko? – wybełkotali roztrzęsionym ze strachu głosem.

– Wiem, że zesłicie z placówki, aby ograbić mnichów, wiem, że każdy z was dla głupich czterdziestu liwrow nadstawiał swoją głowę, wiem i to, że staliście się łupem kata Argot.

Dwaj nieustraszeni łotrzykowie spuścili głowy, przyznając się bez słowa do winy; powoli odpięli swe sztylety i rapiery, kładąc je przed Alicją na stole.

– Możemy wyrównać nasz rachunek – rzekli jak na komendę.

Wbili w swą panią spojrzenie, w którym wyczytać można było, iż są jej oddani, jak wierne psy, aż do śmierci. We wzroku ich nie było prośby o łaskę, tylko bezbrzeżny smutek i pytanie:

– Kto będzie cię kochał więcej od nas? Kto będzie tak czuwać nad tobą, jak my... kiedy już nas nie będzie?!

Okrutne, surowe twarze zapamiętałych łotrów pod wpływem nurtujących serce ich uczuć zmiękły, stając się bardziej ludzkie i subtelne.

Alicja przez chwilę jakby namyślała się, co ma uczynić, potem odsuwając sztylety i rapiery w stronę Czerwonorekiego i Koziej Bródki, rzekła łagodnie:

– Zabierzcie waszą broń. Tym razem upiekło się wam; Alicja postara się zapomnieć o tym, że ośmieliliście się kwestionować jej rozkazy.

Z głuchym pomrukiem radości sięgnęli po broń, hałaśliwie sapiąc i wzdychając.

– Niech się to jednak nie powtórzy – ciągnęła dalej – mogłabym wtedy bowiem nie patrzeć już na to, że jesteście najsilniejszymi najdzielniejszymi i najwierniejszymi sługami królowej Argot.

Na te słowa szerokie ich twarze rozplynęły się w błogim uśmiechu, a z piersi ich zaczęły wydobywać się jakieś nieartykułowane dźwięki.

Przerwała im okrzykiem:

– To jeszcze nie wszystko; zwróćcie zrabowane osiemdziesiąt liwrow do ogólnej kasy.

Nosy naszych zuchów wyciągnęły się, nie zaoponowali jednak i bez szemrania położyli na stole żadaną sumę.

Alicja wyrzekła głosem sędziego, ogłaszającego wyrok:

– Każda zdobycz, którą się posiadało podczas pełnienia urzędowych obowiązków, jest własnością ogółu i winna być przelana do ogólnej kasy. Tak brzmi odnośny paragraf naszego prawa, nie gorszego od prawa, ustanowionego przez uczciwych ludzi.

Z tymi słowy zgarnęła pieniądze do swego woreczka przy pasie, dodając:

– Otrzymacie z tego swój dział; ani o liwra nawet więcej.

– Takie prawo! – przytaknęli z rzadkimi minami Kozia Bródka i Czerwonoreki.

– A teraz do rzeczy – zaczęła mówić głosem zimnym i twardym. Nie mogę wraz z wami wziąć udziału w tej wyprawie, bo mam na głowie inne jeszcze sprawy. Udacie się więc sami nad rzekę, aby pilnować przybycia statków. Jeden z naszych objaśni wam, na których znajdziecie ładunek; czy przybędą wam z pomocą, czy też nie, musicie załatwić to wszystko pomysłnie. Eustachy Urwilebek obejmie dowództwo nad wyprawą. Już wytłumaczyłam ci, co i jak masz uczynić! Możecie odejść. Ale, ale zapomniałam! Uważajcie pilnie na arsenał, gdzie ma się zacząć Noirville ze swymi ludźmi, aby strzec ładunku soli dbając o interes Franciszka I, szczęśliwie panującego nam króla jęgoomości.

Po wydaniu tych rozkazów opuściła szynk „Pod Poczciwymi Chłopcami”; wkrótce po jej wyjściu czterej zaufani królowej Argot wyszli również na ulicę, śpiesząc spełnić rozkazy swej pani.

Alicja okrężną drogą udała się na ulicę św. Katarzyny i znalazła się wkrótce w gabinecie pani de Bagnolet – swej matki.

Potężna pani siedziała w głębokim fotelu, którego poręcz zdobiły piękne rzeźbione herby.

Alicja I powitała swą córkę stereotypowym uśmiechem, który rzekłbyś zrósł się już z jej twarzą. Patrząc na jej nieruchomą, niby ulepioną z wosku lalkowato piękną twarz, na zimne, szklane oczy, nikt by nie uwierzył, że jest to matka, witająca swoją córkę.

– No i cóż, mój s y n u, jak stoją sprawy?

– Wszystko gotowe, moja matko, należy tylko wyczekać cierpliwie przybycia statków.

– Kto ma odebrać przesyłkę?

– Pewnie sam Jan Morin, prefekt cechu kupieckiego.

– A Noirville?

– Noirville będzie bacznie czuwać nad bezpieczeństwem statków... Lecz nasi też nie są babami.

– Powiedz no mi, Janie czy nikt nie domyśla się, że każdy z tych worków zawiera, prócz soli, złoto, którego wartość sięga około dwu milionów?

Alicja zaprzeczyła potrząśnięciem głowy.

Teraz dopiero pani de Bagnolet odrzuciła od siebie powagę wodza i przełożonego, wydającego rozkazy.

– Cenny ładunek, zamiast zasilić kasę króla Franciszka, wypełni skrzynie królowej Argot – zaśmiała się wesoło.

– Noirville utraci zaś swe stanowisko – jego kariera zostanie złamana na zawsze – dodała córka nienawistnym tonem.

– Stanie się to może nie od razu, lecz stanie się na pewno. Król nie przebaczy mu utraty dwu milionów.

Matka i córka wybuchnęły złowrogim śmiechem.

– A więc z tą sprawą skończyliśmy – rzekła pani de Bagnolet – mogę wracać do zamczku. Czy pojedziesz ze mną moja córko?

– Zapomniałaś o tym, matko, że po południu czeka na mnie kardynał.

– Istotnie zapomniałam, a przecież jest to sprawa niemniej doniosła od sprawy ładunku soli. Niestety, zaczynam tracić pamięć. Starość nie radość!

– Jesteś młodsza ode mnie, moja matko – zaprzeczyła z żywością Alicja – nikt nie może ubiegać się z tobą o lepszą pamięć.

– Tak sądzisz? Ale, ale czy powiedziałaś Polnej Różycze że chcę, aby przybyła do mnie jutro? Nudzę się, przykrzy mi się bez tej małej. Cóż chcesz – dodała dziwnym jakimś tonem – przywiązałam się do niej, kto wie? Może nawet pokochałam ją... kocham ją nie tak silnie co prawda, jak ty, lecz kocham... Nie bądź tylko o nią zazdrosna – dorzuciła, kładąc dziwny nacisk na te słowa.

Alicja spojrzała na matkę badawczo, chcąc wyczytać z jej twarzy, co miała ona na myśli, twarz jednak pani Bagnolet była zamkniętą księgą nawet dla najbliższych jej osób, toteż rezygnując z zaspokojenia swej ciekawości, rzekła:

– Nie jestem o nią zazdrosna i nigdy zazdrosną nie będę.

– Ejże! Można by rzec, że chcesz w sobie na gwałt wmówić bezinteresowność uczucia, co jest najlepszym dowodem, że coś tam z tym wszystkim niezupełnie jest w porządku.

– Polna Różyczka jest dla mnie ukochaną siostrą – mruknęła Alicja, kocham ją jak siostrę, dlatego też niepokoi mnie rola, jaką przeznaczyłaś jej w zamyślonej przez nas sprawie. Czy możesz mi dać słowo, droga matko, że to, co ma się stać, nie będzie jej zgubą?

– Skąd te myśli? – zapytała pani Bagnolet z uśmiechem.

– Dlaczego matka Agadou była u ciebie, mimo, że otrzymała ode mnie instrukcje?

– Więc wiesz o tym?

– Ja mam też swoją policję – odpowiedziała córka z uśmiechem.

– Możesz ją mieć. Otóż dowiedz się, że wszystko cokolwiek uczyniła lub uczyni matka Agadou będzie to zgodne z moją wolą. Czyżbyś chciała żądać od twej matki i królowej zdawania ci sprawy z tego, co zechce uczynić?!

– O moja matko, wiesz dobrze, że myśl o buncie nie powstała nigdy w mojej głowie; serce me pełne jest bezgranicznej czci dla ciebie.

– Pani de Bagnolet uśmiechnęła się łaskawie i rzekła:

– Wiem o tym. Wszystko co czynię i czego wymagam od ciebie, ma na celu dopełnienie aktu naszej zemsty i uczynienie z ciebie – kto wie – może nawet prawdziwej królowej – gdybyś wyteżyła w tym kierunku całą twą żelazną, niezłomną wolę...

– Chcę tego! – rzuciła Alicja schrypniętym z podniecenia głosem.

Pani de Bagnolet przyglądała jej się przez chwilę w milczeniu, pokiwała złowroźnie głową, potem nagle wykrzyknęła:

– Wypowiadam wojnę dworowi Francji, w której panuje Franciszek Pierwszy. Argot wypowiada wojnę wzdorliwemu, podstępному, okrutnemu stanowi szlacheckiemu! Aby zwyciężyć, należy wyzbyć się wszelkiej litości, współczucia i sentymentalizmu... Tym się nie zwycięża! Najsilniejszą bronią w naszych rękach winna być nienawiść! Czy potrafisz, moja córko, ukochać nienawiść ponad wszystko?

Alicja porwana dzikim zapalem matki, wykrzyknęła:

– Będę bez litości, przyrzekam brodzić we krwi, zniszczyć i złamać wszystko na mej drodze do zemsty.

Twarz jej nabrała wyrazu nieubłaganej nienawiści, mimo swej niezwyklej urody wyglądała w tej chwili, jak rozszalała furia.

Pani Bagnolet ochłonęła z gniewu, uśmiech znowu ukazał się na jej ustach. Przez chwilę spoglądała na córkę z pośpynym zadowoleniem.

Podeszła do niej powoli, kładąc rękę na jej ramieniu, zajrzała jej w oczy i rzekła:

– To jeszcze nie wszystko. Musisz, słyszysz – musisz trzymać na wodzy twe niewieście serce. Musisz opancerzyć je stalową powłoką, wydrzeć je z piersi, jeśli zajdzie potrzeba, słowem musisz unikać miłości, uciekać przed nią, jak przed dżumą.

– Uczynię wszystko, moja matko, aby tylko osiągnąć upragniony przez nas cel.

Jakkolwiek słowa te były wypowiedziane szczerze i płynęły z głębi duszy, jednak przed wypowiedzeniem ich, Alicja uczyniła niedostrzegalną zupełnie pauzę, po czym odwróciła wzrok w inną stronę, lekko rumieniąc się pod badawczym spojrzeniem matki.

Pani Bagnolet zauważyła to zmieszanie i pomyślała:

– Dałby Bóg, aby już nie było za późno.

Ciężko westchnęła lecz nie zagadnęła córki o nic.

– Polna Różyczka musi odegrać rolę, którą jej przeznaczyłam. To znaczy będzie grała tę rolę, nie wiedząc o tym wcale.

Na niecierpliwe zachnięcie się Alicji odpowiedziała słowami:

– Tak być musi. Gdy cię wtajemniczę we wszystko, przyznasz sama, że nie można było postąpić inaczej.

– Kiedy dowiem się nareszcie wszystkiego?

– Gdy przyjdzie odpowiednia po temu chwila – zabrzmiała odpowiedź. No, odjeżdżam już do Bagnolet. Ty, mój s y n u, idź już do kardynała Lotaryngii, który na pewno nie może się już ciebie doczekać.

– Mam czas – bąknęła niedbale Alicja. Zresztą nie widzę powodu, dlaczego nie miałby trochę się poniecierpliwic? Przeciwnie. Dobrze jest od czasu do czasu poniżyć trochę wszystkich tych wielkich panów. Nie mogę udać się z tobą, matko do Bagnolet, to odprowadzę cię przynajmniej do bramy Temple.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO

KRÓLOWA SERC

TOM II

XXII

I ZNOWU MONTAUBAN!

Matka i córka wyszły na paradne podwórze, gdzie ujrzały oczekującą już na nią lektykę. Pani Bagnolet zajęła w niej miejsce, Alicja zaś dosiadła dziarskiego rumaka, aby towarzyszyć matce konno.

Przed lektyką jechało dwu lokai herkulesowej budowy; siedzieli na ciężkich perszeronach uzbrojeni od stóp do głowy, wołając donośnym głosem:

– Z drogi! Z drogi!

Za lektyką widać było również eskortę konną, a każdy z uzbrojonych w długie sztylety hajduków wiózł przytroczone do łęku siodła cztery pękate mieszki.

W chwili gdy cała ta kawalkada znalazła się przy ulicy Temple zza rogu ulicy Hrabiego Michała ukazał się kawaler de Montauban. Na widok bogatej lektyki, otoczonej oddziałem zbrojnych hajduków gwizdnął ze zdziwieniem i rzekł do siebie:

– Tam do licha! – ależ to prawdziwy orszak książęcy!

Zatrzymał się, spoglądając na jadących, poznał w jeźdźcu, jadącym przy drzwiczkach lektyki, rzekomego Jana de Maubert i postanowił ruszyć śladem powozu, aby dowiedzieć się czegoś pewniejszego o kobiecie, która z takim kunsztem grała rolę mężczyzny. Jakiś wewnętrzny głos szeptał mu wciąż w duszy, że gra jej jest ciemna i może nawet niebezpieczna. Coś pociągało go do niej, a jednocześnie coś mówiło: „Uciekaj, uciekaj od tej kobiety, ona bowiem będzie wszystkich twych nieszczęść przyczyną”.

Zawahał się. Nie mógł zdecydować się na ostateczny krok, jakby przeczuwając, że to, co miał uczynić, mogło zaważyć na szali jego przyszłości, potem zawołał:

– Niech się dzieje, co chce, muszę wiedzieć coś pewnego!

Nie myśląc już o skutkach swego kroku zaczął iść za lektyką w pewnym oddaleniu, przed powzięciem jednak tej decyzji obejrzał się za siebie i ujrzał dwu żebraków i dwu braciszków zakonnych, którzy podobnie jak on, eskortowali z dala Alicję.

Uśmiechnął się drwiąco i szepnął:

– Mogą iść za mną! Nie przeszkadzają mi!

Dwoma zakonnikami, sunącymi śladem Alicji, byli bracia Teobald i Lubek.

Pod przebraniem żebraków kryli się Tyka i Pęcherz, za nimi włókł się mały piesek, który nie mógł rozstać się ze swoim panem.

Pan de Ville po porażce, jakiej doznał na ulicy św. Marcina, pieniąc się ze złości, postanowił zawiadomić o tym co zaszło delfina.

Szczęście tym razem dopisało mu, wchodząc na plac Greve zetknął się z orszakiem księcia Henryka, przy którego boku ujrzał Saint-André’go i Roncherolles’a.

Delfin był błądliwy z nurtującego go gniewu i nie krył wcale jego powodu przed swymi faworytami.

– Dwa miliony! – mruzczał, tocząc dokoła wściekłym spojrzeniem. Dwa miliony są w drodze do stolicy, a ja nic nie wiem, ani kiedy, ani jak mają być dostarczone! Wiem to tylko, że na pewno staną się one łupem mego braciszka Karola, a przynajmniej połowa tej sumy. Ja tymczasem jestem goły, jak mysz kościelna, król łaskawie polecił mi tylko porozumienie się z wielkim prefektem, aby podjąć wspólną z nim akcję, mającą na celu zabezpieczenie tego skarbu przed rabunkiem!

– Zawsze ta sama historia! – szepnął Roncherolles – król jegomość gotów doprowadzić waszą miłość do ostatecznej nędzy, aby zabezpieczyć swego faworyta.

Wzrok delfina błysnął nienawiścią, jednak nic nie odpowiedział na prowokacyjne słowa swego dworzanina.

– A może jednak miłościwy pan zechce udzielić coś waszej miłości – dorzucił z przewrotną słodyczą Saint-André.

Tak jest, może raczy rzucić mi, jak zgłodniałemu psu, ogryzioną kość z pańskiego stołu! – warknął gniewnie Henryk. Na Boga, pragnąłbym z całej duszy, żeby jakaś banda opryszków zmiotła im sprzed nosa ten tłusty kąsek! Przynajmniej kochany mój braciszek obyłby się wtedy tylko smakiem! Dałbym za taki kawał chętnie sto tysięcy liwrow!

W tej właśnie chwili baron de Ville umazany krwią na twarzy, w poszarpanej odzieży i z ręką na temblaku zbliżył się do orszaku książęcego. Na jego widok Henryk wykrzyknął:

– Hola! De Ville! Co się stało?

– Stało się to, że wypełniając wydany mi przez waszą miłość rozkaz, natknąłem się na łotra z piekła rodem, niewątpliwie przywódcę niebezpiecznej bandy zbójckiej, który tak się ze mną rozprawił!

– I to ty, ty, de Ville, pozwoliłeś na to?! – najdzielniejszy i najlepszy rębacz w całym państwie?! – wykrzyknął Henryk, ciesząc się w duchu z niepowodzenia swego kapitana straży przybocznej.

Saint-André i Roncherolles spojrzeli na siebie z radością, po czym udając współczucie zaczęli wołać:

– De Ville! Niezwyciężony de Ville, znalazł nareszcie silniejszego od siebie!

– Jak się nazywa ten śmiałek?

De Ville wrzasnął, nie mogąc już dłużej pohamować swego zdenerwowania.

– Nie drwijcie ze mnie, panowie! Przysięgam, że ten niecny łotr uczyniłby z was obu marmoladę. Przeklęty kawaler de Montauban jest najsilniejszym mężczyzną, jakiego spotkałem w swoim życiu.

– Montauban! – powtórzył Saint-André – zdaje mi się, że znam już to nazwisko! Gdzie, u licha, mogłem je słyszeć?

– Imię to powtarza w tej chwili cała ulica św. Marcina – rzekł Roncherolles, spoglądając znacząco na Saint-André'go.

De Ville odwrócił się do nich plecami i zaczął mówić, zwracając się wyłącznie do delfina:

– Wasza książęca mość, nie koniec jeszcze na tym. Nie tylko ja zostałem przez niego poturbowany: prócz mnie dał się we znaki jeszcze piętnastu z twoich ludzi, z nich trzy trupy, paru ciężko rannych, stan ich prawie beznadziejny.

Tym razem delfin już się nie śmiał więcej; zła nowina zepsuła mu do reszty humor. Wrzasnął gniewnie:

– Co mówisz?

– Smutną prawdę, wasza książęca mość.

– Mój Boże; Było by to możliwe! Opowiadaj, opowiadaj mi prędzej jak się to stało; a nie pomiń żadnego szczegółu.

De Ville zaczął opowiadać bardzo drobiazgowo, Henryk słuchał go w skupieniu, coraz bardziej zaciekawiony i przejęty tym, co słyszał. Gniew jego, wzrastał z każdą chwilą. Nad wszystkim jednak górowała myśl, że wszystkie te szalone czyny krewki kawaler popełnił dla Polnej Różyczki, pragnąc stanąć w jej obronie. A więc kochał ją! Kto wie, czy miłość ta nie była wzajemną?!

Na samo przypuszczenie podobnej możliwości zgrzytnął zębami i chwytając de Ville'a za ramię syknął:

– De Ville'u ten... de Montauban, ten żebrak – to kochanek Polnej Różyczki?

– Wszystko jest możliwe na tym świecie!

– De Ville'u, ten łotr musi zniknąć z powierzchni ziemi! Albo nie, muszę dostać go w swoje ręce, abym mógł go zbadać i być pewnym, czy... Rób, co chcesz, siej złotem, zmobilizuj całą twą pozostałą przy życiu gwardię, musisz sprowadzić mi tego włóczęgę! Musisz! Słyszysz! Muszę mieć go żywego!

– Żywego! – zgrzytnął nienawistnie de Ville – wierz mi, wasza książęca mość, że chętnie oddałbym dziesięć dni życia za możliwość pomszczenia się na łajdaku, który mnie oszpecił. Lecz wzięcie go żywcem jest zadaniem, któremu nie wiem, czy umiałbym sprostać. Powtarzam, waszej miłości, że nie widziałem jeszcze w życiu człowieka o takiej sile.

– Więc dostarcz mi bodaj martwego, jeśli nie można inaczej.

– Zaufaj, wasza miłość, mej nienawiści i wierz, że jeśli nie stanie on przed tobą żywy i cały, to na pewno niepodobna było tego uczynić.

– Dobrze – bąknął Henryk – widzę, że istotnie nienawidzisz go bardzo. Nienawiść ta jednak jest niczym w porównaniu z moją. No, możesz się oddalić. Ufam ci... Dla pewności jednak poproszę króla, aby wydał rozkaz aresztowania go.

Pożegnawszy de Ville'a skinieniem ręki książę Henryk ruszył w dalszą drogę. Saint-André i Roncherolles szli za nim w milczeniu; wreszcie Roncherolles pochylił się do ucha Saint-André'mu i szepnął:

– Świetna sposobność podkopać zaufanie, jakim delfin darzy tego de Ville'a, który staje się z każdym dniem trudniejszy do zniszczenia i który czyha tylko na to, aby podstawić nam nogę.

– Właśnie myślałem o tym przed chwilą – odpowiedział Saint-André.

– A więc połączymy nasze wysiłki? Co?

– Zdobędziemy dla księcia jego ślicznotkę i jej galanta, ubiegniemy de Ville'a... i podzielimy się szatami jego, zakończył Saint-André z cynicznym śmiechem.

Silny uścisk ręki przypieczętował ten ohydny pakt. Każdy z sojuszników myślał w duchu:

– Gdy już de Ville'a nie będzie, przyjdzie pora na porachunek między nami.

XXIII

TYKA I PĘCHERZ W POGONI ZA ZWIERZYŃĄ

De Ville udał się na ulicę Jehan–Pain–Mollet w nadziei, że zastanie tam Tykę i Pęcherza, na których pomoc bardzo liczył w tak delikatnej sprawie.

Przy wylocie ulicy św. Marcina spotkał Nairville'a, podążającego pośpiesznie na plac Greve. Zatrzymał go, aby opowiedzieć o tym, jakie otrzymał od delfina rozkazy.

– Nie widzę w tym nic złego, jeśli wypełnisz waćpan rozkazy księcia Henryka; ze swej strony mam w tej chwili bardzo ważne zadanie, skoro jednak wszystko zostanie pomyślnie załatwione, zajmę się tym Montauban'em i odpowiadam za to, że dostarczę go waćpanu żywego, lub też trupa. Wyznaczę również tysiąc liwrów nagrody za pomoc w ujęciu go. A teraz pozwól, baronie, że cię pożegnaj, obowiązki wzywają mnie do pracy.

Niezbyt zadowolony z wyniku rozmowy z prefektem baron de Ville udał się do małego szynku przy ulicy Cmentarza św. Mikołaja, gdzie wiedział, iż zastanie swoich agentów.

Siedzieli tam istotnie wtuleni w najciemniejszy kąt, milczący, zadumani; nawet dzban wina, stojącego przed nimi, nie nęcił ich dzisiaj. Szynkarka, która знаła ich nie od dziś, tak była zdumiona ich zachowaniem, że zaczęła dopytywać się, czy nie dręczy ich jakaś choroba.

De Ville zaczął tłumaczyć im, o co mu chodzi; spojrzeli na swego pana z przerażeniem i również po raz pierwszy w życiu zaczęli spierać się ze swym przełożonym.

– Ależ, panie baronie – warknął Tyka – z równym powodzeniem mógłbyś pan kazać nam pochwyć, szatana za rogi?

De Ville po raz pierwszy puścił płazem tak jawny dowód niesubordynacji i zaczął układać się ze zbirami.

– Posłuchajcie – powiedział – ten z was dwu, któremu uda się pokazać mi bodaj jego trupa, otrzyma tysiąc liwrów nagrody.

– Olaboga, panie baronie, jeśli chodzi o to, aby z żyjącego uczynić nieboszczyka, nie jest sprawą trudną – pośpieszył zapewnić Tyka – nie będziemy przecież tak głupi, żeby zaatakować go oko w oko. Starłby nas na miazgę, i tyle!

– Bogu dzięki, człowiek nie jest kopnięty w mózg i potrafi komu trzeba wbić sztylet pomiędzy łopatki! – bąknął z dumą Pęcherz, który przypadkowo słyszał i zrozumiał rozmowę.

– Ten zaś kto go weźmie żywcem zdobędzie dziesięć tysięcy. Dziesięć tysięcy! Słyszycie?

Wysokość nagrody ogłuszyła obu biedaków, jak uderzenie maczugi po głowie. Wtulili głowy w ramiona, jęcząc jednogłośnie:

– Trzymajcie mnie!

– Sen, czy jawa?

– Poza tym, ten, który dokona tego bohaterstwa zostanie przywódcą drugiego i moim pierwszym adiutantem, moją prawą ręką. Teraz możecie iść do roboty!

Odszedł od stołu, pozostawiając ich osłupiałych ze zdumienia, potem zawrócił, podszedł raz jeszcze do nich, i rzucając na stół sakiewkę pokaźnych rozmiarów, rzekł:

– To pieniądze na wasze drobne wydatki. Podzielcie się. Rzecz oczywista, że przysługują wam wszystkie ułatwienia, że możecie w każdej chwili zwrócić się do władz policyjnych i do wojska.

Teraz odszedł już ostatecznie, pewny, że nie omieszkają udać się do roboty.

Rozpocząwszy jednak sprawę bardzo dyplomatycznie, popełnił w końcu wielki błąd, oznajmiając im, że ten, któremu się uda pochwyć rebelianta, zostanie przywódcą drugiego. Zdawało mu się, że podnieci tym ich gorliwość, tymczasem stało się wprost przeciwnie, zamiast zachęcić ich do współpracy, uczynił z nich najzacieklejszych wrogów. Po wyjściu pana przez dłuższy czas żaden z nich nie puścił pary z ust, potem spojrzawszy na siebie nienawistnie jak na komendę sięgnęli jednocześnie po sakiewkę. Podział został dokonany w grobowej ciszy, każdy z nich schował swoją część do kieszeni, ciągle jeszcze nie przerywając milczenia.

Wychylili duszkiem ciągle jeszcze pełne kubki, wreszcie pograżyli się w zadumie, od czasu do czasu spoglądając na siebie nieufnie. Wreszcie Tyka przerwał milczenie słowami:

– Zou, a może jakoś dojdziemy ze sobą do ładu?

– Jak? – zapytał ostrożnie Pęcherz. Gdyby chodziło tylko o pieniądze, porozumienie byłoby łatwiejsze, lecz pan mówił również o stanowisku, o randze... tym nie można się podzielić...

O dziwo! Pęcherz wszystko usłyszał i wszystko zrozumiał z tego, co baron do nich mówił.

– Rzeczywiście – bąknął Tyka, drapiąc się w nos – godnością i władzą trudno się podzielić. Nic nie poradzisz! Jeden z nas musi być przełożonym drugiego.!

Nagle wrzasnął, olśniony tym, co mu błysnęło w głowie:

– Już mam! Jacy my jesteśmy głupi! Przecież pieniędzmi możemy się podzielić, a o godność i władzę zagrać w kości! Co powiesz na to, mój poczciwy Burgundczyku?

Pęcherz pomyślał i oświadczył:

– Owszem, owszem, plan twój jest zupełnie dobry.

– Hola! Leonardo – wykrzyknął Tyka – przynieś no kości, a żywo, moja śliczna!

Ową „śliczną” była sama szynkarka, gruba, blisko pięćdziesięcioletnia baba, kwadratowa z figury i niezwykła znawczyni i wielbicielka wszelkiego rodzaju win. Pośpieszyła do stołu dwu łotrzyków, niosąc żądane kości.

Gdy już kubek z kośćmi stanął przed nimi, żaden z nich nie miał odwagi przystąpić do gry.

– Co będzie, jeśli przegram! – pisał Pęcherz.

– Nigdy nie miałem szczęścia do gry! – mruknął Tyka.

Zmierzyli się spojrzeniem, a potem nagle długo tajna a dziś podszycona przez pana de Ville’a nienawiść wybuchła jak ropa z dojrzałego wrzodu:

– Ja miałbym słuchać rozkazów tej burgundzkiej beczki! – zgrzytnął Tyka – raczej zdechnąć, niż znosić coś podobnego!

– Ja miałbym ulegać takiemu prowansalskiemu szczeniakowi! – pisał Pęcherz. – Nie, raczej przebić się szpadą na wylot, niż doczekać się czegoś podobnego!

– Mieszku głupoty! Niezdarna baryło! Molu śmietnikowy! Głupi ośle! Głuszczo, bez krzty oleju w głowie! – wykrzykiwał Tyka.

– Niedojdo! Czarny szurze! Pijaku, psujący tylko ukradzione przez siebie wino! Mucho! Wrzodowaty psie! – pisał Pęcherz.

Przyskakiwali do siebie, jak dwa rozjuszone gniewem koguty, wybałuszali gały, zgrzytali zębami, pienili się, dziwne było, że nie rzucili się na siebie i się nie pozabijali.

Gdy już wszystkie soczyste epitety, jakimi się wzajemnie obrzucali, wyczerpały się, zaczęli pluć sobie pod nogi na znak najwyższej pogardy, potem odwrócili się do siebie plecami i rozeszli się gniewnie w różne strony.

W niecałe pół godziny po tej rozmowie Tyka, wspaniale ucharakteryzowany na żebraka, ubrany w ohydne brudne łachmany stał już przed „Ślepą Sroką” strzegąc bacznie drzwi.

Trudno jednak wszystko przewidzieć! Tyka również nie przewidział tego, że mimo świetnego przebrania, obecność Gołabczka – ukochanego psa, który nie odstępował go ani na chwilę, zdradzi jego incognito, Montauban bowiem znał psa doskonale.

Zaledwie Tyka żebrak zdążył wybrać sobie dogodne stanowisko pod drzwiami oberży, jękliwym głosem błagając o jałmużnę, gdy od strony miasta nadciągał drugi żebrak. Był to Pęcherz, który przypadkowo zupełnie wpadł na ten sam pomysł co jego rywal. Ujrzawszy Gołabczka poznał on rzecz oczywista w nieznanym żebraku znajomego kolegę po fachu.

Jemu jednak szczęście również niezupełnie dopisało: wzrost i tuszę bowiem miał tak charakterystyczne, że Tyka z kolei nie zawahał się ani chwili w określeniu, kim mógł być nieznanemu żebrak, który chciał robić mu konkurencję pod drzwiami oberży.

Przez pewien czas nie odkrywali jednak kart tylko obserwując się wzajemnie, tak się tym przejęli, że zapomnieli o pilnowaniu drzwi oberży.

Taki stan rzeczy nie mógł jednak trwać długo. Tyka pierwszy postanowił rozpocząć rokowania. Półgłosem zapytał:

– Mój grubasie, a może byśmy się tak porozumieli ze sobą i nie wchodzili jeden drugiemu w drogę?

– Masz rację, mój chudzielcu, jedno tylko mnie martwi, że godności nie da się podzielić.

– A więc podzielmy się gotówką, a wyrzeknijmy się godności. Pozostawmy po dawnemu kolegami – i kwita!

– Masz rację! Podzielmy się gotówką a wyrzeknijmy się godności!

Montauban tymczasem powrócił do domu i rzecz oczywista, pośpieszył do okienka, łudząc się nadzieją, że ujrzy w nim panią swego serca i na migi bodaj będzie mógł wybłagać od niej przebaczenie za to, że ją niesłusznie posądził.

Okno z naprzeciwka jednak było zamknięte na mur. Polna Różyczka jakkolwiek nic nie wiedziała o potyczce Montaubana z łucznikami, widząc jednak, że miasto jest niespokojne i że wszyscy na gwałt zabarykadowują się w swych mieszkaniach i kramach, poszła za przykładem sąsiadów.

Dopiero po dłuższym czasie, gdy już jedno i drugie okno sąsiednich kamieniczek otworzyło powiekę okiennicy, młoda dziewczyna, uczyniła to samo i stanęła przy oknie, aby zaczerpnąć świeżego powietrza.

Wtedy to zauważyła w oknie z naprzeciwka postać młodzieńca, który z błagalnie złożonymi rękami zdawał się modlić do niej o przebaczenie. Pewność, że wielbiciel jej jest zdrow i cały napelniła ją taką radością, że bezwiednie uśmiechnęła się do niego, a potem przerażona swym zuchwalstwem szybko zamknęła okno.

Nieprzytomny ze szczęścia Montauban zaczął kręcić się po pokoju, nucąc wesołą piosenkę, umył się, opatrzył lekkie zadraśnięcia, które jednak zaczęły mu nieco dokuczać, potem przebrał się w swoje stare ubranie, które teraz musiało mu na razie zastąpić przed paru jeszcze godzinami nowy i piękny, w chwili obecnej zaś zupełnie poszarpany strój.

Wyglądając od czasu do czasu oknem nie omieszkał zauważyć dwu żebraków, których poznał od razu mimo ich przebrania.

W głowie jego powstało teraz pytanie: kogo zamierzali oni śledzić: Polną Różyczkę, czy jego! Jeśli ją, nauczy ich rozumu; jeśliby zaś chodziło o niego, nie dbał o to wcale.

Aby się przekonać, jak sprawa wygląda, wyszedł z oberży na miasto, idąc bez celu prosto przed siebie; po pewnym czasie obejrzał się dyskretnie i stwierdził, że dwaj żebracy szli za nim. Teraz wiedział już, czego się ma trzymać.

Postanowił powodzić ich trochę za nos, ruszył zatem ulicami miasta raz w tym, to znowu w innym kierunku, aż wreszcie znalazł się na placu Tempie w chwili gdy Alicja ukazała się tam również w orszaku pani de Bagnolet.

XXIV

W OBERŻY „LA DEVINIÈRE”

Najwidoczniej zły los zawział się na biedaków: Teobalda i Lubka, zawsze bowiem hojny kardynał tym razem tak był zaaferowany tym, co od nich usłyszał, że nie zwrócił uwagi na ich błagalne miny i zwolnił bez zasilenia bodaj jednym liwrem ich pustej kabzy.

Sytuacja zapowiadała się bardzo smutnie: należało posilić się, należało wziąć udział w wyprawie do Bagnolet i... to wszystko na czczo... żadna bowiem oberżystka nie była tak naiwna, aby nakarmić i napoić dwu braciszków zakonnych „na piękne oczy” – albo za kilka nawet „zdrowasiek”.

Jedynie pani Grzegorzowa z „La Devinière”, oberży, położonej przy ul. św. Dionizego, miewała czasem chrześcijańskie serce.

A więc w kierunku jej oberży zwrócili ciężki krok dręczeni raz nadzieją, to znów czarną rozpaczą.

Pani Grzegorzowa, kobietka ładna, apetyczna i zalotna, cieszyła się wielkim powodzeniem u gości, toteż złośliwe języki głosiły, że pani Grzegorzowa jest najslawniejszą ze wszystkich oberżystek, a imć pan Grzegorz spomiędzy rogaczy. Te same języki zapewniały również, że jedyna latorośl ich rodu Landry, przez mały wzrost Knotem zwany, może być jednego pewny; że matką jego jest pani Grzegorzowa, o ojcostwie zaś podobno przezorniej było nic nie mówić.

Wobec tego, że kawaler de Montauban zakazał im wstępu „Pod Ślepą Sroką”, braciszko- wie: Teobald i Lubek ruszyli do oberży „La Devinière”. Na ulicy św. Marcina znaleźli się właśnie w chwili, kiedy wielki prefekt oznajmił de Ville’owi, że wyznacza tysiąc liwrów nagrody za ujęcie Montauban’a.

Uszedłszy kilka kroków Teobald rzekł do Lubka półgłosem:

– Czy słyszałeś, kolego?
– Tysiąc liwrów! – wykrzyknął Lubek – to rozumiem! Mielibyśmy spokój na parę miesięcy.

– Niestety, zobaczymy nagrodę, jak nasze uszy!

– Nie zdołamy bowiem pochwyć tego bezbożnika! – jęknął Lubek, ciężko wzdychając.

Po chwili stali już przed drzwiami „La Devinière”.

Landry Knot stał w progu oberży. Można by rzec, że złośliwy chłopiec wyczekiwał na nich, ujrzawszy ich bowiem, pragnąc dokuczyć ojcu, zawołał cienkim, piskliwym głosem:

– Witaj, bracie Lubku! Witaj, bracie Teobaldzie! Proszę do wnętrza! Mamy dziś wyborne rzeczy, a przede wszystkim skowronkowe udka, które się wam kłaniają. Proszę do wnętrza! To mówiąc pośpiesznie otworzył przed nimi drzwi.

Teobald i Lubek wtoczyli się do oberży oblizując się zawczasu.

– Tędy, tędy – drodzy ojcowie! – piszczął Landry Knot. W tym zacisznym kącie będzie wam najwygodniej.

Słyszając piskliwe okrzyki jedynaka w drzwiach kuchni stanął imć pan Grzegorz; widząc, kto przekroczył jego gościnne progi, jęknął żałościwie:

– Czekaj, czekaj ty łobuzie, natrę ja ci uszu!

Słowa te, rzecz oczywista były skierowane do Knota.

Czuła matka dotknięta w swym uczuciu macierzyńskim wpadła na małżonka:

– Ciskasz się na syna, za to, że nie lubi twego fachu i nie zna się na interesie. Kiedy jednak biedaczek, stara ci się dopomóc, grozisz mu ukaraniem go. Wyrodny ojciec z pana, mości Grzegorzu!

Imć pan Grzegorz wobec wojowniczego nastroju małżonki skapitulował i wrócił do swych rondli.

Duch przekory podyktował pani Grzegorzowej niezwykłą uprzejmość w stosunku do dwu braciszków zakonnych; stojąc przy ich stoliku, zaczęła uprzejmie wyliczać im wszystkie potrawy jakie mogli dnia tego u niej dostać.

Zgłodniali goście zagłębili się w studiowaniu tajemnic kuchni pani Grzegorzowej, zatrzymując się na najbardziej kuszącej ich podniebienia potrawie:

– A więc przeznacza pani Grzegorzowa, poprosimy na początek złocistą jajecznicę ze słoninką – rzekł Teobald.

– Potem dwa udka skowronka, o których wspominał pani synek... kochane dziecko! Szczęśliwa z pani matka!

– Następnie przyrządzi pani jedną z wyśmienitych pulardek, których smakowity zapaszek dolatuje do moich nozdrzy.

– No i parę plastrów soczystej pieczeni, podlanej winkiem z czterech flaszeczek.

Rozpoczęła się potworna uczta; braciszkowie jedli za czterech a pili za ośmiu; posługiwał im Landry Knot, który krzątając się gorliwie spoglądał szyderczo na swych klientów, co nie wróżyło im nic dobrego. Krzątał się jednak tak energicznie i sprawnie, że imć pan Grzegorz wzruszony jego gorliwością, powtarzał w duchu:

– A jednak obudziła się w nim chęć do pracy! Sprytnie się uwija! No! No! Znać moją krew!

Wszystko jednak w życiu ma swój koniec a więc i uczta skończyła się wreszcie; tracąc na minie dwaj niefortunni, a obżarci klienci zaczęli spoglądać zezem w kierunku drzwi wejściowych.

Landry Knot, jakby przeczuwając, co się święci, usiadł na najbliższym wolnym stole i obserwował ich, złośliwie pobłyskując oczami.

Teobald i Lubek podnieśli się nareszcie od stołu, a właściwie usiłovali podnieść się, lecz bezskutecznie.

– Co to ma znaczyć? – zapytał niespokojnie Teobald.

– Bylibyśmy aż tak bardzo pijani? – jęknął Lubek.

Landry Knot przyglądał się im, pękając ze śmiechu, tarzając się konwulsyjnie po stole. Darł się przy tym wniebogłosy:

– Cud! Cud! Ojcowie nie mogą oderwać od ławy swych szlachtetnych pośladek!

– A przecież nie jesteśmy pijani, moje dziecię! – żalili się.

Po szeregu nieudanych prób dźwignęli się wreszcie, nie mogli jednak oderwać od ław swoich habitów.

Landry Knot cieszył się coraz bardziej i coraz głośniej wyrażał swą radość.

Teraz bracia Teobald i Lubek z kolei, nie mogąc zrozumieć, co to ma znaczyć, zaczęli krzyczeć:

– To czary!... To czarna magia!... Vade retro!⁵

Zdjęci panicznym lękiem usiłovali rzucić się do ucieczki, ciągle krzycząc i zalewając się łzami.

⁵ Wracaj z powrotem!

W jednej chwili cała oberża otoczyła stół nieszczęśliwych braciszków, w liczbie ciekawych byli również: pani Grzegorzowa i pan Grzegorz, który pienił się na syna za to, że sprytnie udawał gorliwość, aby w końcu wszystkich wyprowadzić w pole. Jasne było bowiem, że niesamowita przygoda braciszków jest dziełem Landry Knota.

Rozgniewany ojciec rzucił się na swą pociechę, zwinny jednak jak wiewiórka nicpoń wypadł na ulicę i wykonując na bruku jakiś fantastyczny taniec, zaczął miauczeć, jak rozwścieczony kot.

Pani Grzegorzowa pośpieszyła do braciszków, lamentując:

– Wstrętny nicponiu! Żeby wypłacać takiego figla! I to osobom duchownym!

Okazało się, że psotny Landry posmarował powierzchnię łąwy – dosyć nawet grubo – lepem, na skutek czego habitury nieszczęśliwych braciszków przyłgnęły do powierzchni drzewa tak, że niepodobna było ich oderwać.

– A więc mamy już przez całe życie chodzić tak po świecie, dźwigając z tyłu taki bezpłatny dodatek? – zapytał Teobald.

– Będziemy pośmiewiskiem całego miasta! – jął lamentować Lubek. – Skazani jesteśmy na siedzenie w domu.

Płakali jak bobry i wydzierali włosy garściami.

Na szczęście pani Grzegorzowa miała głowę nie od parady i znalazła wyjście z kłopotliwej sytuacji. Oto, porwała nożyce. Powycinała z habitów duże koła w miejscu, gdzie materiał był sklejonny z drzewem, uwolniła mnichów z hańbiącej niewoli. Potem zabrała się do łatania zepsutych szat zakonnych. Za materiał posłużyć miała jej stara spódnica, z której wycięła duże okrągłe kawałki do podszycia dziur. Żwawo zabrała się do roboty. W pośpiechu jednak nie zauważyła, że łaty były jaskrawoczerwonego koloru. Toteż dwaj braciszki po przywdziaaniu naprawionych habitów wyglądali teraz co najmniej niesamowicie. Na brązowym bowiem tle zakonnej szaty widniały poniżej krzyża dwa krwawoczerwone dyski księżyca w pełni.

Na razie nie wiedzieli o tym nic i nie zwrócili uwagi na zdumione spojrzenia przechodniów, odprowadzających wzrokiem dziwacznie ubranych braciszków.

– Ten Landry to istny diabeł! – odezwał się Teobald.

– Na pewno skończy na szubienicy! – bąknął Lubek.

– Zasłużona będzie kara!

Szli sobie ulicą, namyślając się, co mają dalej uczynić.

– Kolego – rzekł Teobald – myślę o owym tysiącu liwrow, który wielki prefekt wyznaczył jako nagrodę za pochwycenie Montauban'a.

– Myślę o tym również!

– Dlaczego nie mielibyśmy zarobić tego tysiączka?

– Miałbyś, bracie, odwagę przytrzymać tego szatana? – zapytał Teobald.

– Nie przytrzymać lecz śledzić, dowiedzieć się, gdzie mieszka, wskazać panu prefektowi miejsce jego zamieszkania, a wtedy pozostanie jedynie aresztować ptaszka. Stanie się to za naszą sprawą, nam więc wypłacą nagrodę.

Wobec tego, że sute śniadanie zjedzone w „La Deviniere” dodało im animuszu, braciszki wzięli się za rękę, naciągnęli kaptur na twarz i zaczęli krążyć dokoła kamieniczki, zamieszkałej przez Polną Różyczkę. Jakkolwiek mało inteligentni rozumieli jednak, że tu najłatwiej uda im się spotkać z Montauban'em. Chciwość i chęć zysku dodawały im odwagi.

Widok dwu żebraków, podobnie jak oni wążających się w okolicach kamieniczki matki Agadou, zaniepokoił ich:

– Bracie Lubku, mieliby ci dwaj żebracy śmiałość wchodzić nam w drogę?

– Musimy pozbyć się ich za wszelką cenę!

Przez pewien czas obserwowali żebraków bacznie. W końcu brat Teobald uśmiechnął się szeroko i rzekł:

– To są ludzie jego wysokości delfina.

- To nie rywale – lecz sprzymierzeńcy.
 - Pamiętasz chyba, że kardynał mówił nam, abyśmy z nimi nie zadzierali.
 - Udawajmy więc, że nic nie widzimy.
- Tyka i Pęcherz spostrzegli również braciszków.
- Znowu ta para klechów – burknął Tyka.
 - Słuchaj, a może by tak przetrącić im parę gnatów? – dodał Pęcherz.
- Teobald i Lubek ani się domyślali, jaka burza zbiera się nad ich głowami. Wprost przeciwnie, cieszyli się mówiąc:
- Samo niebo zesłało nam tę pomoc.
 - Jeśli tylko będzie jakieś niebezpieczeństwo, oni przyjdą nam z pomocą.

XXV

NIEZNAJOMY

Montauban szedł śladem lektyki pani de Bagnolet, trzymając się jednak od niej w znacznej odległości. Za Montauban'em podążali bracia Teobald i Lubek, drugą zaś stroną ulicy sunęli Tyka i Pęcherz. Alicja pożegnała matkę przy bramie Temple. Pożegnawszy matkę, zatrzymała się, przepuszczając przed sobą cały orszak. Jedyne dwóch lokai w liberiach pozostało z nią; każdy z nich miał przy łąku siodła pękate mieszki.

Montauban, widząc, że młoda dziewczyna nie ma zamiaru udawać się w dalszą drogę, ukrył się w niszy jednego z pobliskich domów, postanawiając wrócić za nią do miasta. Jechała stępa, toteż Montauban bez wielkiego trudu mógł podążać za nią. W pobliżu Temple znajdowała się ulica de la Corderie, słabo jeszcze zabudowana i bardzo niedbale utrzymana, bo pełno wyboi i kałuż.

W chwili gdy Alicja mijała tę ulicę, zza jednego rogu wyszło dwu szlachciców, którzy skierowali się na ulicę Temple, to znaczy w tym samym co Alicja kierunku.

Jeden z nich mógł mieć około pięćdziesiątki, był wysokiego wzrostu i silnej budowy; cerę miał bladą i zmiętą, jak człowiek, który za dużo używał życia; strój jego był skromny; ciemne flandryjskie sukno w bardzo dobrym gatunku; szeroki ciemny płaszcz, zawadiacko przewieszony przez ramię. U pasa miał olbrzymich rozmiarów rapier. Jakkolwiek strój ten był skromny, jego właściciel nosił go z wdziękiem i wrodzoną elegancją, co świadczyło o tym, że był to wielki pan, umyślnie maskujący swe wysokie pochodzenie.

Towarzyszył mu najwyżej dwudziestopięcioletni młodzieniec, również wysoki i pięknie zbudowany, jak jego towarzysz. Twarz młodzieńca była subtelna i nosząca ślady dziwnej jakiejś melancholii. Łagodny uśmiech opromieniał ją, dodając jej jeszcze więcej wdzięku.

Młodzieniec miał na sobie wspaniały strój z szarego aksamitu, z ramion spływał mu tej samej barwy płaszcz. Podobnie jak jego towarzysz nosił wysokie buty z cienkiej skóry, łośiowe rękawiczki z szerokimi mankietami i długi piękny rapier oraz szeroki sztylet u pasa.

Szli rozmawiając ze sobą półgłosem, starszy wspierał się poufale na ramieniu młodszego.

Widok tych dwu wielmożów zaintrygował Alicję, przyjrzała się im bowiem uważnie, zwolniła nawet krok swego wierzchowca, aby ich dłużej mieć na oku, a gdy już ich wyminęła obejrzała się jeszcze za nimi parokrotnie.

O kilkanaście kroków za dwoma panami postępowało dwu mężczyzn, wyglądających na lokai, jakkolwiek żaden z nich nie miał na sobie liberii.

Jeden z nich był blisko trzydziestopięcioletni, zwracał powszechną uwagę dzięki długiemu nosowi, który sterczał na jego twarzy, podobny do ostrza długiej piki. Drugi, mniej więcej jego rówieśnik, miał wesoły, nieomal że krotochwilny wyraz twarzy, ten na pewno umiał brać życie z najlżejszej i najweselszej strony.

Słudzy, postępując za swymi panami, również rozmawiali ze sobą półgłosem.

Montauban, ubawiony wyglądem długonosego, zbliżył się nieco do rozmawiających i wobec tego, że miał świetny słuch, do uszu jego doleciały urywki zdań, zamienianych przez dwóch służących.

– Kochany Sreberko – mówił długonosy sługa – czy nie uważasz, że to jest dziwne, iż tak potężna osobistość, jaką jest eskortowany przez nas dostojnik, że taka osoba pieszo, bez żadnej świty idzie z wizytą do naszego pana?

– Co widzisz w tym tak bardzo dziwnego, mój Corentin? – odpowiedział Sreberko. Klotariusz de Ponthus, nasz młody pan, jest tak wielkim panem, że najwięksi nawet panowie uważają za zaszczyt znajomość z nim. Najlepszym tego dowodem jest to, że jedna z najwyższych postawionych osobistości w państwie, mimo iż kryje pod skromną sukienką szatą swe incognito, nie uważa za ujmę dla siebie bywanie u nas prawie codziennie...

– Ba! A więc ten młody strojniś to... Klotariusz de Ponthus! Bardzo mi miło dowiedzieć się o tym, lecz kim jest ten drugi? He?

– Czy może ośmielisz się, głupi Corentin'ie zapewniać, że progi domu naszego pana byłyby za niskie, aby w nich gościł bodaj nawet króla jegomości! Powiedz to! Powiedz! Ośle! Głupcze! A jeśli ja mówię, że byłby za niski, to mam na myśli, że... ale co mam się wysilać, taki osioł, jak ty, nigdy nie zrozumie żadnej przenośni, ani delikatnej aluzji.

– Rozumiem wszystko doskonale – odpowiedział z godnością Corentin. – To ty nigdy nic nie rozumiesz.

– Ja nie rozumiem? Ja? – wrzasnął porywczo Sreberko.

– Tak, ty! Ja orientuję się, że to cud prawdziwy, iż osoba, o której mówimy bywa z wizytą u naszego pana bez eskorty, zupełnie sama... Sama!... czy ty to rozumiesz?

– To żaden cud... to tylko szalona nieostrożność! Pałac pana de Ponthus, dawniej pałac d'Arronces, leży na uboczu... dokoła pełno niezabudowanych jeszcze terenów, a na wąskiej i nie cieszącej się zbyt dobrą sławą uliczce de la Corderie, nietrudno natknąć się na zasadzkę; w dzień nawet nie jest zbyt bezpiecznie, a cóż dopiero w nocy... Pomyśl tylko, co by to było, gdyby jakiś nieszczęśliwy wypadek spotkał... eskortowanego przez nas... pana! Co za wstrząs dla całego państwa!

– Milcz! Na samą myśl o tym dostaję gęsiej skórki!

– Dlatego też więcej musimy otwierać oczy i uszy!

– Łatwo ci to mówić! Twój pan przyzwyczał się do przygód, niebezpieczeństw i walki z przeciwnościami losu – jęknął Corentin – lecz ja, dawny sługa don Juana Tenoria! Skąd ja mogę mieć w sobie hart rycerski?

– Dlaczego więc nie pozostałeś przy twoim panu?

– Dla prostej i krótkiej przyczyny. Mój pan umarł. Wiesz o tym przecież, drogi Sreberko.

– Tak, tak, to prawda! Twój pan zginął marnie, pozostawiając cię w ostatniej nędzy, ja dopiero spotkawszy cię przypadkowo ulitowałem się nad tobą i uprosiłem mego pana, aby wziął cię w służbę. I teraz, teraz właśnie, zamiast odwdziaczyć mi się za wszystko, wiernie służąc memu panu, ty chcesz mnie zgubić swym niedbalstwem i tchórzostwem.

Jakub Corentin wysłuchał potoku słów rozgniewanego Sreberki, po czym odpowiedział z pełną godności powagą:

– Tak jest, bywają chwile, kiedy oblatuje mnie strach, nie każdy bowiem ma kwalifikacje na opryszka, rabującego na gościńcu, ja jednak nie mogę dopatrzeć się w moim postępowaniu cech przestępczości. Jestem oddany memu panu i dobroczyńcy, panu de Ponthus, duszą i ciałem i gdy się nadarzy sposobność zobaczymy jeszcze, kto z nas lepiej nadstawi za niego swój kark.

– Dlaczegoś tego wcześniej nie powiedział! – rzekł Sreberko.

XXVI

W POGONI ZA NIEZNAJOMYM

Rozmowa ta zaintrygowała niezmiernie Montauban'a. Idąc rozmyślał o nieznanym, którego śmierć mogłaby wywołać tak wielkie wrażenie w całym państwie.

Głowił się nad tym, kim mogła być owa tajemnicza osobistość.

Intrygowało go tym więcej, że Alicja jechała przez cały czas tą samą drogą. Koń jej szedł cały czas stępa. Ona również była zaintrygowana, na Klotariusza de Ponthus zaledwie raczyła rzucić okiem. Możliwe, że знаła go bodaj z widzenia. Znalazłszy się na ulicy des Haudriettes zatrzymała się, odwróciła i przywołała skinieniem ręki jednego ze swoich ludzi. Gdy podbiegł do niej pośpiesznie, rzuciła mu jakiś rozkaz, szukając ciągle czegoś wzrokiem dokoła siebie. Ujrzała zbliżających się wolnym krokiem pana de Ponthus i jego towarzysza. Na ich widok uśmiechnęła się lekko i rzekła do siebie:

– Wiedziałam, że tak będzie! Zobaczymy teraz, czy udadzą się tam, dokąd przypuszczam, że iść muszą.

Znowu wolno ruszyła w dalszą drogę.

Przybyła wreszcie na ulicę św. Katarzyny. Tu zamiast skrócić na lewo i udać się do siebie, zawróciła na prawo i ruszyła dalej. Mniej więcej na wysokości ulicy des Paulies odwróciła się po raz drugi i spojrzała dyskretnie za siebie.

Ujrzała dwu mężczyzn, idących spokojnie swoją drogą.

Nie widziała jednak ani Montauban'a, ani jego satelitów. Co prawda umysł miała zaprzęgnięty innymi sprawami i nie myślała, że może go tu ujrzeć. Poza tym Montauban szedł jej śladem bardzo dyskretnie.

Na ulicy św. Antoniego zatrzymała się przed rozłożystym drzewem, rosnącym przy kościele.

Spojrzała teraz w kierunku Bastylli i pomyślała:

– Jestem pewna, że wejdzie do pałacu des Tournelles.

Nagle usłyszała za sobą tętent kopyt końskich; wpatrując się w dal ujrzała delfina Henryka, cwałującego na czele całej kawalkady. Przy jego boku jechał prefekt Noirville, którego poznała natychmiast. Za delfinem i prefektem jechali:

Roncherolles i Saint-André, za nimi reszta orszaku, a na samym końcu kilku łuczników.

Po zakończeniu narady z prefektem kupców, delfin i prefekt wracali, każdy do siebie.

Pałac prefektury znajdował się na rogu ulicy Saint-Pol, a więc w pobliżu miejsca, w którym się w tej chwili znajdowała. Wiedziała o tym, że sąsiadujące z pałacem prefektury dzielnice miasta są szczególnie bacznie ochraniane przez łuczników i straż; widocznie jednak nie bała się tajnych agentów, jechała bowiem odważnie miastem, nie kryjąc się z niczym i przed nikim.

Ustąpiła z drogi przejeżdżającym, nie kryjąc się wcale przed wzrokiem ludzkim. Kawalkada wyminęła Alicję, nie zwracając na nią uwagi. Delfin pożegnał prefekta i ze swoją świtą udał się do pałacu des Tournelles, Noirville zaś z łucznikami wjechał otwartą bramą na podwórze pałacu prefektury.

W chwili kiedy kawalkada znalazła się na ulicy św. Katarzyny dwaj piesi wchodzili na ulicę św. Antoniego. Starszy słysząc tętent zasłonił pośpiesznie twarz brzegiem płaszcza; Alicja zauważyła ten ruch i uśmiechnęła się.

Dwaj panowie skręcili na lewo, kierując się w stronę Bastylii, zatrzymali się jednak przed małą furtką pałacu des Tournelles. Z miejsca, w którym się znajdowała, Alicja nie mogła już ich widzieć. Nie widziała tego, że starszy wszedł do siedziby królewskiej, jak do własnego domu. Ujrzała tylko po chwili Klotariusza de Ponthus, powracającego w towarzystwie swych sług i rozmawiającego z nimi wesoło. Szepnęła:

– Nie omyliłam się. To był istotnie on... Informacje jakich mi udzielono w tej materii były prawdziwe.

Przez chwilę pozostała w miejscu, pogrążona w zadumie, potem spojrzała jeszcze raz na przechodzącego koło niej de Ponthus'a, a w jej oczach błysnęła iskra wyraźnej sympatii.

– Zabawny człowiek z tego Ponthus'a – szepnęła. Prawdziwie uczciwy. Jednak, rzecz dziwna, widok uczciwego człowieka, koi i uspokaja. Inni ludzie, to nie ludzie, lecz zwierzęta. Montauban... Ponthus i Montauban! Och, dlaczego wszyscy ludzie nie są tacy, jak oni? Jak dobrze czuliby się razem, jak rozumieliby się! Montauban!

I znowu twarz Montauban'a stanęła jej jak żywa przed oczami. Zachnęła się niecierpliwie:

– I znowu myślę o nim! Dlaczego?

Potrząsnęła głową, chcąc odrzucić dokuczliwe myśli i zwróciła się w kierunku Saint-Pol. Najwidoczniej myślała teraz o Noirville'u, twarz jej bowiem wyrażała w tej chwili uczucie nieubłaganej nienawiści. Nagle rzekła do siebie:

– Mam jeszcze czas, kardynał bowiem czeka na mnie dopiero z nastaniem nocy. Nie powiedział nic zresztą, że przybędzie osobiście. Mogę sprawdzić, co robi Eustachy Urwilebek. Jednocześnie zorientuję się, jakie zarządzenia poczynił Noirville, który przysięgłabym, że zamknie się w Arsenale i nie ruszy się stamtąd, aż po załatwieniu sprawy statków z ładunkiem.

Z tymi słowami na ustach ruszyła na ulicę Saint-Pol, przejeżdżając przed pałacem prefektury zupełnie jawnie. Jej dwaj słudzy jechali ciągle za nią spokojni i niemi, zdumiewająco dobrze wytresowani i posłuszni.

Montauban podążał za nimi, coraz bardziej zaintrygowany tą wędrówką Alicji po mieście pozornie bezładną, w której jednak podejrzewał jakieś niezwykle ważne racje.

XXVII

CEL WYPRAWY ALICJI

Alicja zatrzymała się wreszcie po swej długiej wędrówce przy wielkim murze odgradzającym miasto przy wylocie ulicy Saint-Pol od Sekwany. Mur ten, ozdobiony wówczas szeregiem kwadratowych wież posiadał olbrzymie wrota, znajdujące się tuż przy wejściu do Arsenalu i ciągnął się brzegiem rzeki mniej więcej od ulicy du Fauconnier, aż do murów miejskich. Z czasem drzwi wrót w murze zdjęto z zawiasów pozostawiając jedynie szeroką bramę, przez którą widać było toczące się spokojnie wody rzeki.

Alicja, znalazłszy się przy bramie zeskoczyła z konia, oddając go pod opiekę lokajów, przeszła przez bramę i znalazła się na wybrzeżu, na obszernym placu, przeznaczonym do gry w piłkę.

Czterej zaufani Alicji pogrążeni byli w grze; dodawali sobie animuszu popijając wino. Rzekłbyś, że piłka pochłonęła całą ich uwagę; dokoła grających skupił się cały tłum gapiów, przyglądając się im z wytężoną uwagą.

Pozornie zainteresowana ich grą Alicja zbliżyła się do nich, łokciami zdobywając sobie pierwsze miejsce, potem, korzystając z pierwszej sposobności, zamieniła parę krótkich zdań z Eustachym Urwilebkiem, wskazując mu dyskretnie na brzeg rzeki, potem z obojętną miną wycofała się z tłumu. Odchodząc stanęła na chwilę przed wrotami Arsenału i zapuściła ciekawe spojrzenie na pierwsze podwórze, wreszcie stanąwszy obok swoich sług, dosiadła szybko konia i tym razem nigdzie się już nie zatrzymując oddaliła się.

Przed odjazdem jednak zdążyła jeszcze zauważyć de Noirville'a, który na czele oddziału łuczników podążał do Arsenału. Na ten widok uśmiech szyderyczy przesunął się po jej ustach.

Po przejechaniu całego starego miasta, minęła Mały Most i zeszła z konia na rogu ulicy Bernardynów, przed starą, feudalną, rzekłbyś już opuszczoną budowlą. Był to pałac książąt Lotaryngii.

Główne wejście znajdowało się od strony wybrzeża, broniła go duża narożna wartownia. Mur pałacowy posiadał również dwie furtki: jedną od strony ulicy Bernardynów, drugą w murze, ciągnącym się po stronie wybrzeża, niedaleko od głównej bramy.

Przed tą właśnie furtką zatrzymała się Alicja, zapukała do niej dyskretnie w umówiony sposób. Było mniej więcej wpół do szóstej, a więc zaczynał już zapadać wieczór.

Montauban, widząc gdzie się zatrzymała, poruszył się niespokojnie i nawet przybliżył się nieco.

– Udaje się do pałacu książąt Lotaryngii! A przecież powiadają, że jest on niezamieszkały; musi tam jednak ktoś być, skoro furтка otworzyła się. Dałbym chętnie sto liwrow, żeby móc znaleźć się za tym murem i dowiedzieć się, co ona tu robi!

Znajdował się tak blisko, że dotykał prawie zadu jednego z koni, którego speszony jeździec, sługa Alicji wciągał siłą za uzdę na podwórze. Przy tej czynności zrobiło się małe zamieszanie, na co stary żołdak, stojący w głębi podwórza wykrzyknął:

– Pośpieszyć się.

Przypuszczając, że Montauban należy do orszaku Alicji dodał wyraźnie cudzoziemskim akcentem:

– I so? Wchodzisz faćpan, szy szekasz na tfoich towarzyszy na ulisy?

– Wchodzę! – odpowiedział Montauban, łącząc czyn ze słowami.

Parę kroków... i znalazł się na podwórzu, osłaniając starannie twarz brzegiem poły swego płaszcza.

Możność dostania się do wnętrza zawdzięczał zamieszaniu jakie powstało przy przekraczaniu bramy.

– Alicja zostawiwszy swych zaufanych na dziedzińcu śmiało szła w kierunku placu.

De Montauban szedł w ślad za nią. Nie zdążyła jeszcze dojść, kiedy drzwi otworzyły się, stanął w nich piękny młodzieniec. Był to Franciszek Lotaryński hrabia d'Aumale.

Przywitał się z Alicją i trzymając w ręku pochodnię wprowadził ją do sieni, i dalej przez kilka pokoi. Wreszcie w jednym z nich zatrzymał się i wprowadził gościa.

Montauban podszedł do uchylonych drzwi i zajrzał przez szparkę, nadstawiając ucha, sprawdził jednocześnie, czy szpada sprawnie się rusza w swej pochwie.

Hrabia tymczasem wskazał Alicji miejsce i sam usiadł. Siedzieli po dwóch stronach stołu, na którym stała płonąca pochodnia. Nie spoglądali na siebie wrogo, jednak zachowanie ich było raczej zimne. Hrabia specjalnie podkreślał swe stanowisko wielkiego pana, Alicja, która

wiedziała, że powinna być traktowana jak równa, uzbroiła się również w pancerz dumy, graniczącej prawie z impertynencją, co zmuszało chwilami Franciszka do odwrócenia wzroku.

Montauban widział doskonale jak prześcigali się ze sobą w podkreślaniu swej wielkości.

– Mości de Maubert – rzekł hrabia d'Aumale, cedząc wyrazy – wybac mi pan, że nie przyjmuję pana tak, jak się to słusznie należy człowiekowi tak bardzo cenionemu przez księcia de Guise, mego ojca, i kardynała Lotaryngii. Wiesz sam jednak, że jestem tu incognito, król nie przebaczyłby mi tego, że opuściłem armię bez jego zgody. Przybyłem do tego niezamieszkałego pałacu z paru zaledwie ludźmi i opuszczę go wraz z panem, aby nie ściągać na siebie podejrzania.

– Mości d'Aumale – odpowiedziała Alicja – wiem, że musisz pan działać z największą ostrożnością.

Hrabia d'Aumale przyzwyczajony do tytułu co najmniej „waszej miłości”, zmarszczył brwi, słysząc z ust Alicji „mości d'Aumale” i zmierzył ją groźnym spojrzeniem, Alicja jednak ani drgnęła, wytrzymując mężnie jego wzrok. Zmierzyli się spojrzeniem, jak dwaj przeciwnicy, krzyżujący broń przed rozpoczęciem pojedynku. Wzrok Alicji był tak mocny, że potomek potężnego rodu Gwizjuszy odwrócił wzrok. Gniew zdusił go za gardło, widać jednak instrukcje, dane mu przez ojca, były bardzo surowe, powściągnął bowiem wzburzenie i nie wyszedł z ram lodowatej uprzejmości.

– Jego eminencja przeprasza waćpana, że nie może być obecny przy tej rozmowie, dlatego też polecił mi zastąpić go.

– Jego eminencja uprzedził mnie wcześniej, że nie może przybyć, nie spodziewałem się więc wcale ujrzeć go tutaj. Nie mniej jednak w myśl umowy przywiozłem obiecane mu sto tysięcy liwów.

– Sto tysięcy?! – powtórzył w zamyśleniu hrabia d'Aumale.

– Nie wiedziałeś pan nic o tym, że masz je otrzymać? – zabrzmiało nieco ironicznie pytanie Alicji.

Nie dając bezpośredniej odpowiedzi sięgnął po zwój papierów, leżący na stole, i podając je Alicji, bąknął niedbałym tonem:

– Oto kwit z odbioru tej sumy wraz z dołączeniem odsetek oraz dokumenty gwarancyjne.

– Fe, mości d'Aumale, czy uważasz mnie pan za lichwiarza, albo w najlepszym razie za mieszczaucha, pragnącego zrobić na pożyczce dobry interes?

Ton, jakim wypowiedział te słowa, zmieszał hrabiego, zaczął się tłumaczyć:

– Jednakowoż... należy przecież... suma jest wysoka...

Alicja sięgnęła po papiery, ujęła je w koniuszki palców, przedarła na pół, po czym rzuciła skrawki na dywan, odtrącając je butem.

– Jego eminencja zwrócił się do mnie o pożyczkę, apelując do mej przyjaźni. Przyjaciele zaś pożyczają na słowo, w interesach pomiędzy dwoma szlachcicami wystarczy słowo. Zresztą sto tysięcy liwów jest dla mnie bagatelką. Jego eminencja zwróci mi dług wtedy, kiedy będzie chciał i mógł. A gdyby on, czy ktoś z rodu Gwizjuszy potrzebował jeszcze kiedyś gotówki, cały mój majątek stoi do ich dyspozycji.

– Jesteś pan aż tak bogaty? – wykrzyknął odruchowo hrabia d'Aumale.

Zapomniał w tej chwili o swej wielkości, o rodowej dumie, o urazie, jaka zrodziła się w jego sercu na skutek wyniosłej postawy i tonu „pana de Maubert'a”.

Montauban również otworzył szeroko oczy ze zdumienia.

– Fiu! fiu! – szepnął pod nosem – sto tysięcy to dla niego bagatelka! To chyba jakaś prawnuczka Krezusa! Kim, u licha, jest ta kobieta?!

Alicja na widok, jaka zmiana nastąpiła w zachowaniu hrabiego, uśmiechnęła się nieznacznie, rozparła się wygodnie w fotelu, i bawiąc się pierścieniami, które zdobiły palce jej rąk, odpowiedziała pytaniem na pytanie:

– Czy wiesz, hrabio, że mam siostrę?

Pytanie to było wyrzeczone z takim naciskiem, że Franciszek zrozumiał, iż na dnie jego tkwiło coś, co mogło mieć niezwykłą doniosłość. Wpatrując się badawczo w mówiącą odpowiedział:

– Mój ojciec i mój wuj wspominali mi o tym.

– Siostra moja jest bardzo piękna, ma osiemnaście lat, wiek w którym należy już pomyśleć o małżeństwie.

– Jego eminencja, wielki znawca urody niewieściej, mówił mi o siostrze waćpana jak o skończonej piękności, a wiem, że pod tym względem można zaufać jego gustowi.

Alicja skinieniem głowy podziękowała za komplement i ciągnęła dalej:

– W dniu, w którym znajdzie przyszłego małżonka, a będzie on tym, którego ja będę uważała za odpowiednią dla niej partię, otóż w tym dniu wniesie mu ona posag w wysokości... dwu milionów liwrów.

Oświadczenie to spadło na hrabiego, jak uderzenie maczugi, przygarbił się pod ciosem i schrypniętym głosem wybełkotał:

– Dwa miliony! Dwa miliony!

– W brzęczącej monecie – dodała w formie wyjaśnienia. Do tego jeszcze liczne posiadłości i ziemie. Nie wiem dokładnie, jaka jest ich wartość, należy jednak wnosić, że przekracza milion liwrów.

Franciszek Lotaryński, hrabia d'Aumale, podobnie jak wszyscy Gwizjusze, odznaczał się wrodzoną chciwością. Oszołomiony tym, co usłyszał, nie wierząc po prostu swoim uszom, schrypniętym ze wzruszenia głosem, wykrzyknął:

– Razem trzy miliony!

Zaraz jednak głosem pokornym dodał:

– Ależ pan rujnuje się dla siostry, panie de Maubert!

Tym razem z ust jego nie padło już zimne „mości”, tylko pełne szacunku „panie de Maubert”.

Znowu po ustach Alicji prześlizgnął się cień ironicznego uśmiechu.

– Bynajmniej! Ja, jako głowa rodu, rozporządzam o wiele większą fortuną – toteż jeśli siostra moja wybierze sobie takiego małżonka, którego ja dla niej upatrzę, i który wart będzie tego, ja ze swej strony, nie uszczuplając wcale swego mienia, będę mógł od siebie zaofiarować rocznie pięćset tysięcy liwrów do jego dyspozycji.

Tym razem już szeptem hrabia d'Aumale powtórzył parokrotnie:

– Dwa miliony w brzęczącej monecie i pięćset tysięcy rocznej renty? Czego bym nie dokonał, mając te pieniądze w ręku!

Alicja obdarzona niezwykle czułym słuchem usłyszała te słowa i odpowiedziała:

– Dokonałbyś, panie hrabio, wielkich rzeczy. Jestem tego pewny. Przysługują ci prawa do korony neapolitańskiej. Prawo to, poparte jedynie prawnymi argumentami, niewiele jest warte, a przynajmniej tyleż tylko, co geniusz wojenny, mogący je zdobyć siłą.

– Co postaram się uczynić!

– Wierzę w pański geniusz, panie hrabio, jestem pewny, że męstwo twe i sława będzie chlubą dla potomności.

– Dziękuję za słowa uznania i dodam do nich, że ja również wierzę – nie w mój geniusz, lecz w moją szczęśliwą gwiazdę. Jestem skromny.

– Gwiazda ta zapłonie niezrównanym blaskiem! – wyrzekła Alicja proroczym tonem. – Mając dwa miliony np., których, hrabio, nie posiadasz na razie, tworzysz armię i po miesiącu królestwo neapolitańskie jest w twojej mocy. Ani Franciszek ani Karol nie zdołają ci go odebrać. Umacniasz się na tronie, do skarbcza twego napływa złoto: jeszcze dwa miliony, trzy, cztery – jeśli zajdzie tego potrzeba i miłość twych poddanych jest zapewniona... Rozpoczniesz erę wielkich wypraw z bronią w ręku. Dzieło Karola Wielkiego czeka na urzeczywistnienie. Jesteś hrabio młody, za lat dziesięć piękna bajka może stać się rzeczywistością.

Hrabia d'Aumale porwany cudowną wizją przyszłości zerwał się z miejsca promienny nadzieją i dumą. Już, już chciał przemówić, aby roztoczyć przed Alicją obraz swych tajemnych ambicji i marzeń. Powstrzymał się jednak w porę i rzekł, uśmiechając się i wzruszając ramionami:

– Marzenia! Marzenia!

– Nie, to rzeczywistość, rzeczywistość zależna tylko od ciebie.

– Rzeczywistość? A jaki będzie w tym twój udział panie de Maubert? Nie przypuszczam bowiem, abyś pan ryzykował swoje miliony jedynie w tym celu, aby uczynić ze mnie króla lub cesarza.

– Nie, lecz w tym celu, aby siostra moja została królową i cesarzową.

– I to panu wystarczy? Nie żądasz niczego więcej? – zdziwił się d'Aumale.

– Wystarczy i nie żądam niczego więcej – odpowiedziała stanowczym tonem.

– Dobry z pana brat, a jeszcze lepszy twórca cudownych bajek. Bajki są piękne i podobne chwilami do prawdy, w gruncie rzeczy jednak są to jedynie bajki i koniec na tym.

– Co widzisz pan w moich projektach nieziszczalnego?

– Widzę jedną wielką trudność, którą zakomunikowałem już jego eminencji, i o której w tej chwili chcę szczerze panu powiedzieć.

– Ciekaw jestem; słucham – rzekła zachęcającym tonem Alicja.

– Otóż, widzisz pan – rzekł hrabia niepewnym głosem – mimo bajkowego posagu, jaki ma otrzymać pańska siostra, niestety, pozostanie ona zawsze tylko panną Bagnolet, niczym więcej.

Z ciężkim westchnieniem dodał:

– A szkoda!

– Słowem – bąknęła Alicja ze wzgardliwym uśmiechem – obawiasz się, panie hrabio, żeby nie mówiono, że książę Lotaryngii popełnił mezalians, żeniąc się z panną, co prawda zacnego szlacheckiego rodu, lecz bez tytułu.

– Tak jest – przyznał się szczerze hrabia. Niestety, muszę liczyć się z opinią publiczną.

– Bardzo słusznie. Pozbądź się pan jednak tych obaw. Panna de Bagnolet nie używa żadnych tytułów bo taką ma fantazję; podobnie jak ja, który się każe nazywać tylko kawalerem Janem de Maubert. Co robić! Różni ludzie mają różne dziwactwa! Musisz pan jednak wiedzieć, że siostra moja przyniesie panu w wianie więcej tytułów, niż pan ich posiadasz, jakkolwiek jesteś księciem Lotaryngii. Dowiedz się pan, że ma ona między innymi prawo do tytułu niemieckiej księżnej krwi.

– Aaa! To zmienia postać rzeczy! – wykrzyknął ucieszony hrabia.

Nagle spowaźniał i zadał pytanie:

– Czy mogę uważać za poważne i niezmiennie propozycje, które uczyniłeś mi pan, jakkolwiek nie bezpośrednio.

– Tak. Pod warunkiem jednak, że zobaczysz się pan z moją siostrą. Musi się panu spodobać – to warunek konieczny.

– Och, jeśli jest tak piękna, jak jesteś nim pan – mężczyzna – bądź pan pewny, że mi się spodoba.

– Siostra moja – odpowiedziała Alicja z uśmiechem – podobna jest do mnie jak dwie krople wody. Nie wystarczy to jednak, aby się panu podobała; pan również musisz się jej podobać. Nie chciałbym narzucać jej małżonka, do którego nie czułaby sympatii.

– Tam do diabła! – mruknął d'Aumale.

– Nie martw się pan – upewniła go Alicja – mówisz pan, że jestem pięknym chłopcem, lecz z pana jest również bardzo piękny mężczyzna. Spodobasz się jej pan z pewnością.

– Życzę sobie tego! – oświadczył Franciszek d'Aumale – kiedy zechcesz mnie pan przedstawić paniom de Bagnolet?

– Kiedy panu się spodoba...

– Jak najprędzej. Nie należy zapominać, że jestem tu nieprawnie. Muszę jak najszybciej wrócić do wojska, jeśli nie chcę ściągnąć na siebie gniewu króla jegomości. Kardynał de Guise pod nieobecność mego ojca będzie mi towarzyszyć.

– Niech jego eminencja sam wyznaczy dzień, abym mógł zakomunikować go mojej matce, pani de Bagnolet.

– Jesteś strasznie miły, panie de Maubert! Będę miał w panu najwspaniałomyślniejszego z braci! – rzekł nagle w wybuchu serdeczności hrabia d’Aumale, wyciągając do Alicji rękę.

Alicja uścisnęła jego dłoń i odpowiedziała:

– Dodaj pan jeszcze: i najbardziej oddanego.

Po ustach jej przeleciał znowu zagadkowy uśmiech.

XXVIII

W PAŁACU KSIĄŻĄT LOTARYNGII.

– Wróćmy do tej rozmowy – zabrał głos d’Aumale po krótkim milczeniu – gdy pani de Bagnolet wyrazi swą zgodę na nasze małżeństwo. Na razie dalsze dyskusowanie nad sprawą, która może jeszcze rozchwiać się, nie ma sensu.

– Słuszna uwaga! Chcę jednak nadmienić jeszcze to, że na razie projekty te winny interesować nas tylko i nie mają nic wspólnego ze sprawą, która obchodzi księcia de Guise, pańskiego ojca, i kardynała Lotaryngii, pańskiego wuja.

– Naturalnie, że są to dwie zupełnie różne sprawy. Będę więc do czasu milczał, jak ryba, jakkolwiek wyznam szczerze, że milczenie to będzie mi bardzo ciężko.

– A więc umówmy się, że w sprawie ogólnej pozostaniesz pan tylko adiutantem księcia de Guise, w drugim przypadku jesteś pan główną osobą, tą która będzie działała zupełnie samodzielnie i która zakomunikuje swej rodzinie rzecz dokonaną...

– Tak jest! – przytaknął d’Aumale.

Alicja pomyślała w duchu:

– Gadaj zdrów! Prawdziwą głową całej tej afery będę ja, Alicja. Ja będę trzymała w rękę sznurki, na których ty, pajacu, będziesz tańczył tak, jak ci zagrają.

Hrabia d’Aumale myślał tymczasem:

– Nie bardzo chce mi się wierzyć w bezinteresowność tego bogacza de Maubert’a! Ale niech tam! Obiecuję mu wszystko, co tylko będzie chciał... Lecz od obietnicy do jej spełnienia jest daleko. Porachujemy się z nim wtedy, gdy nie będę go już potrzebował.

– A teraz, przechodząc do sprawy jego eminencji, zechciej pan zakomunikować mu, że znalazłem posła pewnego, takiego, jaki był nam potrzebny – rzekła Alicja, zmieniając ton przyjacielski na urzędowy.

– Jak to dobrze! – wykrzyknął hrabia. – Teraz przynajmniej sprawa posunie się o wiele szybciej. Istotnie, panie de Maubert, jesteś pan człowiekiem nieocenionej wartości pod każdym względem.

– Przedstawię swego wybrańca jego eminencji w najbliższym czasie! – rzekła Alicja, wdzięcznym ukłonem dziękując za komplement.

Po zakończeniu rozmowy na najbardziej palące tematy, hrabia i Alicja rozpoczęli rozmowę o sprawach zupełnie obojętnych. Właściwie mówiła Alicja a hrabia trzymał się w rezerwie i słuchał, notując sobie w myśli szereg cennych uwag czynionych przez Alicję.

A więc przede wszystkim „imć pan de Maubert” sprowadził rozmowę na temat pani Diany, urzędowej kochanki delfina, o której wiedział, że jest w niezwykle przyjaznych stosunkach z Gwizjuszami. Litując się nad nieszczęśliwą damą, którą delfin w ostatnich czasach coraz bardziej zaniedbywał, napomknęła sprytnie o pannie Nicoli de Savigny, lekkomyślnej małżonce wyrozumiałego na jej przywary barona de Ville. Dając do myślenia, że obojętność delfina dla pani Diany stoi w związku z jego sympatią dla zalotnej baronowej, dała do zrozumienia, że najgorętszym pragnieniem ambitnej pary było wysunięcie się na pierwszy plan i pogniębienie dawnej kochanki delfina.

– Gdybym był przyjacielem pani Diany ostrzegłbym ją przed grożącym jej niebezpieczeństwem – zakończyła – albo...

– Albo co?

– Albo, zacząłbym umizgać się do pani Nicoli...

– Dobra rada! – pomyślał z uznaniem hrabia d’Aumale.

Teraz Alicja zaczęła mówić o małżonce delfina, pani Katarzynie de Medici, która nie dała jeszcze delfinowi spadkobiercy.

– Ba! – rzucił niedbale hrabia d’Aumale, domyślając się, że Jan de Maubert ma jakąś ukrytą poważną intencję w tym, o czym mówił. – Pani Katarzyna nie ma jeszcze dwudziestu pięciu lat. Następca i spadkobierca może jeszcze przyjść na świat.

– Pan Fernel, medyk nadworny delfina i jego małżonki, zapewnia, że księżna pani nie może mieć dziecka... a przynajmniej nie może go mieć z... Powiadają również, że księżę Orleanu mimo swego zdrowego wyglądu jest bardzo słaby i że umrze młodo... bardzo młodo... przed zawarciem związków małżeńskich. Tym sposobem rodowi Walezjuszy groziłoby wygaśnięcie.

Po chwilowej pauzie dodała, cedząc powoli wyrazy:

– Kto odziedziczyłby po nich tron Francji, najpiękniejszy z tronów świata chrześcijańskiego?

Hrabia d’Aumale zbladł i zaczął nerwowo targać wąsy. Po chwilowym milczeniu powiedział:

– Na szczęście delfin jest młody... król nawet nie jest jeszcze stary, śmiało rzec można, że jest w sile wieku i może jeszcze żyć długie lata.

– Istotnie jest silny, w sile wieku i może żyć jeszcze długie lata – powtórzyła Alicja – król jednak jest wielce nieostrożny... nieostrożny, jak płochy młodzieniaszek. Czy uwierzysz mi pan, panie hrabio, że spotkałem go dziś na ulicy, w przebraniu zwykłego śmiertelnika, gorzej – najwyżej biednego szlachetki... I to gdzie? Na ulicy de la Corderie... przy tym bez żadnego orszaku... zupełnie samego. Wyobrażasz pan sobie, panie hrabio, król jegomość sam na ulicy de la Corderie, udający się z wizytą do pana Klotariusza de Ponthus i powracający od niego również bez innej eskorty, prócz towarzystwa samego pana domu – pana de Ponthaus’a. Zaiste, że jest to nieostrożność godna potępienia. Pomyśl pan tylko, co by było, gdyby tak nagle jakiemuś łotrowi strzeliło do głowy urządzić na niego zasadzkę.

Słowa te były wymówione z niezwykłą prostotą, tylko bardzo subtelne ucho zauważyłoby akcenty takie, które można by wziąć za ukrytą chęć podżegania do królobójstwa i za sprytnie dostarczenie wszystkich potrzebnych do wykonania tego zamiaru informacji.

Hrabia d’Aumale zrozumiał najwidoczniej jej ukryte intencje, nie zdradził się jednak z tym z niezwykle szczerym niepokojem i przestachem zawołał:

– Bogu dzięki, poddani wierni są królowi jegomości i kochają go ogromnie. Nie ma obawy, aby podobna zbrodnia mogła się dokonać w naszej stolicy.

– Oby niebo wysłuchało was, panie hrabio! Lecz jeśli nie zbrodnia, może być nieszczęśliwy wypadek. Słyszałeś pan pewnie o istnieniu czterech groźnych łotrzyków: Czerwonorękiego, Urwilebka, Koziej Bródki i Białorączki?

– Całe miasto mówi o nich – odpowiedział hrabia ze wzruszeniem ramion – wszyscy boją się ich panicznie, prawie równie panicznie jak agentów prefektury.

– To prawda! – stwierdziła Alicja z uśmiechem – wyobraź sobie teraz, panie hrabio, że taki rzezimieszek, czyhając na łup, weźmie samotnie spacerującego po mieście króla jegomości za zwykłego mieszczanina, lub szlachetkę i że, pragnąc ograbić go z gotówki, pomaca go na pożegnanie sztyletem pod żebro... Jedna chwila a może stać się niepowetowane nieszczęście. Nie będzie w tym nawet zbrodni stanu... Zwykła pomyłka łotrzyka... a nieszczęście gotowe, że też w otoczeniu króla nie znajdzie się nikt, kto by zwrócił jego uwagę na szaleństwo, jakie popelnia, postępując w ten sposób.

– Ach! Gdybyśmy nie byli u niego w niełasce! – westchnął hrabia d’Aumale.

– Och! Wierzę, że pan odważyłbyś się na to, aby upomnieć króla! – wykrzyknęła Alicja. Lecz jakkolwiek jesteś pan i wszyscy twoi w niełasce u króla jegomości, jego książećca mość delfin ceni i lubi cię bardzo.

– A więc? – zapytał hrabia, szeroko otwierając oczy.

– A więc uprzedź, hrabio, delfina, który na pewno nie podejrzewa, jak nieostrożny jest jego ojciec.

– Jak mogłem nie pomyśleć o delfinie – zawołał hrabia.

– O rzeczach najprostszych myśli się zawsze na końcu! – uśmiechnęła się Alicja. – Powinieneś, hrabio, rozmówić się z delfinem, a on ze swej strony postąpi tak, jak będzie uważał za najwłaściwsze.

Widocznie wszystko już było powiedziane, co należało powiedzieć, za chwilę bowiem Alicja zaczęła zbierać się do wyjścia. Hrabia, trzymając w ręku pochodnię, odprowadził ją do przedsionka, zamierzając najwidoczniej opuścić pałac zaraz po niej, przechodząc bowiem przez pokoje zamykał za sobą kolejno drzwi na klucz i zasuwę. W przedsionku odłożył pochodnię i wyszedł z Alicją na podwórze, pozostawiając drzwi wejściowe otwarte.

Na dworze była już noc głucha. W mroku majaczyły niewyraźnie kontury kilku koni i sylwetki ludzi, trzymających je za uzdy. Orszak hrabiego d’Aumale również przygotował się już do drogi, czekając tylko na rozkaz swego pana, aby opuścić podwórze pałacu.

W chwili, gdy hrabia, rozmawiając z Alicją, zszedł schodami ganku na podwórze, jeden z jego sług zbliżył się pośpiesznie do niego. Był to ten sam stary żołdak, który otworzył furtkę, wpuszczając na podwórze Alicję, jej hajduków, a za nimi kawalera de Montauban.

Bardzo zaambarasowany stary żołdak rzekł bardzo nieśmiało:

– Fasha fysokość.

Nie zdążył nic więcej powiedzieć, hrabia Franciszek bowiem odsunął go od siebie niecierpliwym ruchem ręki, mówiąc:

– Zaraz, mój Hermanie.

Herman stanął na uboczu, rozmawiając półgłosem z dwoma cieniami ludzkimi, kryjącymi się w mroku nocy.

Dwaj hajducy Alicji podali jej konia, hrabia odprowadził ją aż do progu furtki i cofnął się na podwórze pałacowe nie wcześniej, aż ujrzał sylwetki trzech jeźdźców, tonące w nocnej mgle. Nie oddalając się od furtki, którą przezornie zamknął, owinął się w swój szeroki płaszcz i zapytał:

– Co się stało z mieszkaniami?

– Przytroczono je do siodła naszych koni, fasha fysokość – odpowiedział Herman i znowu zaczął nieśmiało:

– Fasha fysokość...

– Zgaś światło, pozamykaj drzwi i w drogę – rzucił rozkaz hrabia d’Aumale.

Potem dodał:

– Tylko nie robić hałasu.

– Przed opuszczeniem pałacu... – wybelkotał Herman.

– Prawda – przypomniał sobie nagle hrabia – miałeś mi coś powiedzieć.
Herman pochylił się hrabiemu do ucha i zaczął coś mówić.

– Co pleciesz, bydle! – zachnął się hrabia. – Włóczęga jakiś zakradł się do pałacu?! Kto ci to powiedział? Kto mu otworzył?

– Kto mu otworzył? Ja, faszka fysokość... Sądziłem, że naleśły do orszaku tego młodego pan, który to był u nas. Kto mi to powiedział? Dwaj czcigodni sakonnicy.

Z tymi słowami zwrócił się w kierunku dwóch ludzkich cieni; kryjących się przezornie za zasłoną z nocnej mgły.

Hrabia d'Aumale zwrócił się również w ich kierunku i rozkazującym tonem rzucił krótko:

– Chodźcie bliżej!

Dwa ludzkie cienie przysunęły się powoli, jakby ociągając się. D'Aumale nie zwrócił na to uwagi. Obejrzał zakonników podejrzliwie od stóp do głowy, trudno mu jednak było widzieć cokolwiek o tej porze, zwłaszcza, że kaptury habitów były silnie naciągnięte na twarz.

– Kto jesteście?

– Brat Teobald! – Brat Lubek! – odpowiedzieli jednocześnie.

Zaraz potem dodali:

– Jesteśmy ludźmi kardynała Lotaryngii, który nam powierza od czasu do czasu różne poufne misje. Czy wasza wysokość nie poznałeś nas?

– Owszem, poznaję! – bąknął hrabia już nieco łaskawszym tonem.

Słyszał już kiedyś, bywając u stryja, te imiona, rzecz oczywista jednak – nie zwrócił na nie uwagi. To jednak, że imiona, ich nie były mu obce, wreszcie szaty zakonne, wszystko to razem budziło w nim zaufanie. Chcąc jednak upewnić się ostatecznie zapytał:

– Jak weszliście na podwórze?

– Furtką! – zabrzmiała dziecięco naiwna odpowiedź.

– W to nie wątpię! – syknął hrabia, nie odznaczający się nadmiarem cierpliwości. – Lecz jak ta furtka otworzyła się przed wami? Chcę to wiedzieć.

– Daliśmy umówiony sygnał, wasza wysokość. Sygnał znany tylko ludziom zaufania jego eminencji kardynała.

– A my mamy zaszczyt należeć do ich grona.

Sprawa zakonników została wyjaśniona. Pozostawała druga. Oto, jak zapewniali zakonnicy, włóczęga imieniem Montauban, zakradł się do pałacu, podszywając się pod rolę hajduka pana de Maubert. Kim był ów Montauban? Zwykłym włóczęgą i złodziejaszkiem, czy też szpiegiem, nastawionym?... Przez kogo? Na czyją rzecz chciał szpiegować?

Oстрым głosem zapytał starego żołdaka:

– Dokąd poszedł ten włóczęga, którego wpuściłeś na podwórze ty głupcze? Ładnie dbasz o moje bezpieczeństwo!

Stary żołdak pochylił głowę, pokornie uznając swą winę:

– Szedł za młody pan – szepnął.

– Tam? – pytał dalej hrabia, wskazując na ganek.

– Tak, faszka fysokość.

– Jesteś tego pewny?

– Fidiałem doskonale, ja ftedy pomagać znosić forki do stajnia.

Hrabia drgnął niespokojnie:

– Szedł za nami, aby podsłuchać naszą rozmowę. To jasne. Na pewno wszystko słyszał – pomyślał.

Jakkolwiek rozmowa toczyła się w bardzo ostrożnym tonie i nic nie było powiedziane wyraźnie, jednakowoż niepowołany słuchacz słyszał stanowczo za dużo.

– Ze względu na bezpieczeństwo moje i bliskich mi osób, nie może on ujść stąd z życiem... I nie ujdzie. Znalazł się w potrzasku, ponieważ miałem szczęśliwą myśl pozamykać za sobą drzwi – rzekł do siebie.

Niedługo myśląc wbiegł na ganek, i przesadzając po kilka stopni, wpadł do przedsionka. Pogasił pochodnie, wrócił na ganek i zamknął ciężkie drzwi wejściowe na dwa spusty. Przez pomyłkę jednak, czy też z braku przyzwyczajenia do takich czynności pozostawił klucz w zamku. W drzwiach od pokoi wewnętrznych, pozamykanych przez niego przy wyjściu, klucze pozostały również. Wszedł na podwórze, mówiąc do siebie z pośępnym uśmiechem:

– Trzymam go mocno!

Ruszył na drugi koniec budynku, rozkazującym skinieniem ręki wzywając swoich ludzi za sobą.

Ciekawi tego, co się stanie, Teobald i Lubek ruszyli za żołnierzami hrabiego, trzymając się jednak od nich w znacznym oddaleniu.

D'Aumale zatrzymał się przed niskimi drzwiami, które sam otworzył. Przed wejściem do wnętrza rzucił rozkaz:

– Uwaga, postaram się znieść nieproszonego gościa do piwnicy, gdzie go zamknę. Wy pozostańcie przed tymi drzwiami. Jeśli ptaszкови uda się uniknąć zasadzki, którą chcę na niego zastawić, jeśli przejdzie przez te drzwi, zaatakujcie jednocześnie i zamordujcie go bez litości. A przede wszystkim zachować milczenie!

Pewny, że rozkaz jego zostanie wykonany, wpadł do wnętrza budynku, pozostawiając drzwi za sobą otwarte.

Żołnierze zgromadzili się przed progiem, trzymając broń w ręku i z zatajonym oddechem zamarli w oczekiwaniu.

Nieobecność hrabiego trwała zaledwie parę minut, wkrótce ukazał się w drzwiach z pełną ponurą radością miną.

– Stało się! Nasz ptaszek jest w piwnicy. Może teraz pić do syta.

Widocznie słowa te miały jakieś ukryte znaczenie, żołnierze bowiem parsknęli stłumionym śmiechem.

Śmiech ten był tak znaczący i groźny, że Teobald i Lubek poczuli, jak włosy zjeżyły im się ze strachu.

Hrabia zwrócił się teraz do Hermana ze słowami:

– Wobec tego, że to ty dopomogłeś mu wejść do pałacu, musisz usłużyć mu i być jego piwnicznym.

Widząc przerażoną minę żołdaka zmiękł i oświadczył łaskawie:

– Zresztą tym razem daruję ci jeszcze twą winę. Wiem, że uczyniłeś to niechcący, pamiętaj jednak, aby mi się to nie powtórzyło, skończysz bowiem wysoko... aż na szubienicy! A teraz na koń i w drogę!

Uszczęśliwiony, że pan darował mu winę, stary żołdak pośpieszył spełnić pański rozkaz, mruczając:

– Pądz spokojny, faszka fyszokość, taki stary lis, jak ja, da się wyprowadzić w pole raz tylko. So zaś do tego włóczęga mogę ręczyć głową, że na niczym mu nie zbraknie... Opije się tak, że fkońsu będzie musiał pęknać...

Znowu wybuchły stłumione śmiechy, nawet sam hrabia raczył uśmiechnąć się łaskawie.

W rogu podwórza stało coś w rodzaju pompy. Herman podszedł do niej i zaczął obracać z całej siły jej rękojeść. Rozległo się ponure zgrzytnięcie.

Zaciekawieni jego czynnością Teobald i Lubek nie mogli powstrzymać się od pytania:

– Co robisz, mój synu?

– Fidzicie, czcigodni ojcowie! – odpowiedział z brutalnym śmiechem stary Herman – poję mego człowieka – tak kciał jego miłość.

– Poisz go? – zapytali ze zdziwieniem.

– Ja! – Poję go! Nie rozumiecie jeszcze?

Skinieniem głowy wskazał na mur, oddzielający pałac od wąskiej uliczki, biegnącej brzegiem rzeki.

– Rzeka! – wykrzyknęli braciszkanie zakonni. – Zalewasz piwnicę, w której jest ten łotr Montauban! Ach!

– *Jawohl!*⁶ – odpowiedział Herman, znowu wybuchając śmiechem.

Teobald i Lubek – zaspokoiwszy swą ciekawość, pośpieszyli przezornie w kierunku furtki w murze, rozmawiając ze sobą z ożywieniem i kłócąc się chwilami.

Herman tymczasem po dopełnieniu swej powinności obrzucił badawczym spojrzeniem podwórce, aby się przekonać, czy nie ma tam nikogo obcego, wyszedł ostatni i zamknął furtę na klucz, chowając go starannie do kieszeni, po czym wskoczył na siodło z lekkością, której mogliby mu pozazdrościć młodzi.

Hrabia d’Aumale wysunął się na czoło oddziału. Widząc, że orszak jego jest w komplecie, rzekł, zwracając – się do zakonników:

– Wybaczcie, czcigodni ojcowie, że was nie odprowadzę do klasztoru, lecz śpieszy mi się bardzo.

Braciszkanie zakonni, którzy nie odznaczali się zazwyczaj nadmiarem odwagi, tym razem, rzecz dziwna, nie zaprotestowali i nie prosili żołnierzy o pozwolenie zajęcia miejsca za ich plecami na końskim zadzie, aby dostać się do bardziej zaludnionej części miasta.

Hrabia zresztą nie czekał na ich odpowiedź, lecz, dając znak do wymarszu, odjechał wraz z całym swym orszakiem.

Teobald i Lubek szli czas jakiś ich śladem, lecz bardzo wolno. Można by rzec, że zależało im jedynie na tym, aby się upewnić, że odjechali na dobre, pozostawiając ich panami sytuacji.

Szli wolno, spierając się ze sobą coraz bardziej.

XXIX

UWIĘZIONY

Montauban wysłuchał całej rozmowy Alicji z hrabią d’Amuale. Widząc, że zbiera się do odejścia, zorientował się, że będzie musiała przejść przez pokój, w którym był ukryty.

– Do diabła, najwyższy czas brać nogi za pas, jeśli nie chcę być przyłapany na gorącym uczynku, jak złodziej, który zakradł się pod cudzy dach! – rzekł do siebie.

Łatwiej jednak chcieć wydostać się z tonącego w mroku pałacu, niż to uczynić.

Po omacku, nieskończenie ostrożnie, drżąc z obawy, że nieostrożny krok lub posunięcie jakiegoś przedmiotu może zdradzić jego obecność, szedł w kierunku, gdzie, jak mu się zdało, znajdowały się drzwi.

Niecierpliwił się, że jeszcze nie natrafił na nie, nic w tym jednak nie było dziwnego, drzwi bowiem znajdowały się właśnie za jego plecami. W chwili gdy hrabia wyszedł ze swego gabinetu, aby z pochodnią w ręku towarzyszyć Alicji na ganek, Montauban znajdował się ciągle jeszcze w tym samym pokoju. Nikłe światło pochodni nie zdołało rozproszyć w dostatecznej mierze zalegających go ciemności, toteż hrabia nie zauważył nieproszonego gościa. Montau-

⁶ Tak jest!

ban skorzystał z odrobiny światła w pokoju, aby zauważyć, że stoi przed jakimiś drzwiami, stwierdziwszy, że są to te same drzwi, których szukał, z szybkością strzały znalazł się za progiem, zamknął za sobą drzwi i... znowu otoczyła go głucha noc.

Odetchnął z ulgą, ocierając zimny pot z czoła, przerażała go bowiem myśl, że może być wzięty za łotrzyka, który zakradł się do pałacu w celach rabunkowych.

Ulżyło mu ostatecznie na sercu, gdy usłyszał zgrzyt zamykanych na klucz drzwi. Wycze-kał jeszcze chwilę, aby się upewnić, że pan domu i gość są już na podwórzu.

– Teraz nogi za pas! – pomyślał.

Wrócił do pokoju, z którego ratował się ucieczką przed panem domu, po czym zaczął szukać drzwi, wiodących w stronę wyjścia. Wzrok jego oswojony już nieco z ciemnością rozróż-niał kontury przedmiotów, których nie widział wcale przed paroma minutami. Natrafił wresz-cie na drzwi, lecz niestety, drzwi te były zamknięte na klucz; z drugimi była ta sama historia. Nie przeraziło go to zbytnio.

– Trudno – powiedział – będę musiał poszukać sobie innej drogi. Po dłuższym błakaniu się po pokoju stwierdził, że jest w dosyć szerokim, kamiennymi płytami wyłożonym korytarzu.

– A teraz dokąd iść? Na prawo, czy na lewo? Ee... zdajmy się na los, zobaczmy co z tego będzie.

Skręcił w prawo i los doprowadził go do ściany. Dalsza wędrówka stała się niepodobień-stwem. Musiał powracać na dawne miejsce. Postanowił nie śpieszyć się, wypocząć trochę, doczekać się dnia, a potem obmyśleć jakieś wyjście. Nagle usłyszał za sobą kroki.

Nie zawiódł go słuch: był to hrabia d'Aumale, który znając doskonale wszystkie zakamar-ki pałacu przygotował na wroga pułapkę i teraz zaganiał go do tej pułapki, jak dzikie zwierzę.

Montauban nie chciał z nikim się spotkać, aby nie narazić się na niesłuszne posądzenie, przyśpieszył więc kroku, sunąc pod ścianą chyłkiem. Jak poprzednio natknął się znowu na ścianę. Była gładka i gruba, nie było więc ani iskierki nadziei na wydostanie się z matni. Na-gle dotykając palcami powierzchni muru uczuł, że ściana usuwa mu się spod ręki. Wtedy zro-zumiał, że natrafił na jakieś drzwi, które nie zostały zamknięte.

Te otwarte drzwi były ową właśnie pułapką, zastawioną na niego przez hrabiego d'Aumale.

Wiedziony głuchym przecuciem Montauban chciał na razie ominąć je, usłyszał jednak za sobą kroki zbliżającego się coraz bardziej człowieka, który mógł wziąć go za złodzieja. Myśl ta przytłumiła ostrożność. Otworzył drzwi, wszedł do wnętrza zamykając je bardzo cicho za sobą.

W tej samej chwili usłyszał niepokojący zgrzyt szybko zamykanej zasuw. Zaległa cisza. Człowiek, który zamknął drzwi na zasuwę oddalił się, nie wyrzekłszy ani słowa.

Gdy już echo jego kroków ucichło Montauban pociągnął do siebie drzwi, lecz niestety, drzwi nie chciały się otworzyć.

– Wpadłem w potrzask! – rzekł ze smutną miną – Ładny interes! Zresztą, co tu gadać, mam to, na co zasłużyłem! Zechciało mi się śledzić pannę, która nosi się po męsku i włada bronią, jak mężczyzna, a która jest podszyta złotem! Zechciało mi się podsłuchiwać, jak stara plotkara! Zechciało mi się poznawać cudze tajemnice... słuchać spisków przeciw królowi je-gomości! Dobrze mi tak! Siedzę teraz w tej kreciej jamie, z której rzecz wątpliwa, czy jest jakieś wyjście!

Zaczął obmacywać ściany i badać grunt uderzając nogą po podłodze. Po pewnym czasie poczuł pod nogami stopień schodów, wiodących na dół, widocznie do piwnic.

– Trzeba zbadać, co to być może. Może odkryję w piwnicy jakąś żywność, albo parę fla-szek wina. Tam u diabła, piwnica książąt Lotaryngii powinna być dobrze zaopatrzona. Przy-dałoby się bardzo, bo teraz dopiero czuję, że umieram z głodu i pragnienia.

Znalazłszy się w tej małej piwniczce musiał pożegnać się z nadzieją zaspokojenia głodu i pragnienia, w piwniczce bowiem było pusto, jak wymiółł. Nie posiadała ona również żadnego

wyjścia, ani nawet okienka, jedyną drogą odwrotu mogły być drzwi górne. Lecz jak je otworzyć?! Drzwi ciężkie, dębowe a w dodatku okute. Nie poradzą tu nic ani ręce, ani nawet ostrze sztyletu.

– Nie pozostaje nic innego, jak przespać się na razie, aby wypocząć trochę i na chwilę zapomnieć o głodzie. Po przebudzeniu trzeba będzie obmyśleć jakiś fortel.

Po powzięciu tej decyzji wybrał sobie miejsce i przykucnął, aby rozpostrzeć na ziemi swój płaszcz; nagle podniósł się i zaklął.

– Ależ ziemia tej diabelnej piwnicy, oby zapadła się pod ziemię, nie jest wysypana piaskiem, lecz okryta jest mułem. Nie będę przecież spać na takim świństwie.

Otulił się w płaszcz i usiadł na ostatnim stopniu schodków, opierając się o ścianę, zamknął przy tym oczy, postanawiając spać, ponieważ nic lepszego nie mógł uczynić. Już, już zaczął zasypiać, nagle otworzył oczy, zerwał się na równe nogi i mruknął:

– Co to jest?

Do uszu jego doleciał cichy plusk wody, zalewającej piwnicę.

Nogi jego zanurzone były już w wodzie, która ciągle wznosiła się wyżej i wyżej. Teraz dopiero rozumiał, że obecność jego w pałacu została wykryta, że zastawiono potrzask i że w niego wpadł sam.

Nie tracąc zimnej krwi, rzekł do siebie:

– Zdaje mi się, że na tej piwnicy zakończy się kariera ostatniego z Montauban'ów.

Myśli jego uleciały w kierunku Polnej Różyczki, do której jeszcze nie przemówił ani słowa i dla której popełnił tyle już szalonych czynów. Stłumił westchnienie gorzkiego żalu za nieziszczonym śnie o szczęściu.

Opanował jednak szybko swe zdenerwowanie.

– Co, u diabła, przecież jeszcze żyję! Woda napływa do piwnicy, wejdźmy na schody! Do czasu zanim woda zaleje schody, może stać się dużo! A jeśli nic się nie stanie, mam przecież sztylet; lepiej jest wymierzyć sobie cios prosto w serce, niż pozwolić, aby ta błotnista woda miała mnie udusić.

Usiadł na platformie schodów i oparł się plecami o drzwi. Nie mógł już jednak usnąć. Od czasu do czasu schodził schodami do piwnicy, aby się przekonać, jaki jest stan wody. Powoli i nieznacznie jednak podnosiła się ciągle.

XXX

NICOLA DE SAVIGNY

Pan de Ville po napuszczeniu Tyki i Pęcherza na kawalera de Montauban ruszył ulicami miasta, podążając w kierunku ulicy Małp; tu wszedł do skromnego domku, znajdującego się na rogu ulic: Małp i Starokościelnej. Domek ten posiadał dwa wejścia: jedno od ulicy Małp, drugie od Starokościelnej. Okna wychodziły również na obie ulice. Nikt nie wiedział czyją domek ten jest własnością, pan de Ville – jego właściciel, zajmował tu nieduże mieszkanie, w którym bywał co pewien czas w wielkiej tajemnicy. Tajne zadania, jakie mu powierzał delfin zmuszały go do posiadania w różnych częściach miasta takich kryjówek. Jedynie Tyka i Pęcherz wiedzieli, kiedy i w którym z licznych mieszkań można było go zastać.

Znalazszy się we wnętrzu domku pan de Ville zamknął za sobą starannie drzwi i wszedł na pierwsze piętro. Natychmiast podszedł do okna, otworzył ciężkie drewniane okiennice i spojrzał badawczo na piękny pałacyk, wznoszący się naprzeciwko, po drugiej stronie ulicy.

Na twarzy jego rozlał się wyraz zadowolenia, rzekłbyś, że ujrzał coś bardzo miłego; odszedł potem szybko od okna, pozostawiając okiennice niedomknięte.

Pośpiesznie umył się, zmienił ubranie, opatrzył liczne rany i zdraśnięcia, wreszcie po ukończeniu toalety znowu wyjrzał oknem i wyszedł z domku na ulicę Starokościelną. Tak szczerze owinął się przy tym w płaszcz, że nie widać mu było nawet końca nosa.

Stanąwszy przed pałacykiem, sięgał po pięknie wyrzeźbioną z brązu kołatkę i zapukał w jemu tylko właściwy sposób. Nie upłynęła minuta, kiedy już młoda pokojowa wprowadziła go do gabinetu, umeblowanego z królewskim przepychem. Tu pochylił się w pokornym ukłonie przed kobietą, która w tej chwili weszła innymi drzwiami.

Była to mała, drobna, dwudziestodwuletnia niezwykle piękna brunetka, o zdumiewająco inteligentnych oczach, bardzo jednak zimnych, co zdradzało oschłość serca.

Pan de Ville na jej widok złożył ceremonialny ukłon.

Kobietą tą była Nicola de Savigny, pani de Saint-Remy, baronowa de Ville... kochanka Henryka de Valois, delfina Francji...

Padła na stos poduszek przykrytych skórą olbrzymiego niedźwiedzia, a gdy się już znaleźli sam na sam, zawołała:

– Mój Boże! Baronie, co ci się stało?

Wskazała wzrokiem na rękę jego na temblaku i na jedwabny bandaż, osłaniający okaleczone policzki.

Mimo zainteresowania, z jakim zadała mu to pytanie, głos i wzrok tej pięknej laleczki pozostały zimno obojętne.

Baron przyzwyczał się już od dawna do tego rodzaju ujmowania przez nią sprawy, nie rzekł jednak na to ani słowa, zgrzytnął tylko zębami i mruknął:

– To włóczęga najpodlejszego gatunku tak mnie urządził.

– Włóczęga? – zdziwiła się Nicola de Savigny. – Sądzę, że chciałeś pan powiedzieć: banda włóczęgów.

– Nie, moja droga, nie omyliłem się mówiąc włóczęga; nie zrównany z niego szermierz, a jaką ma siłę! Tak, moja droga, gdyby tylko ten włóczęga chciał wyprawić mnie na tamten świat, byłabyś już w tej chwili wdową.

Oczy pani de Savigny błysnęły na sekundę dziwnym jakimś blaskiem potem znowu zgasły, de Ville jednak nie zauważył tego.

– Jak to? A więc znalazł się ktoś silniejszy od ciebie, baronie? – wykrzyknęła ze zdziwieniem. To cud prawdziwy! Opowiedz mi, proszę, jak to było.

W krótkich słowach opisał jej całą przygodę, pomijając niektóre szczegóły nie dlatego, żeby zataić prawdę, lecz dlatego, że chciał jak najprędzej przejść do tematu, który był przyczyną tego, że się tu znalazł.

Wysłuchiwała go ciągle uśmiechnięta, lecz zimna jak gład, gdy skończył opowiadanie – zawołała:

– Jesteś zeszepecony na zawsze!

– Tak jest, wczoraj jeszcze ładny chłopiec, od dziś stanę się przedmiotem odrazy, zawdzięczać zaś to będę dwóm bliznom po obu stronach twarzy. Przysięgam ci jednak, że ten włóczęga, ten łotr drogo zapłaci za to, co uczynił!

Głos jego był tak straszny i tchnął taką nienawiścią, że przyjrzała mu się przez chwilę uważnie, po czym z uśmiechem rzekła:

– Żal mi tego Montauban'a! Będzie się miał z pyszna, jeśli kiedyś wpadnie ci w ręce, baronie.

W duchu dodała:

– Dobrze mu tak! To dopiero głupiec! Mógł mnie uczynić wolną i nie uczynił tego!

De Ville zachnął się gniewnie, powściągnął jednak wybuch i rzekł ostro:

– Dajmy spokój łotrzykom i włóczęgom, a pomówmy o sprawach poważnych. Czy wypełniłaś pani wszystkie udzielone ci przeze mnie instrukcje?

– Czy to takie ważne? – zapytała z dziecięcym dąsem.

– Bardzo ważne! Czy nie rozumiesz, pani, tego?

– Nie! Przyznaję się do tego, że nie rozumiem. A przy tym to, czego ode mnie żądasz, baronie, jest takie straszne.

Zacisnął gniewnie pięści; przez chwilę myślała, że rzuci się na nią i udusi ją. Opanował się jednak i rzekł:

– Nie rozumiesz pani, czy też nie chcesz mnie zrozumieć. Wszystko, co nie obchodzi cię bezpośrednio jest dla ciebie najzupełniej obojętne. Otóż wbij to sobie pani do głowy, że pracujesz dla swojej przyszłości, a jestem pewny, że zrozumiesz mnie cudownie. Posłuchaj więc pani: nie wiadomo skąd i nie wiadomo kiedy mają przywieźć do Paryża dwa miliony w złocie.

Twarz Nicoli de Savigny zmieniła się nagle nie do poznania; usta rozdygotały się, oczy wyszły prawie z orbit, wybelkotała:

– Dwa miliony!

– Tak! Dwa miliony!

Chciwość położyła na tej pięknej dziecięcej twarzyczce swe piętno. Jej białe pieszczone rączki drgnęły; palce wykrzywił skurcz nerwowy, stały się one podobne do szponów drapieżnego ptaka.

– Ha! Ha! Ha! – zaczął szydzić de Ville, ożywiłaś się pani nareszcie! Otóż, moja piękna, szykuj żałobę i to prędko, bo i z tych milionów nie dostaniesz ani jednego liwra.

– Dlaczego? – zapytała chrapliwym głosem.

– Bo te miliony są nie dla delfina, lecz dla jego książęcej wysokości, księcia Orleanu, ukochanego braciszka naszego delfina.

– Jesteś tego pewny? – zapytała, a w oczach jej błysnęły krwawe błyski.

– Tam do licha! – odpowiedział szyderczym głosem de Ville – zapytaj o to jego księżęcą mość delfina. Powie ci, że jest to wiano jego brata... Złoto, do którego doda się jeszcze kilka prowincji... czy słyszysz? Gdyby cię więcej obchodziły cudze sprawy dawno już wiedziałabyś o tym, o czym wiedzą wszyscy dworzanie królewscy, że król jegomość nienawidzi Henryka. Nienawidzi go, a nie mogąc pozbawić go dziedzictwa tronu, pragnie urwać z jego własności jakiś kąsek na rzecz faworyta.

– Aaa! – wyszeptała przeciągle.

– Powiadają również, że jeśli cesarz i król pociągną jeszcze parę lat, tak sprytnie wszystkim pokierują, że delfin odziedziczy po ojcu tylko cień królestwa. Prawdziwym królem będzie jego księżęcą mość Karol. Czy rozumiesz teraz?

– Tak, rozumiem – odpowiedziała tym razem bez swego tradycyjnie uprzejmego uśmiechu. – Kto wie jednak, czy, jeśli znajdę na to jakąś radę, czy – powtarzam – pani Diana nie skorzysta z mego pomysłu.

– Co? Stara Diana?! – zaśmiał się hałaśliwie de Ville. – Ależ rzuć pani okiem w lustro i powiedz, czy potrafi ona walczyć zwycięsko, z pani młodością.

Poszła za jego radą: uśmiech zadowolenia ukazał się na jej ustach:

– Zdaje mi się – rzekła – że pani Diana będzie zmuszona istotnie do kapitulacji. Ale gdyby to tylko ona była moją rywalką... lecz jest jeszcze ta młoda dziewczyna... To jest dopiero prawdziwe nieszczęście!

Cisnęła się nagle gwałtownie:

– To pan obiecałeś jego księżęcej wysokości, że wydasz w jego ręce tę dziewczynę! Pan! Widzisz, a widzisz, że pracujesz pan na moją zgubę!

– Oszalałaś! – wrzucił ramionami – albo nie rozumiesz, że w ten sposób okazuję moją bezinteresowność, że zaszczycony łaskawymi względami pana i władcy... mam prawo czuwać z bliska... i działać w imię kościoła a więc bez podpisów. W każdym bądź razie mogę cię zapewnić, że osoba jej nie stanie na twojej drodze...

– Czy ona jest ładna? – zapytała Nicola ciekawie.

– Nic nie wiem – odparł niedbale. – Nigdy jej nie widziałem na oczy. Bo i po co?

– Zawsze lepiej jest poznać swego wroga! – rzekła Nicola sentencjonalnie.

– Być może, pamiętaj jednak o tym, że ten wróg nigdy cię nie zaniepokoi... Ja czuвам, o, nie obawiaj się! Teraz tylko zacząć działać bo, rozumiesz pani chyba, że nie można być prawie królową, gdy się nie ma księcia – kochanka! Czy zrozumiesz to w końcu, że nie chcąc zgubić twego kochanka, musisz postarać się o to, aby król Franciszek został wykreślony z listy żyjących! Czekam więc?

– Jeszcze dziś wieczór przystąpię do dzieła! – rzekła Nicola zdecydowanym na wszystko tonem.

– Pamiętaj o przysłowiu: czego baba chce, diabeł też zechce.

Pokiwała w zamyśleniu głową:

– Sondowałam już Henryka... Trudno będzie wyciągnąć z niego, co myśli o tym wszystkim. On taki nieufny i skryty... Nigdy nie wyda wyraźnie rozkazu, który masz na myśli...

– Może być również niewyraźny – warknął de Ville, byle tylko był! Podejmuję się reszty.

Uspokoił się. Wiedział, że będzie mu posłuszna, że dopomoże mu, uciekając się do wszystkich możliwych wybiegów niewieścich... że postara się uzbroidź dłoń syna przeciw ojcu... chodziło teraz bowiem już nie o sprawy ogólne, lecz o jej własny interes, o jej własny majątek.

Tłumaczył jej wszystko, rysował przed nią plan działania. Słuchała go uważnie, wtłaczając sobie do głowy szczegóły.

Kiedy wreszcie opuszczał progi jej domu, pożegnali się również ceremonialnie i sztywno: baron wychodząc na ulicę, zasłonił twarz brzegiem płaszcza, nie życząc sobie, aby go widziano.

XXXI

DELFIN I DIANA

Baron de Ville, nie śpiesząc się zbytnio, udał się do pałacu de Tournelles. Mogło być już około wpół do ósmej gdy wszedł do pokoju, w którym delfin, kończył przed wyjściem swą toaletę, przyjmując jednocześnie interesantów.

Myśl o Polnej Różycze nie przestawała go dręczyć! Myśląc jednak o niej, nie mógł już obecnie myśleć inaczej, jak łącząc jej osobę z osobą Montauban'a. Zgrzytał wtedy zębami w bezsilnej złości, mamrocząc głucho przekleństwa. Nie znał go jednak wcale, mimo to zazdrość opanowała jego serce, zazdrość, która nie zna litości.

Delfin nudził się. Co prawda było to u niego chlebem powszednim. Podczas gdy lokaj ubierał go, pan wzdychał i ziewał straszliwie.

W pokoju księcia byli jego faworyci Saint-André i Roncherolles; zamiast jednak, rozerwać trochę pana opowiadaniem o Polnej Różycze, kładli mu w głowę różne historie o księciu Orleanu.

– Dwa miliony... i to za nic, wasza wysokość. Co się z nami stanie? W porównaniu z dworzaczami twego brata, będziemy wyglądać, jak nędzarze.

– Niech tam! Zaczniemy uprawiać żebranię! – dorzucił ostrym tonem Roncherolles. – Może tego właśnie chce jego książęca mość, nasz pan.

– Dwa miliony! – jęczał na wszystkie głosy Saint-André.

Delfin słuchał i gryzł ze złości wargi, nie kazał im jednak milczeć, chcąc może, aby ich jęki pobudziły go do czynu.

Toaleta delfina została wreszcie ukończona. Ubrany był wbrew swemu zwyczajowi bardzo skromnie w strój z ciemnego flandryjskiego sukna, podobnie jak król podczas swego spaceru z panem de Ponthus. Podobnie jak król był doskonale uzbrojony.

Roncherolles i Saint-André mieli stanowić jego eskortę.

Delfin przebierał się tak prawie co wieczór, aby udać się na parę godzin do swej przyjaciółki Nicole de Savigny, baronowej de Ville.

De Ville wszedł do pokoju, kiedy toaleta księcia była już prawie skończona.

Na widok jego ręki na temblaku i zabandażowanej twarzy Saint-André i Roncherolles spojrzeli po sobie ze złośliwą radością.

Delfin zwrócił się do de Ville'a z niespokojnym pytaniem:

– I co? Jak stoją sprawy z tym łotrem Montauban'em?

– Pan de Noirville oświadczył, że na razie nie ma czasu zajmować się tym jegomościem.

– Ano pewnie, musi ochraniać miliony, które będą przywiezione nie wiadomo skąd i kiedy!

– A tymczasem przyjaciele waszej miłości – podrzucił Roncherolles, mogą być bezkarnie napastowani przez byle draba. Wszystko dla milionów księcia Karola!

– Milczeć! – warknął gniewnie Henryk. – Noirville wypełnia rozkazy królewskie; wiem, że nie mógł uczynić inaczej. Musi tkwić w Arsenale, aż do chwili, kiedy miliony przybędą do przystani... Wszyscy musimy ulec rozkazowi króla. Lecz, co udało ci się uczynić?

– Wysłałem Tykę i Pęcherza za młodzieniaszkiem... Świetni z nich agenci – wasza wysokość – na pewno dadzą sobie radę z naszym ptaszkiem.

– Pamiętaj, że muszę go mieć żywego!

– Zrobi się, co się da! – obiecał wymijająco baron, potem dodał z ohydny uśmiechem: – Za jedno mogę ręczyć, że ja osobiście oddałbym chętnie dziesięć lat życia za to, aby mieć go żywego w ręku. Widzisz wasza wysokość, w jakim jestem stanie... Musi mi za to zapłacić!

Wyrzekł to z taką nienawiścią, że delfin uśmiechnął się i powiedział:

– Liczę na ciebie, de Ville'u... Jeśli ci się nie uda...

– Tylko wtedy, jeśli będzie to niemożliwe! – zakończył de Ville. Teraz dopiero delfin zainteresował się stanem zdrowia deVille'a i po zadaniu mu kilku pytań w tej materii wręczył mu pękata sakiewkę ze słowami:

– Weź to na koszty kuracji. Lecz się i wypocznij przez kilka dni.

– Wasza miłość – rzekł de Ville, ważąc na ręku okazałych rozmiarów sakiewkę – czuję, że istotnie przyda mi się parodniowy wypoczynek, a ponieważ wasza książęca mość zezwala mi na to...

De Ville uklonił się nisko swemu panu, ceremonialnie Roncherolles'owi i Saint-André'mu, potem opuścił komnatę książęcą.

Gdy drzwi zamknęły się za nim, Henryk wydał żalostny jęk, a jego satelici uśmiechnęli się do siebie; wiedzieli doskonale co znaczy ten uśmiech. Wiedzieli, że Henryk myśli o Polnej Różyczce, nie zaczęli jednak o niej rozmowy.

– Wobec tego, że ten gamoń de Ville udaje chorego, my skorzystamy ze sposobności, aby go zdystansować – szepnął Saint-André na ucho Roncherolles'owi.

– I zagarniemy wszystkie korzyści dla siebie!

Delfin chciał właśnie dać znak do wyjścia, gdy nagle do pokoju jego wszedł Griffon, zaufany sługa, i szepnął coś swemu panu na ucho. Książę poruszył się gwałtownie, zdjęty widocznym zdziwieniem i rzekł:

– Niech wejdzie!

Nie upłynęło parę minut, kiedy w progu pokoju stanął hrabia d'Aumale, który nie tracił czasu tego dnia. Po rozstaniu się z Alicją ruszył do pałacu Cluny, do swego stryja kardynała, aby mu doręczyć sto tysięcy liwów, dostarczone mu przez Jana de Maubert; stamtąd pośpieszył do delfina.

– Ty? Tutaj, mój kuzynie! – wykrzyknął Henryk. – Co się stało? Nie wiedziałem, że król jegomość odwołał cię z wojska.

– Król jegomość nie odwołał mnie wcale, opuściłem wojsko samowolnie. Uczyniłem to na rozkaz mego stryja i mego ojca, pragnąc wyświadczyć ci, kuzynie, bezcenną przysługę... twoje interesy bowiem leżą nam na sercu więcej niż wszelkie inne...

– Dobry z was krewny i przyjaciel – uśmiechnął się do mówiącego serdecznie Henryk spoglądając jednocześnie badawczo na przybyłego, jakby chcąc wyczytać mu z twarzy, z czym przychodzi.

– Nic poważnego. Mój ojciec jednak uważał za konieczne powiadomić cię o pewnych rzeczach bardzo osobistych.

Henryk słysząc to odetchnął z ulgą.

– Miałaś zamiar wyjść, kuzynie? – zapytał d'Aumale, wskazując wzrokiem na strój księcia i jego towarzyszy. – Na miłosne przygody? Co?

– Gdzie tam! Nudzę się śmiertelnie! Ot, po prostu wybieram się na kolację do pani de Savigny.

– Jeśli pozwolisz, wasza książęca mość, będę ci towarzyszyć. Możemy po drodze porozmawiać.

– Mówisz, kuzynie, że to nic poważnego? – zapytał trwożnie książę Henryk.

– Nie, nie, nic poważnego – uspokoił go d'Aumale.

– A więc w drogę! – rzekł wesoło książę.

Wyszli trzymając się pod rękę, za nimi kroczyli dwaj dworzanie książęcy, uśmiechając się z przymusem. Dręczył ich gniew, że zjawił się ktoś trzeci, kto może im pomieszać szyki.

Hrabia d'Aumale odwiedził delfina w godzinie, kiedy zwykle udawał się on do swej kochanki. Uczynił to rozmyślnie, zapamiętał bowiem mądrą radę de Maubert'a i chciał wcielić ją od razu w życie.

– Śmiem prosić waszą księżęcą mość o wyświadczenie mi pewnej łaski.

– Mów śmiało, mój kuzynie. Nie odmówię niczego tak dzielnemu przyjacielowi, jak ty!

– Jestem onieśmielony dobrocią waszej księżęcej mości. A więc chciałem prosić o zaszczyt przedstawienia mnie pani de Savigny!

– Mój Boże! – wykrzyknął Henryk – to dopiero sprawisz jej przyjemność. Bardzo miła z niej kobietka, zasługuje na twe względy.

– Przede wszystkim jest ona wierną i oddaną przyjaciółką waszej księżęcej mości – wychwalała panią Nicole hrabia d'Aumale.

– Tak, tak, mam wrażenie, że jest mi wierna i że mnie kocha... zna przy tym swoje miejsce i zadawała się małym... Tak, tak, jestem pewny, że kocha mnie dla mnie samego, a nie dla mego tytułu i stanowiska.

– Co w tym dziwnego? Bo czyż można marzyć o piękniejszym mężczyźnie od waszej miłości?!

– Wzruszasz mnie swoją subtelnością, Karolu – rzeki delfin tykając go poufale. – Wobec tego, że chcesz poznać panią Nicolę, zjesz dziś z nami wieczerzę. Żadnej etykiety, żadnej pompy! Nic! Z pani Nicoli świetna gosposia, umie rządzić dobrze i mimo swych białych rączek przyrządza potrawy, na samo wspomnienie o których ślinka z ust płynie.

– Nie drażnij mego apetytu! – wykrzyknął wesoło d'Aumale.

Widząc, że księżę ma przy swym boku tylko dwóch dworzan, hrabia skorzystał ze sposobności, aby sprowadzić rozmowę na temat, który palił mu usta:

– Nie boisz się kuzynie, wychodzić nocą na miasto, mając za całą eskortę tylko tych dwóch panów? – zaczął z daleka.

– A co mi się może stać złego?

– Idziesz za przykładem pana ojca, co?

– Jak to za przykładem ojca? – zapytał Henryk z zainteresowaniem. – Czyżby król chodził po mieście... sam?

– Nie wiedziałeś o tym?

– Nic a nic!

– A więc musisz dowiedzieć się! Ty, tylko ty, wasza księżęcą mość, możesz zwrócić na to uwagę twego ojca. Nieszczęścia nie trzeba szukać... Samo przychodzi... A jaką klęską dla całego państwa byłaby chwila, w której jeden z licznie grasujących po ulicach Paryża łotrzyków... napadłby na króla jegomości, albo w walce o łup... położył go trupem! Król nie ma prawa narażać swej osoby na takie niebezpieczeństwo!

– Tłumacz się jaśniej, na Boga!

Hrabia d'Aumale pozornie ożywiony jak najlepszymi intencjami względem króla Franciszka zaczął rozwódzić się nad tym, co grozić mogło królowi podczas jego nocnych wędrówek do pałacu pana de Ponthus'a i z powrotem.

Delfin słuchał opowiadania z uwagą, podziękował kuzynowi za życzliwość z wielkim wzruszeniem, w końcu oświadczył, że uważa swą interwencję za konieczną.

– Pomówię z ojcem i przedstawię mu cały ogrom niebezpieczeństwa, jaki mu grozi; niestety jednak – zakończył z westchnieniem – nie wiem, czy król jegomość zechce wysłuchać mnie życzliwie?...

– Na to nie ma rady... sumienie twoje będzie spokojne, mój kuzynie – odpowiedział hrabia d'Aumale.

Przez chwilę szli dalej w milczeniu, wreszcie delfin zabrał głos:

– Powiedz mi teraz, co chciał mi zakomunikować księżę Klaudiusz?

– Mój ojciec przysłał mnie do ciebie, wasza książęca mość, żeby cię uprzedzić, abys bacznie śledził wszystkie czyny księcia Orleanu.

Rysy twarzy Henryka wykrzywił skurcz nerwowy, przygryzł wargi aż do krwi, nic jednak nie powiedział.

Widząc, że delfin nie daje żadnej odpowiedzi hrabia d'Aumale ciągnął dalej:

– Mój ojciec dowiedział się o kilku intrygach księcia Orleanu. Pilnuj się, wasza wysokość, bo może on sprzątnąć ci całe dziedzictwo sprzed nosa.

Przez całą drogę do pałacyku pani de Savigny kładł księciu w uszy wszystkie prawdziwe i z palca wysane wiadomości.

Przed drzwiami wejściowymi delfin pożegnał Saint-André'go i Roncherolles'a, dziękując im za towarzystwo i zwalniając ich z dalszej nad nim opieki wobec tego, że miał zamiar spędzić noc u pani de Savigny.

Dwaj dworzanie oddalili się, przedtem jednak, nim wrócili do siebie, ruszyli przed domek matki Agadou i długo stali pod zamkniętymi na głucho oknami Polnej Różyczki, naradzając się i dyskutując nad czymś z ożywieniem.

Tymczasem książę Henryk i hrabia d'Aumale weszli do gabinetu pani de Savigny.

Pani Nicola od razu zauważyła hrabiego i poznała go, udała jednak, że ma oczy tylko dla Henryka. Zerwała się szybko z miejsca i podbiegając do niego, zarzuciła mu ręce na szyję z głośnym okrzykiem radości:

– Henryku! Nareszcie jesteś, mój drogi panie! Zaczynałam się już niepokoić.

Z tymi słowy nadstawiła mu swe purpurowe usteczka do pocałunku.

Henryk porwał ją w ramiona i uniósł w górę, jak piórko, tuląc do swej szerokiej piersi, potem, składając na jej ustach płomienny pocałunek, postawił ją na ziemi i rzekł:

– Moja droga, oto mój kuzyn hrabia d'Aumale, który płonie pragnieniem złożenia swego hołdu u twych drobnych stópek.

Zarumieniała się i odpowiedziała z udaną skromnością:

– Ach, wasza książęca mość, to podstęp! Co sobie pomyśli pan de'Aumale?!

– Pomyślę to tylko, że los pozwolił mi poznać najwdzięczniejszą i najbardziej kochającą kobietę z grona wszystkich kobiet. Nie chciałbym być intruzem toteż za zgodą jego książęcej mości zwracam się do pani z supliką, aby zechciała uważać mnie za swego pełnego szacunku i szczerze oddanego sługę.

Piękne jej oczy błysnęły radosnym triumfem, opanowała się jednak i składając przed hrabią dworski ukłon – rzekła z mistrzowsko udanym zakłopotaniem:

– Nie wiem, jak mam dziękować waszej miłości za wielki zaszczyt, jaki mnie spotkał. Jestem kobietą skromną, żyjącą w zaciszu jak poczciwa mieszczańska, obce mi są piękne manieiry dworskie i język, noga moja bowiem nie przestąpiła nigdy jeszcze progów pałacu królewskiego i mam nadzieję, że nigdy ich nie przestąpię.

– Straci na tym dwór francuski! – odpowiedział z galanterią hrabia. – Mnie wyda się on teraz posepnym i nudnym, skoro tak wdzięczna osoba, jak pani, nie ożywi go swą obecnością. Pozwól pani, że postaram się odwieść ją od tego nad wyraz przykrego dla nas zamiaru nie wydalania się z tego cichego zakątka.

– Tracisz na próżno twój czas – przerwał mu Henryk. – Nieraz już proponowałem, że ją przedstawię na dworze. Nic z tego. Jest nieubłagana.

Pani Nicola tymczasem dała znak i gosposia wniosła pyszną kolację.

Wymieniono zwykle grzeczności a z ust hrabiego d'Aumale padały wyrazy zachwyty w kierunku gospodyni.

Wszystko jednak musi się kiedyś skończyć.

Hrabia wstał i rzekł:

– Będę jutro, aby raz jeszcze podziękować pani za niezapomniany dzisiejszy wieczór.

XXXII

WOLA KOBIETY

Zaraz po wyjściu kuzyna Henryk porwał swą kochankę w objęcia jak piórko i zaniósł do zacisznego pokoju z olbrzymim łóżem, które wznosiło się, jak ołtarz ofiarny. Nie złożył jej jednak na łóżu tylko na pierwszym napotkanym po drodze głębokim, miękkim fotelu. Długo tulił ją do swej szerokiej piersi, długo kołysał ją, jak czuła matka zasypiające dziecko, pożerając ją namiętnymi pocałunkami.

Zdawało się, że omdlewa pod jego gorącą pieśczołą; w istocie jednak zachowała całkowicie zimną krew, przyglądając mu się badawczo spod półprzymkniętych powiek; on jednak tego nie widział.

Nagle, w chwili najszańszych uniesień miłosnych przed oczami jego stanął obraz Polnej Różyczki. I oto atak szału minął, usta Nicoli przestały być dla niego pucharem rozkoszy, odsunął ją od siebie jeszcze przed całkowitym zaspokojeniem pragnienia; sposepniał, ostygł i postawił Nicolę na nogi przed sobą.

Spojrzała na niego z niezwykłą powagą, potem wykrzyknęła z niezwykle dobrze udanym niepokojem:

– Henryku! Co ci się stało?

– Nic, moja droga – wybełkotał zakłopotany – nagła niedyspozycja.

Potrząsnęła głową, wpatrując się w niego z coraz większym niepokojem. Nie mógł znieść jej wzroku, jakby w obawie, aby nie dopatrzyła się w jego źrenicach odbitego obrazu tej, która rugowała ją powoli z jego serca. Uciekł ze wzrokiem, ona zaś przytuliła się do niego, wzięła jego głowę w swe drobne rączki i zmusiła go do spojrzenia sobie prosto w oczy... Głosem wnikliwym i poważnym zapytała:

– Henryku, myślisz o twoim bracie... Karolu?

Odetchnął z ulgą, ciesząc się, że nie zgadła prawdziwej przyczyny jego nagłej w stosunku do niej zmiany, odpowiedział więc jak mógł tylko najszczerzym tonem:

– To prawda!

Zaczął potem tłumaczyć się, zapewniając, że brat jego tyle sprawia mu kłopotów i zmartwień, że nawet w jej ramionach nie może znaleźć spokoju. Tak długo rozwodził się na ten temat, iż w końcu sam w to uwierzył. Nagle sam nie wiedząc kiedy i jak dojrzał do buntu. Przed Nicolą nie potrzebował się krepować: kochała go i tylokrotnie już złożyła mu dowody swej bezinteresowności.

Nie kryjąc się też wcale z nienawiścią, jaka zalewała mu serce, zaczął grozić księciu Orleanu, wreszcie uniesiony gniewem dobył sztyletu i cisnął nim tak silnie w stół, że ostrze jego wbiło się głęboko w drzewo a nad powierzchnią stołu sterczała rękojeść groźnej w ręku szaleńca broni, chwiejąc się jeszcze lekko po gwałtownym rzucie.

– Henryku – rzekła na to Nicola swym harmonijnym głosikiem.

– Całe twe oburzenie na niesprawiedliwość, jakiej padasz ofiarą, powinno się obrócić nie przeciw twemu bratu, lecz przeciw...

– Przeciw komu! No!

– Przeciw o wiele potężniejszej osobistości, niż twój brat, przeciw temu, od którego wszystko zależy... Słowem... Czy mam ci koniecznie powiedzieć, że jest to twój ojciec?

– Jak to? Ty chcesz, żebym obrócił mój słuszny gniew przeciw królowi? – wykrzyknął Henryk.

– Gniewać się nie warto! Grozić? To na nic się nie zda... Dosięgnąć go należy! Tak! Henryk spojrział na mówiącą z przerażeniem.

– Owszem... myślę... I ty pomyśl... Dosięgając ojca, który cię nienawidzi, zadając cios ojcu, godzisz jednocześnie w brata... Smutne to lecz prawdziwe... Ta jedynie droga zawiedzie cię do celu... Zresztą musisz wybierać: być zabitym, albo zabić... Ja – słaba kobieta – nie waham się przez sekundę nawet, lecz wołam wielkim głosem – zabij!

Mała kobieta – dziecko, zawsze słodko uśmiechnięta i rozkoszna, zamieniła się nagle w posępną boginię zagłady, miotającą zabójcze spojrzenia. Metamorfoza ta była tak nieoczekiwana i zdumiewająca, że osłupiały Henryk nie mógł słowa wymówić ze zdumienia. W końcu wyjąkał:

– Moja droga! I to ty, ty mówisz takie rzeczy! Niech mnie Bóg skaże, jeśli poznaję cię w tych słowach!

– Bo mnie nie znasz, albo też, co na jedno wychodzi, znasz mnie bardzo mało – odpowiedziała z zimnym uśmiechem. Żartowałeś nieraz ze mnie wyśmiewając moje zamiłowanie do prostoty. I tu myliłeś się, Henryku... Jestem ambitna, bardzo ambitna... nadmiernie, do przesady ambitna.

– To niestetychane? Kto by się tego spodziewał?

– Tak jest, nie kryję się z tym bynajmniej... przeciwnie, szcycę się tym... lecz ambitna jestem nie dla siebie – lecz dla ciebie Henryku.

– Dla mnie?

– Tak jest, dla ciebie! Będziesz kiedyś wielki... Wiem, że możesz nim być i dlatego, jako kochająca kobieta, cierpię w głębi serca, widząc, że męczysz się w beczynności, jak koń rasowy gryząc wędzidło...

– Masz rację – cierpię jak potępieniec, skazany bowiem jestem na beczynność, jakkolwiek czuję, że stanąwszy u steru władzy, mógłbym dokonać wielkich rzeczy... Chciałbym wybuchu wielkich wojen, chciałbym walczyć za sprawiedliwość, za maluczkich... Chciałbym wreszcie... lecz, co z tego? Królowi podoba się trzymać mnie w cieniu, z dala od wszystkiego, co ma łączność z władzą... król jest tu panem. Musimy pochylać czoła przed jego wolą.

Ożywił się również i rozplómienił; ona słucha go uważnie, przy końcu jednak jego przemówienia zaprzeczyła żywo.

– Moglibyśmy ulec woli królewskiej, gdyby chciał on jedynie odsunąć cię od rządów... Trudno... trzeba byłoby uzbroić się w cierpliwość i czekać. Lecz król jegomość marzy o wiedziczeniu cię na rzecz twego braciszka. Nie możesz, nie powinieneś na to pozwolić i nie pozwolisz. Będziesz kiedyś wielkim królem, lecz aby być wielkim królem, należy mieć królestwo, a na to się nie zanosi... Musimy więc zbuntować się... Ja kobieta, patrząc na twoją krzywdę, marzę o buncie, o wielkości i o sławie dla ciebie... Powtarzam ci tedy: król musi zniknąć przed doprowadzeniem cię do ostatecznej ruiny... to jest konieczne dla twojej sławy i wielkości oraz dla dobra twych poddanych... Jeśli zajdzie tego potrzeba, ja, słaba kobieta, gotowa jestem tymi oto słabymi rękami targnąć się na jego życie. Nie dbam o to, że kat mógłby potem roztoczyć nade mną swe prawo i wymierzyć mi karę, jaką ponoszą królobójcy. Niech tam! Wiem jedno: król musi umrzeć... i... tak się stanie!

Henryk zadrżał na te słowa i wymamrotał:

– Jesteś okropna!

Zrozumiała w tej chwili, że niezdecydowany i chwiejny w swych decyzjach i gustach delfin sam nie byłby się może odważył na taką zbrodnię, lecz przyjął ją do wiadomości nawet bez wielkiej opozycji. Tego było dla niej mało, chciała mieć w Henryku współnika zbrodni, toteż odpowiedziała mu ostro:

– Nie jestem straszną, bynajmniej, tylko kobietą kochającą wszystkimi częściami swego ciała. Tobie poświęciłam moje dobre imię i pozycję w świecie, w imię naszej miłości znoszę docinki i plotki otoczenia... gdybyś kazał mi zabić mego ojca, matkę lub syna, nie zawahałabym się ani chwili... Cóż więc w tym dziwnego, że chcę zabić króla, który jest niczym dla mnie!

– Przerażasz mnie! Opamiętaj się!

Udała, że czyni nad sobą nieludzki wysiłek, uspokoiła się nieco i rzekła z uśmiechem:

– Bogu dzięki jednak, nie będę potrzebowała uciekać się, aż do tak strasznych ostateczności! Król jegomość sam oszczędzi nam tego trudu... Powiadają, że dziwnie jest nieostrożny... chodzi po mieście w przebraniu, bez eskorty, jak pierwszy lepszy mieszczanin. Byle łotrzyk; byle złodziej nazbyt krewki może dokonać tego, co zapewni bezpieczeństwo krajowi, przyszłość tobie, a co ciebie, jako syna, może mierzyć w swej bezwzględności. Gdyby jednak uczynił to ktoś obcy, ty miałbyś sumienie czyste...

Henryk zadrżał, rozumiejąc doskonale, co miała ona na myśli. Westchnął głośno:

– To byłoby straszne nieszczęście! Lecz istotnie, ja miałbym sumienie czyste.

Uwolnił się z jej uścisku i przeszedł się kilkakrotnie po pokoju, pogrążony w zadumie. Zrozumiała, że waży w tej chwili w duszy doniosłe decyzje. Obserwowała go ukradkiem, ciekawa, czy zdobędzie się na decydujący czyn, czy też, jak Piłat umyje ręce, pozwalając innym wykonać to, czego pragnął sam w głębi serca.

Wreszcie, powziąwszy najwidoczniej jakąś decyzję, przemówił:

– Masz rację; nieszczęście, o którym mówiłaś przed chwilą, może się stać każdej chwili, król bowiem jest niezwykle lekkomyślny... Obowiązkiem moim jest uprzedzić go, aby nie narażał się na niebezpieczeństwo... Wyobraź sobie, że chodzi co dzień prawie wieczorem, podobnie jak ja do ciebie, do księcia de Ponthus, którego pałac jest przy ulicy de la Corderie... Powiadano mi, że ulica ta, to prawdziwa jaskinia łotrzyków i zbójców...

Zamilkł. Nie miał już nic więcej do powiedzenia.

W oczach Nicoli błysnęły krwawe ogniki i zgasły. Wiedziała wszystko, co chciała wiedzieć. Ostatnie słowa Henryka były wyrokiem śmierci na króla Franciszka I.

XXXIII

JESZCZE JEDNA PRYZGODA BRACISZKÓW ZAKON- NYCH

Bracia Teobald i Lubek idąc śladem Montauban'a, który sam, jak wiemy już, podążał cichaczem za Alicją, spostrzegli Noirville'a i jego łuczników. Widzieli ich: Alicja, Montauban, Tyka i Pęcherz, każdy z nich jednak poszedł w swoją drogę, nie zwracając uwagi ani na pretekta, ani na jego łuczników. Braciszkom zakonnym jednak przyszła do głowy genialna myśl:

– Kolego – rzekł nagle Teobald – czy mnie wzrok nie myli, czy też naprawdę widzę hen, w dali pana de Noirville'a?

– To on w rzeczy samej.

– Niebo nam go zsyła!

– Właśnie chciałem to powiedzieć.

Spojrzeni tylko po sobie i zrozumieli się; mogli zawiadomić Noirville'a o tym, że Montauban jest w pobliżu, a potem pochwycenie go byłoby już rzeczą łatwą, a jeszcze łatwiejszą podjęcie tysiąca liwrów premii za łotra. Jednym zamachem pomściliby się za swe dawne krzywdy i napełniliby puste kieszenie.

Już, już mieli zbliżyć się do pana de Noirville'a, gdy nagle powstrzymała ich od tego zamiaru nowa myśl:

– A jeśli ten szatan zniknie gdzieś przez ten czas? Co wtedy?

– Tak jest... co wtedy?

Nagle brat Lubek wykrzyknął radośnie:

– Mam! Mam! Niech jeden z nas idzie do jego ekscelencji wielkiego prefekta, a drugi tymczasem będzie pilnować ptaszka.

– Istotnie plan bardzo prosty! Jak mogło mi to nie przyjść do głowy! Który więc z nas pójdzie do pana de Noirville'a?

– Ty, bracie Teobaldzie – rzekł skromnym głosem brat Lubek – ty jesteś lepszym mówcą niż ja.

Stało się według jego woli. Brat Lubek ciągnął w dalszym ciągu za Montauban'em. Teobald zaś stanął przed prefektem:

– Wasza ekscelencjo – rzekł z cyniczną otwartością – czy to prawda, że chcesz pan wybuścić tysiąc liwrów, które naprowadzi pana i pańskich ludzi na ślad tego łotra Montauban'a?

Na dźwięk imienia de Montauban, prefekt zatrzymał się i spoglądając na mówiącego potwierdził:

– To prawda, mój ojczu. A więc to ty mógłbyś udzielić informacji o infamisie?

– Mogę zaprowadzić waszą ekscelencję. Mam nadzieję, że otrzymam tysiąc obiecanych liwrów.

– Gdzie jest przestępca? – zapytał prefekt.

– Blisko. Brat Lubek pilnuje go, aby nie uszedł waszej ekscelencji. Po tych słowach wskazał w kierunku placu Greve, a więc w przeciwnym zupełnie kierunku niż Arsenał. Tymczasem król przysłał mu wyraźny rozkaz trzymać straż przy Arsenale, nie mogło więc być nawet mowy, o niewykonaniu rozkazu.

Zamyślił się wreszcie, znalazł wyjście z trudnej sytuacji. Nagryzmolił parę słów na woskowej tabliczce i podając ją Teobaldowi rzekł:

– Zanieś to, ojczu do pałacu prefektury i wręcz memu adiutantowi. Możesz nim rozporządzać. Jeśli dzięki wam pochwyćmy rebelianta, dostaniecie nie tysiąc, lecz tysiąc pięćset liwrów.

Wzrok Teobalda błysnął chciwością, obliznął się jakby w przedsmaku znakomitych potraw, jakie będą mogli z Lubkiem spożyć za te pieniądze, spoważniał jednak w tej samej chwili i rzekł:

– Zanim dojdę do pałacu prefektury i zabiorę ludzi, którzy mogliby go aresztować, nicpoń może zwać, a wraz z nim ulotni się nasze tysiąc pięćset liwrów.

– To prawda – odpowiedział Noirville z niezmaconym spokojem.

Odebrał od zakonnika swe pismo, dodał słów parę do poprzedniego rozkazu i wydał Teobaldowi kilka ustnych rozporządzeń, których ten wysłuchał ze skupioną uwagą, potem pośpieszył do Lubka, idącego ciągle śladem Montauban'a.

Tyka i Pęcherz widząc znowu zakonników, którzy teraz przyśpieszyli kroku, stwierdzili, że nie pozbędą się tych nieproszonych sojuszników. Uśmiechnęli się do siebie przyjaźnie, podkreślając tym uśmiechem konieczność trzymania się mocno „kupy” i zaczęli kłać półgłosem upartych klechów, którzy najwyraźniej zamierzali okraść ich z nagrody.

Zakonnicy również spoglądali krzywym okiem na „drapichrustów”, płaczących się im pod nogami.

Nagle Tyka, rzuciwszy okiem na swego pieska, zorientował się, że wierny towarzysz wyświadczył im bezwiednie niedźwiedzią przysługę swą obecnością; zaczął głaskać go i przemawiać do niego łagodnie, namawiając do powrotu do domu.

Pocziwy piesek zrozumiał, że na razie rola jego jest skończona i że musi wycofać się z gry, wtulił ogon między nogi i znikł. Uczynił to jednak za późno, bo właśnie w chwili, kiedy pan i pies żegnali się ze sobą czule, scenę tę podpatrzył przechodzący tamtędy Langrogne, i rzecz oczywista, poznał w jednym z żebraków Tykę w drugim zaś Pęcherza. Teraz łatwo już było domyślać, że obaj najemni zbirowie de Vill'a szli śladem Montauban'a.

Wierny sługa zamyślił się nad sytuacją. Wiedział, że pan jego nie lubił, aby sługa wtrącał się do jego spraw, lecz w tym wypadku pan mógł nie wiedzieć, że jest śledzony i mógł wpaść w zastawioną na niego zasadzkę. Nie pozostawało więc nic innego jak, narażając się na gniew pana, ruszyć ich śladem, rzecz oczywista nie zdradzając się z tym przed nimi. Jeśli kawaler nie będzie potrzebował jego pomocy, wszystko pozostanie w tajemnicy, w przeciwnym razie będzie mógł pośpieszyć na odsiecz.

Idąc śladem Montauban'a ujrzał go wchodzącego do pałacu książąt Lotaryńskich i ucieszył się bardzo:

– Nareszcie poszedł po rozum do głowy – pomyślał. Lecz dlaczego przyszedł tu, nie do pałacu Cluny? To zresztą nie jest ważne, najważniejsze jest – że się zdecydował. Lepiej późno, niż nigdy.

Mimo jednak, że uspokoił się co do losu swego pana, nie chciał spuścić z oka czwórki szpiegów, którzy przywlekli się za nim, aż pod bramę pałacową, postanowił więc nie odchodzić i śledząc za nimi z ukrycia, doczekać się, aż pan opuści pałac.

W tym zamiarze wybrał sobie dosyć wygodną kryjówkę na najwyższym stopniu schodów łączących ulicę Piwną z Bernardyńską, były to tak zwane Wielkie Schody. Oparty o mur przylegającej do nich kamienicy mógł wszystko widzieć i słyszeć, co się działo przed bramą pałacową, w której znikł jego pan...

Chociaż miał bardzo dobry wzrok i słuch, Wielkie Schody jednak znajdowały się w znacznej odległości od pałacu, a zapadająca noc utrudniała możliwość obserwacji.

Braciszkanie zakonni i dwaj zbirowie umieścili się o kilka kroków od furki w murze, okalającym pałac. Tyka i Pęcherz pienili się ze złości na widok upartych mnichów, toteż zaczęli knuć w duchu tak wrogie zamiary przeciw nim, że gdyby biedni braciszkanie mogli je przeniknąć, pomarliby chyba ze strachu.

Rozmawiając ze sobą półgłosem oddalili się nieco w kierunku de la Tourelle, budząc w zbirach nadzieję, że zrezygnowali z dalszego czuwania i chcą odejść.

Teobald i Lubek jednak nie mieli zamiaru rezygnować. Zatrzymali się w pewnym oddaleniu i wszczęli ze sobą gorącą dyskusję.

– Bracie Teobaldzie – rzekł Lubek – biegnij, a żywo na posterunek straży przy la Tourelle, okaż rozkaz prefekta i wracaj z oddziałem łuczników, którzy aresztują tego szatana Montauban'a.

Teobald spojrział w kierunku la Tourelle i mrok, jaki panował w tej części miasta, przejął go dreszczem trwogi. Nadstawił ucha i usłyszał ponury plusk wzburzonych wód rzeki. Poczul zimny dreszcz i wybełkotał:

– A ty tymczasem będziesz pilnował bramy? Sam? Mój bracie, to wielka nieostrożność z twojej strony...

– Niestety, wiem o tym! – jęknął Lubek, zezując w stronę „drapichrustów”.

Teobald zauważył to spojrzenie; wydało mu się, że Lubek liczy na ich pomoc, jego zaś umyślnie wysyła tam, gdzie mogło grozić największe niebezpieczeństwo. Zniżając głos do szeptu rzekł:

– Kto wie, czy ci dwaj łotrzy nie skorzystają z mej nieobecności, aby napaść na ciebie, mój bracie.

– Tak sądzisz? Ee... cóż znowu! Przecież to ludzie delfina, a kardynał zapewnił nas, że pracujemy dla jednej sprawy.

– To prawda, zawsze to jednak łotry i nic więcej.

Lubek uczył, że nogi ugięły się pod nim. Wyjąkał:

– A więc chodźmy razem do la Tourelle.

– Chodźmy!

Wzięli się pod ręce i ruszyli w drogę, uszedłszy jednak parę kroków zatrzymali się.

– A co będzie, gdy ten bezbożnik Montauban ucieknie w czasie naszej nieobecności? – zapytał Lubek.

– Co będzie? – powtórzył Teobald.

Spojrzeni po sobie z niepewnością. Sprawa była wielce trudna do rozstrzygnięcia.

Po chwili Teobald wpadł na pomysł:

– A może by zaproponować tym łotrom podzielenie się półtora tysiącem, które obiecał nam prefekt?

– Szkoda! – jęknął Lubek.

– Lepiej stracić część, niż wszystko! – jął nastawać Teobald. – Podczas kiedy my pójdziemy po łuczników, oni dopilnują furtki. Będziemy mieli pewność, że ptaszek nie wyfrunie nam z klatki.

– Wobec tego, że nie ma innej rady, niech będzie podział! – rzekł grobowym tonem Lubek.

Wrócili na dawne miejsce i podszedłszy do Tyki i Pęcherza wytłumaczyli im, o co chodzi. Ci słuchali ich w milczeniu, porozumiewając się ze sobą wzrokiem. Propozycja niezbyt im się uśmiechała. Skoro w sprawę wdadzą się łucznicy, wszystko weźmie marny obrót, a przede wszystkim dziesięć tysięcy liwrów, obiecane im przez Ville'a, przelecą im koło nosa.

– Ależ, czcigodni ojcowie, nawet gdy sprowadzicie łuczników, jak wejdą oni za bramę pałacową. Przecież nikt im jej nie otworzy! – rzekł Tyka.

– A właśnie, że bramę otworzą – pisnął z triumfem Teobald.

– Znamy umówiony znak – pochwalił się Lubek. Aby upewnić „drapichrustów”, że nie są to przechwałki, zwierzył się im, jak należało pukać, aby brama otworzyła się niezwłocznie.

– He! W takim razie, zgoda! Idźcie po łuczników, a my dopilnujemy bramy, kiedy zaś ptaszek będzie już za kratą, podzielimy się nagrodą, wyznaczoną przez prefekta.

Zakonnicy pośpieszyli na posterunek straży.

– Uwaga – szepnął Tyka do Pęcherza – dogońmy ich i... pogłaskajmy nieco po główce... jesteś specjalista od takich rzeczy... tylko bez zbytniej gorliwości, żeby nie wyprawić biedaków na tamten świat.

– Ty mnie nie będziesz uczył, jak się ogłusza porządnych ludzi i klechów – rzekł z dumą Pęcherz.

Z tymi słowami pobiegli za niknącymi już w oddali braciszkami... dwa ciosy pięścią po łbie i dwa bezwładne ciała legły na ziemi.

Przebranie się łotrzyków w habity było kwestią paru minut. Każdy ze zbirów ukrył pod szatą zakonną sztylety i rapiery i nie upłynęło parę minut a zamiast dwóch żebraków dwaj zakonnicy stali pod murem opuszczonego pałacu książąt Lotaryngii.

Tyka szybkim krokiem ruszył w stronę furtki, Pęcherz jednak zrozumiał jego intencje i uderzeniem ciężkiej swej dłoni po ramieniu zatrzymał go:

– Co chcesz uczynić?

– Wejść do wnętrza!

– Idę z tobą!

Dłoń Tyki pod habitem legła na rękojeści sztyletu.

Pęcherz nie rozluźniając uścisku swej ręki drugą ręką sięgnął również po sztylet. Zmierzyli się spojrzeniem.

Tyka inteligentniejszy od Pęcherza pierwszy opamiętał się. Uśmiechnął się przyjaźnie i rzekł.

– Hola, hola, co ciebie ukąsiło, mój grubasku?

– Chcę wejść do pałacu wraz z tobą – powtórzył Pęcherz, zdziwiony nieco nagłą zmianą tonu Tyki – nie chcę odstąpić cię ani na krok... Nie rozstanę się z tobą...

– A po cóż mamy się rozstawać? Czy nie jesteśmy współnikami i sojusznikami?

– Jesteśmy.

– A więc sztama!

– Sztama! Dzielimy się pieniędzmi, a rzekamy się tytułów i godności! Tak, czy nie?

– Tak!

– Dawaj więc na zgodę grabę!

– Daję! A teraz musimy podzielić role – rzekł Tyka. Ty jesteś bratem Teobaldem, ja bratem Lubkiem. Nie zapomnij. Potulna mina, nasunięty na oczy kaptur... resztę pozostaw mnie... mów jak najmniej, przytakuj mi i kwita.

Teraz dopiero Tyka zapukał w umówiony sposób do furtki, która natychmiast otworzyła się przed nimi.

Gdy znikli we wnętrzu podwórza i furtka zatrzasnęła się za nimi, Langrogne zszedł ze swego obserwacyjnego punktu i stanąwszy przy furtce, rozmyślał, co to wszystko mogło znaczyć: zakonnicy weszli do wnętrza, a dwaj żebracy znikli, oddalając się w kierunku la Tourelle... Dokąd mogli się udać?

Najbardziej ze wszystkiego niepokoiła Langrogne'a ta okoliczność, że na ślad jego pana wpadli najemni zbirowie pana de Ville'a. Teraz, gdy oni znikli, poczciwy sługa zdecydował, że panu już nic nie grozi, bo z dwoma klechami da sobie radę. Toteż miał wrażenie, że może już odejść i nie narażać się niepotrzebnie na gniew kawalera.

Ruszył w kierunku ulicy de la Boucherie, wiodącej do Małego Mostu.

XXXIV

TYKA I PĘCHERZ W OPALACH

Tyka i Pęcherz przebrani za braci: Teobalda i Lubka, towarzyszyli czas jakiś orszakowi hrabiego d'Aumale, udającemu się w kierunku placu Maubert. Tu pozostali w tyle i za chwilę znaleźli się zupełnie już sami na ulicy Zgubionej, która była w bardzo bliskim sąsiedztwie z pałacem książąt Lotaryngii. Tu zatrzymali się, aby naradzić się i wypluć na siebie cały swój gniew i rozpacz:

– Oby diabli porwali to całe hrabiątko, że zamknął naszego ptaszka w piwnicy, nic nie mam przeciw temu, ale po co zaraz zatapiać piwnicę razem z więźniem!

– Jesteśmy zrujnowani! – jęknął Pęcherz. I to przez ciebie!

– Przeze mnie?

– Tak, przez ciebie! Po co było wydawać Montaunan'a w ręce tego hrabiego? Obyś się udławił twoim pomysłem!

– Czy mogłem przewidzieć, że zechce robić w piwnicy potop! – warknął Tyka.

Uspokoili się i znowu wrócili do tego samego tematu.

– Ostatecznie zostanie nam jeszcze tysiąc liwrów barona i tysiąc pięćset prefekta, o które rzecz oczywista, upomnimy się – rzekł Tyka. – Tymczasem perspektywa zarobku zbudziła w mej krwi dziwne wrzenie; pójdę do pewnej znajomej ślicznotki i... poproszę ją o gościnność do rana.

– Dobra myśl, ja również zapukam do drzwi pewnej pani, która darzy mnie swą sympatią.

– A więc powodzenia, mój gołąbku!

– Powodzenia.

– Do jutra!

– Do jutra!

Rozstali się w najlepszej zgodzie; Pęcherz ruszył w kierunku Małego Mostu; Tyka skierował się na ulicę la Boucherie, potem przebiegł prędko ulicę Piwną, zmierzając w stronę rzeki.

Wkrótce stał już przy pałacu księżąt Lotaryngii. Podeszedł z wesołą miną do furtki i zaczął manipulować przy zamku, usiłując otworzyć. Zamek był jednak solidny i nawet ostrze sztyletu nic nie pomogło. Zmartwiony Tyka zaczął mrużyć pod nosem:

– To ścierwo nie chce ustąpić, ani rusz! Już widzę, co to za numer!... Ładnie się urządziłem! A przecież muszę wejść! Można oszaleć! Świetną miałem myśl zagarnąć tylko dla siebie dziesięć tysięcy liwrów barona! Do diabła! Kto wie, czy i on nie miał tej samej myśli, co ja, czy tu już nie przyleciał i czy dzięki swemu wzrostowi nie przedostał się przez mur do wnętrza!

Nagle usłyszał głucho jęki, płynące jakby spod muru ogrodzenia.

Były to jęśliwe głosy braci Teobalda i Lubka, których dwaj łotrzykowie po ogłuszeniu związali solidnie, nie kneblując im jednak ust. Biedacy po odzyskaniu przytomności byli jednak tak nastraszeni tym, co się z nimi stało, że nie mieli odwagi głośniej się odezwać, jęczeli tylko głucho czekając aż błysnie świt.

Widząc w pobliżu cień Tyki, ubranego w habit zakonny, jęknęli błagalnym głosem:

– Mój bracie, przyjdź z pomocą dwom nieszczęśliwym braciom zakonnym.

Tyka, słysząc ich jęki, przyskoczył do nich i wrzasnął:

– Na nogi! Żywo! A milczeć tam, jeśli nie chcecie poznać smaku tego instrumentu!

Z tymi słowami podsunął im pod nos swój groźny sztylet. Struchleli, lecz byli tak silnie skrepowani, że nie mogli uczynić ani jednego ruchu.

– Zrozumiane? – mruknął przecinając za pomocą sztyletu ich więzy, po czym rzucił rozkaz:

– Wstać! Żywo!

Zerwali się tym żywiej, że Tyka poparł swój rozkaz kluciem ich w tylną część ciała ostrzem swego sztyletu.

Postawił ich przy murze, zmierzył okiem przestrzeń i uśmiechnął się:

– Stójcie spokojnie, skoczę wam na ramiona, a stamtąd na wierzchołek muru... Uważajcie, żeby nie ugiąć się pod moim ciężarem, bo wypruję wam flaki tym oto sztyl...

Nie kończąc nawet zdania... raz... dwa... i po stopniach żywej drabiny wdrapał się na szczyt muru, siadając na nim okrakiem.

Nie zeskoczył jednak jeszcze na podwórze pałacowe, chciał bowiem zapewnić sobie odwrót. Położył się plackiem na murze, schylił się jak tylko mógł najniżej i wyciągając w ich stronę rękę, a trzymając się drugą ręką za mur rozkazał:

– Łapcie się za moją rękę... trzymajcie mocno... no! A teraz jazda w górę!

Usłuchali rozkazu jęcząc, płacząc i polecając się opiece wszystkich świętych. Po chwili siedzieli już na szczycie muru obok „drapichrusta”, który zawziął się dziś widocznie na ich zgubę. Nie dając im czasu na opamiętanie się znowu rozkazał groźnie:

– Skakać na podwórze!

Rozkaz ten poparł znowu ukłuciem ich ostrzem sztyletu w pośladek.

Kładąc na czole i na piersiach znak krzyża, rzucili się w próżnię, polecając swą duszę i ciało opiece wszystkich świętych.

Spadli na nogi, nie czyniąc sobie nic złego; rzecz oczywista jednak, że nie obyło się bez jęków i lamentu.

Ich kat tymczasem, znalazłszy się również na podwórzcu pałacowym, rzekł ostrym głosem:

– Jeśli zależy wam na życiu, nie ruszajcie się stąd i nie mówcie nic! Gęby na kłódkę! Będę miał was na oku!

Obaj braciszku padli na kolana i dygocąc na całym ciele zaczęli głośno spowiadać się i udzielać sobie wzajemnie rozgrzeszenia.

Tyka, pewny, że nie ruszą się z miejsca, przyskoczył do pompy, której mechanizm puścił w ruch Herman i z całej siły szarpnął za rączkę, myśląc z niepokojem:

– Oby tylko nie było za późno; oby tylko woda nie zalała go zupełnie! Dzielny był z niego człowiek, naprawdę szkoda by było, żeby miał zginąć tak okropną śmiercią! On przecież miał życie moje w swoim ręku i... darował mi je...

Zdziwił się niezmiernie, stwierdzając, że litość i sympatia dla wroga gościła w jego sercu zamiast obojętnego okrucieństwa:

– Co mi się stało? – pomyślał. – Roztkliwiłem się jak piętnastoletnia dziewczyna! Co prawda, jeśli on zginie marnie, trzeba będzie pożegnać się z nagrodą... Tak, tak, o to chodzi... o nic innego! Śpieszmy więc na jego ratunek!

W chwili, gdy chciał słowa swoje poprzeć czynem poczuł, że na głowę obsuwa mu się cały świat... nie wydając nawet westchnienia, padł jak długi na ziemię.

Jakiś cień ludzki pochylił się nad nim, po chwili podniósł się na nogi i mruknął:

– Zdaje mi się, że ma dosyć. A widzisz, moja droga Tyczko, nie trzeba mieć tych samych, co ja pomysłów... Teraz dziesięć tysięcy liwrów stanie się moim udziałem, ja będę starszym przywódcą straży przybocznej delfina... Szkoda, że już wyciągnął kopyta, nie będzie mógł bowiem być świadkiem mojej sławy i powodzenia. Nie ma cię już... a więc i nie ma o czym gadać... Teraz ja sprawdzę, czy nasz zuch jeszcze żyje...

Ruszył powoli w stronę małych drzwi, którymi hrabia d'Aumale wszedł do pałacu, chcąc wciągnąć kawalera w zasadzkę. Czuł się jedynym panem sytuacji, dlatego też nie uważał za potrzebne zamykać za sobą drzwi.

Stał wkrótce na korytarzu, którym przebiegł otwierając kolejno wszystkie drzwi i pozostawiając je otwarte za sobą.

Stanąwszy przed drzwiami zaryglowanymi na głucho zaczął oglądać zasuwę, dotykać jej, wachać, w końcu aby się upewnić, czy się nie myli, zapytał:

– Hej! Panie de Montauban! Odezwij się pan! Czy żyjesz, czy umarłeś?

– Umarłem! – zabrzmiała zza drzwi szydercza odpowiedź!

Pęcherz – on to był bowiem – nie ustępował i znowu ponowił swe pytanie:

– A więc umarłeś pan?

– Tak jest! – odpowiedział szyderczy głos Montauban'a.

– Gorze mi! Nie mam szczęścia! – wrzasnął lękliwie Pęcherz. – A więc naprawdę nie żyjesz pan? Utonąłeś?

– Czy utonąłem, czy w inny sposób rozstałem się z tym światem to nie jest ważne – parsknął śmiechem Montauban. – Najważniejsze jest to, że nie żyję. Lecz chciałbym wiedzieć, z kim mam przyjemność wieść tę pouczającą rozmowę? Zdaje mi się, że słyszałem już gdzieś ten miły głosik.

– Jestem Pęcherz, panie de Montauban.

– Dobrze jest; przewąchałem z tamtego świata, że rozmawiam z łotrem spod ciemnej gwiazdy. Czego chcesz ode mnie, rufianie?

– Niestety, niczego już, bo przecież nie żyjesz pan!

Nagle zrozumiał całą śmieszność swej rozpaczki:

– O, idiota! Cóż za wariat ze mnie! Przecież umarli nie rozmawiają z żyjącymi. Pan rozmawiasz ze mną, ja żyję, a pan nie umarłeś! Wiwat!

– A skąd wiesz, że umarli nie rozmawiają z żyjącymi?

– Istotnie, skąd mogę to wiedzieć! – szepnął zdjęty niepewnością Pęcherz. – Nikt przecież nie wie w tej materii nic pewnego!

Za drzwiami rozległ się wybuch śmiechu. Pęcherz słysząc to znowu uspokoił się i rzekł do siebie:

– Ee... przecież umarli się nie śmieją.

Znowu zwrócił się do Montauban'a:

– Mój panie, tylko bez kawałów i bez udawania! Wiem, że pan nie umarłeś i basta!

Wyobraźmy sobie, że jestem jeszcze jedną nogą na tym padole płaczu – rozległ się głos kawalera – to i cóż z tego? Przecież nie wydostaniesz mnie z tej śmierdzącej dziury, w której mnie zamknięto!

– Myśle!

– Więc, o co ci chodzi?

– Pan baron chce mieć pana żywego i obiecał nam za to dziesięć tysięcy liwrów! Tyka chciał również należeć do podziału i dostał ode mnie po łbie. Rachunek jego już wyrównany!

– Miał biedak pecha! Co?

– Dzięki Bogu, że się tak stało! Nie niecierpliw się, panie de Montauban. Zaczekaj. Biegnę do pana barona i jutro rano będziesz pan wolny.

– A pilnuj się, aby nie porwał cię po drodze kat, bo już stęsknił się za tobą! – wykrzyknął szyderczo Montauban.

Pęcherz odszedł spokojnie, zamierzając udać się do barona de Ville, aby mu oznajmić o uwięzieniu Montauban'a.

Omylił się, przypuszczając, że Tyka nie żyje, biedak bowiem miał głowę dziwnie mocną, a przy tym, w chwili gdy ciężka pięść Pęcherza spadła na nią uchylił się bezwiednie od ciosu i tym samym osłabił napęd żelaznej pięści. Wstrząs jednak był tak silny, że zemdłał. W chwili gdy Pęcherz, wracając z pałacu, przechodził koło miejsca, gdzie leżał rzekomy truposz, Tyka otworzył oczy, nie miał jednak sił ani zawołać na pomoc, ani dźwignąć się z miejsca. Do Pęcherza nie miał pretensji, sam na jego miejscu byłby uczynił to samo.

Rozumiał zresztą, że jest jeszcze za słaby, aby wszcząć walkę z silniejszym od siebie przeciwnikiem, wobec czego udał trupa.

Pęcherz, opuszczając podwórze pałacowe, zrzucił z siebie habit i żebracze łachmany, zgasił pochodnię, podźwignął się na rękach i przeskoczył przez mur, po czym ruszył do swego pana, ciesząc się z góry na czekającą nagrodę.

XXXV

TYKA, TEOBALD I LUBEK

Gdy Pęcherz oddalił się już, Tyka podniósł się z miejsca i odetchnął pełną piersią. Podczas rozmowy Pęcherza z kawalerem de Montauban był pod oknem piwnicy i słyszał wszystko. W sercu jego żył teraz podziw dla męstwa Montauban'a, który mimo okropnej sytuacji w jakiej się znajdował, nic sobie z tego nie robił, a nawet potrafił żartować i drwić.

– To jest prawdziwy mężczyzna! Dlaczego wszyscy ludzie nie są podobni do niego? Dlaczego większość jest inna, raczej taka... jak ja?

Spostrzegł, że się rozczuła nad kawalerem i wpadł w gniew na siebie samego:

– Do stu tysięcy diabłów, chyba zwariowałem!

Pomacał się w głowę, która bolała go straszliwie i pocieszył się:

– Do jutra minie! Muszę jednak wiać! Ale Pęcherz drogo mi zapłaci za swój kawał! Poleciał z ozorem do pana barona, po dziesięć tysięcy liwrów, po godność dowódcy straży osobistej delfina... Zaraz, zaraz, jeszcze wróbel nie jest w ręku! Coś mi się widzi, że karta może się odwrócić! Tak... tak... Otworzę drzwi, wypuszczę pana de Montauban'a i Pęcherz pięknie jutro ze złości, kiedy się przekona, że ptaszek uciekł z klatki. Nie! Nie należy tego czynić. Lepiej zatrzymać pana de Montauban'a, albo jeszcze lepiej przenieść go do innej klatki i wziąć samemu nagrodę. Tylko jak to uczynić? Nie uwierzy mi, wie przecież, że jestem w służbie u barona...

Nagle uderzył się w czoło:

– Ale! Zapomniałem o klekach! Ci dopomogą mi, jeśli obiecami im nie tknąć nagrody prefekta. Od obietnicy do jej wypełnienia daleko!

Rzucił się w kierunku miejsca, gdzie pozostawił braci: Teobalda i Lubka.

Nie ruszyli się z miejsca zdjęci panicznym strachem przed napastnikiem.

Teraz Tyka potrzebował ich pomocy, toteż odezwał się do nich bardzo uprzejmym tonem:

– Nie obawiajcie się, ojcowie duchowni, nie zrobię wam nic złego! Co znowu? Nie jestem ani Turkiem, ani Maurem, wiem jak się obchodzić z osobami noszącymi habit.

Spojrzeni po sobie z lękiem, nie wierząc temu, co mówił.

Tyka widząc, że jeszcze nie zdobył ich zaufania, zrzucił z siebie habit, odszukał drugi habit, porzucony na ziemi przez Pęcherza i podał im ich szaty, prosząc, aby zechcieli przywdziać je, potem udał się wraz z nimi do pałacu i po zapaleniu pochodni usiadł wygodnie w fotelu, zapytując ich, czy znają rozkład domu.

– Przecież jesteście prawą ręką kardynała! – rzekł nabierając odwagi Teobald.

– I lewą... i lewą... – dodał Lubek.

– A więc znacie rozkład domu? – powtórzył pytanie.

– Nie tylko domu, lecz i piwnic! – skłamał beczelnie Teobald.

Tyka nie miał podstaw do niewiary, upewniony pod jednym względem, zaczął im tłumaczyć, o co mu chodziło!

– Otóż uważajcie... jego książęca mość delfin...

Zamilkł zdziwiony, widząc, że dwaj zakonnicy, na te słowa pochylili się przed nim w czolobitnym ukłonie. Nie rozumiał, o co chodzi, lecz widząc, że jego słowa robią wrażenie, ciągnął dalej:

– Czy jest tu jakiś pokój, nie komunikujący się z innymi i zabezpieczony solidnymi zasuwami?

Jakkolwiek nie mieli o tym najmniejszego pojęcia, odpowiedzieli bez namysłu, że taki pokój istnieje.

Tyka mówił dalej:

– Pan de Montauban jest zamknięty w piwnicy, należy wypuścić go stamtąd i zaprowadzić do sekretnego pokoju, aby go tam zamknąć. Wy musicie to uczynić.

Cofnęli się aż do drzwi, zdjęci panicznym lękiem przed tą niebezpieczną misją.

– Teraz już po nas! – wybełkotał jeden.

– Koniec! Koniec z nami! – jęknął drugi.

– Taki jest rozkaz delfina! – syknął Tyka. Nie obawiajcie się i nie drżycie. Pan Montauban wie o tym, że pozostając w piwnicy, doczekać się może tylko śmierci, niczego więcej. Wy wróćcie mu życie, obiecując wolność. Pójdzie za wami posłusznie.

Zrozumieli, że niebezpieczeństwo im nie grozi i rozkwitli, jak kwiat pod ożywczymi promieniami słońca.

– Wypuście go z piwnicy i zaprowadźcie do pokoju, w którym ma być zamknięty. Wpuście go do pomieszczenia bez okien. Przypilnujcie, aby stamtąd nie uciekł.

XXXVI

UWOLNIENIE

Tyka i Lubek trochę bojaźliwie poszli w kierunku piwnicy. Tutaj z niezwykłą ostrożnością otworzyli drzwi i stanęli w pewnej odległości. Tyka zapytał drżącym głosem.

– Panie de Montauban! Jesteś pan tam?

– Nie. Mnie tu nie ma.

– Przyszliśmy, aby ciebie wypuścić, ale obawiamy się, abyś nam nic nie zrobił!

– No, no, nie jestem znów tak bardzo straszny, na jakiego wyglądam. Wybaczcie mi moje niezbyt uprzejme zachowanie się dziś rano... Poturbowałem was trochę, lecz to się już nie powtórzy. Wyświadczylście mi w tej chwili wielką przysługę i winien wam jestem za to wdzięczność.

Teobald i Lubek zbliżyli się do niego, jakby ośmieleni jego słowami. Montauban wydobyl z sakiewki dwie złote monety i wręczając im je, powiedział:

– Weźcie to, drodzy ojcowie, i napijcie się dobrego winka... możecie to uczynić nawet „Pod Ślepą Sroką”.

Złoto znikło w przepastnej kieszeni habitu, a braciszkuwie wykonali cały szereg przedziwnych ukłonów.

– Bądźcie uprzejmi do końca, drodzy bracia i odprowadźcie mnie do drzwi wyjściowych, chcę bowiem jak najprędzej znaleźć się z dala od tego ponurego domostwa.

Uśmiechnęli się radośnie i rzekli:

– Chodź, kawalerze, za nami.

Ruszyli przodem przyświecając mu pochodnią; od czasu do czasu spoglądali na siebie z zadowoleniem, jakby mówiąc: – Idzie! Sam idzie!

Zatrzymali się wreszcie przed drzwiami pokoju – celi, otworzyli drzwi, przepuścili go grzecznie przodem – kawaler szedł spokojnie, wesół, uśmiechnięty, pełen ufności w uczciwość swych przewodników. W progu jednak obie jego silne dłonie spadły na ramiona przerażonych mnichów. Podniósł ich jak piórko w górę, zdusił w stalowym uścisku mięśni i wrzucił do wnętrza celi, stając w progu z pochodnią odebraną Lubkowi. Biedni bracia zakonni znaleźli się w pokoju, przeznaczonym dla Montauban’a, kawaler zaś stał w progu tamując im odwrót.

Nie wiedząc, co mają teraz począć, próbowali stawiać niebezpieczeństwu czoła i obruszyli się na nieludzkie traktowanie sług bożych.

Montauban nie przeszkadzał im; stał w milczeniu i patrzył; ramiona miał skrzyżowane na piersiach i patrzył... Wzrok ten jednak był tak dokuczliwy, że zaczęli się pod nim cofać w głąb pokoju. Wreszcie nie mogąc już znieść oskarżycielskiego spojrzenia tego, którego nie chcieli wyprowadzić w pole, padli na kolana wołając:

– Łaski! Łaski!

– A więc przyznajecie się do winy? – zapytał spokojnie.

Zaczęli walić się w piersi i jęczeć:

– Confiteor!⁷

– Radzę wam mówić po francusku.

– Wyznajemy nasze winy, nasze wielkie winy wobec ciebie, kawalerze! – bełkotali, dławiąc się łękiem.

– A więc wypuściliście mnie z piwnicy, aby zamknąć w tym pokoju bez żadnego wyjścia, a potem wydać w ręce człowieka, pałającego nienawiścią do mnie?

– Łaski! Litości!

– I to wszystko dla garści pieniędzy! Tfy!

Przyjrzał się im we wzgardliwym milczeniu, potem rzekł:

– Wstańcie!

Gdy wypełnili jego rozkaz, płacząc i lamentując, rzekł krótko:

– Prowadźcie mnie do tego łotra Tyki, który czeka na was na pewno w pobliżu. Pamiętajcie jednak, że mam was na oku...

Szli zataczając się ze strachu pewni, że na podwórzu, gdzie mieli się spotkać z Tyką, zamorduje całą trójkę bez litości.

Zdumienie ich nie miało granic, gdy stanąwszy na ganku, usłyszeli głos Montauban’a, który im obwieścił, że są wolni i że mogą sobie iść, byle tylko nie śmieli pokazywać mu się na oczy.

Stanął na ganku w chwili, gdy jakiś cień ludzki zeskakiwał z muru, okalającego pałac, na ulicę. Uciekał Tyka, który zrozumiał, że Montauban słyszał przez drzwi głośnie dyskusję podchmielonych mnichów i widząc, że plan jego zawiódł, przesadził mur ogrodzenia, chcąc zbiec przed zemstą kawalera.

Montauban nie namyślając się długo pośpieszył za nim i zaczął doganiać go na ulicy.

Tyka czując, że nie ucieknie przed Montauban’em, zatrzymał się. Duma nieustraszonego łotrzyka nie pozwoliła mu ulec uczuciu strachu. Chciał powitać niebezpieczeństwo, jak na śmiałka przystało – twarzą w twarz.

⁷ Wyznaję!

Montauban podszedł do niego ze sztyletem w ręku i stanąwszy tuż przed nim zapytał go lodowatym tonem:

– To ty chciałeś wydać mnie w ręce barona de Ville, jakkolwiek wiedziałeś, że czekają mnie srogie męczarnie... Nie udało ci się, ja jestem górą!

– Tak – odpowiedział Tyka, dumnie podnosząc głowę.

– A więc zginiesz z mojej ręki – rzekł zimnym tonem Montauban.

– Zabij! – zabrzmiała harda odpowiedź.

– Dlaczego nie bronisz się?

– Po co? Jesteś silniejszy ode mnie! Przegrałem grę i muszę zapłacić. Zabij!

Montauban podniósł do góry uzbrojone ramię. Tyka ani drgnął.

Montauban opuścił rękę i schował sztylet do pochwy. Tyka pomyślał:

– Udusi mnie! Wolałbym zginąć od sztyletu.

Teraz kawaler spojrział badawczo na łotrzyka i rzekł spokojnie:

– Możesz odejść... daruję ci życie!

– Darujesz mi życie! – wybełkotał ze zdziwieniem Tyka.

– Czynię to już po raz trzeci.

– Dlaczego jednak? Z jakiej racji?

– Podziękuj twemu psu! – odpowiedział Montauban, powstrzymując uśmiech. – Nie patrz tak na mnie, bo nie zrozumiesz, nie zdołasz zrozumieć! Albo nie! Postaraj się zrozumieć! W dniu w którym to zrozumiesz, przyjdź do mnie... porozumiemy się wtedy na pewno. A tymczasem, mój zuchu – odejdz!

Tyka ruszył w kierunku ulicy Bernardynów, sunąc chyłkiem pod domami. Idąc mruczał pod nosem:

– Co u diabła z niego za człowiek? Co ma z tym wspólnego mój Gołąbeczek? Niech mnie diabli porwą, jeśli co rozumiem z tej historii!

Montauban tymczasem przypomniał sobie, że furka ogrodzenia jest zamknięta, pałac nie zamieszkały, a w pałacu pozostali Teobald i Lubek.

– Należy im się trochę strachu – mruknął pod nosem. Chciałbym widzieć minę barona de Ville jutro, w chwili gdy zjawi się w pałacu, aby mnie aresztować.

XXXVII

KONIEC PRZYGODY

Nazajutrz o bardzo wczesnej godzinie z pałacyku pani de Savigny wysunęła się bardzo ostrożnie jakaś postać niewieścia, starannie otulona w płaszcz i oglądając się trwożnie dookoła zapukała do drzwi domku, który należał do barona de Ville.

Widać czekano już tu na jej przybycie, drzwi bowiem otworzyły się niezwłocznie, a odzwiernym był sam baron, który powiódł rannego ptaszka na pierwsze piętro do bardzo skromnie umeblowanego gabinetu.

Tu dopiero tajemnicza kobieta zrzuciła z głowy głęboko nasunięty na czoło kaptur, spod którego wyjrzała na świat boży piękna twarzyczka... małżonki pana barona.

Z ciekawego spojrzenia, jakim obrzuciła pokój, można było wywnioskować, że była tu po raz pierwszy; skrzywiła się wzgardliwie na widok prostoty umeblowania, graniczącej z ubóstwem.

– Nie dziw się pani – rzekł widząc to baron – nigdy nie przypuszczałem, że zaszczyisz kiedyś swą obecnością te progi, w przeciwnym bowiem razie zastałabyś tu sprzęty godne twej osoby. –Przechodząc jednak na ton poważny, zakończył: – Obecność twoja, pani, każe mi wnosić, że osiągnęłaś to, co chcieliśmy osiągnąć. Czy mogę powinszować ci zwycięstwa?

– Tak jest. Zgadza się, nie było jednak rzeczą łatwą uzyskanie od niego tej zgody.

– Ale się zgadza, a to najważniejsze! – odpowiedział de Ville.

Słucham szczegółów.

Gdy już skończyła swe opowiadanie, de Ville powtórzył:

– Pałac de Ponthus... ulica de la Corderie... pamiętam. Miejsce wybrane świetnie – wielkie ułatwienie dla mnie. Trudno być bardziej po królewsku nieostrożnym. Przyjmij pani ode mnie wyrazy głębokiego uznania... Nasza sprawa jest na dobrej drodze.

– Na lepszej niż pan sądzisz – dodała wesoło. – Wczoraj przyszedł do mnie z gościem; założyłabym się, że nie zgadniesz, kto to był... Oto, ni mniej, ni więcej tylko Franciszek Lotaryński.

– Hrabia de'Aumale! – wykrzyknął de Ville. – A więc on bawi w Paryżu?!

– Tak jest.

De Ville rozpromienił się i zawołał:

– Lotaryńczyk odsuwa się od Diany i przechodzi do naszego obozu. Twoje znaczenie, pani, zaczyna wzrastać? Należy jednak trzymać się ostro i nie dać się nabrać Lotaryńczykom. A więc, wracaj pani do domu i czekaj na wizytę hrabiego, na pewno będzie dziś u ciebie z jakimś wspaniałym prezentem.

– Tak sądzisz? – zapytała z błyskiem w oku.

– Jestem tego pewny! – uspokoił się. Pochylony nad fotelem, w którym siedziała zaczął jej coś tłumaczyć z ożywieniem.

Nagle usłyszeli pukanie do drzwi od strony ulicy Małp. Baronowa drgnęła niespokojnie, baron jednak rzekł z uśmiechem:

– Nie ma obawy! To na pewno Tyka, albo Pęcherz, jeden z moich najemnych ludzi.

De Ville sprowadził panią de Savigny do sieni i wypuścił ją małymi drzwiami, wiodącymi na ulicę Starokościelną.

De Ville ruszył potem do drugich drzwi i wyjrzawszy małym okienkiem ujrzał Pęcherza, który czekał cierpliwie na wpuszczenie go do wnętrza. Po przywitaniu barona niskim ukłonem wykrzyknął z triumfem:

– Panie baronie, trzymam w potrzasku Montauban'a!

– Żyje? – zapytał de Ville, nie posiadając się z radości.

– Żyje i nie myśli jeszcze o śmierci.

– Gdzie jest?

– W starym pałacu książąt Lotaryngii!

– W pałacu książąt Lotaryngii!

Pęcherz opowiedział całą historię nie wypaczając prawdy; unikał tylko szczegółów i nie wspominał wcale o Tyce.

– Jesteś pewny, że nie utonął w zalanej wodą piwnicy? – zapytał baron po wysłuchaniu opowiadania.

– Rozmawiałem z nim przez drzwi, odpowiadał mi.

– Pewny jesteś, że nie ucieknie podczas twej nieobecności?

– Nie jest w stanie uczynić tego! Pałac nie zamieszkanym, nikt mu nie otworzy drzwi. Mamy go!

– No, a co robił Tyka?
– Tyka? Nie wiem co się z nim stało! Chciał działać na własną rękę, ja również, więc rozstaliśmy się. To zręczny człowiek, lecz do mnie uśmiechnęło się szczęście! A więc ja zdobędę dziesięć tysięcy i odznaczenie.

– Będziesz pierwszym w mojej straży osobistej i kasa delfina wypłaci ci dziesięć tysięcy liwrow.

De Ville narzucił na ramiona szeroki płaszcz i owijając się w niego, zaczął wydawać rozkazy:

– Czekaj na mnie na czele dziesięciu ludzi przy pałacu des Tournelles – udam się tam pieszo. Jego książęca mość musi być powiadomiony niezwłocznie o tym doniosłym wypadku; zwłaszcza, że musimy uzyskać od hrabiego d'Aumale pozwolenie na wtargnięcie do jego pałacu, aby móc aresztować łotra. Chodźmy!

W chwili gdy Pęcherz wyszedł na ulicę, towarzysząc panu baronowi, zbliżył się do nich jakiś mężczyzna, stojący przed domkiem na czatach.

– Tyka! – ryknął z przerażeniem Pęcherz.

– To ja, mój gołąbeczku! – zabrzmiała bardzo spokojna odpowiedź.

– A więc nic?...

– Tyka zrozumiał, jakie pytanie utknęło Pęcherzowi w gardle, udał jednak, że nie wie o niczym i powiedział:

– Pytasz pewnie, dlaczego nie udałem się na poszukiwanie Montauban'a. Co?

– Właśnie, właśnie! – przytaknął skwapliwie Pęcherz.

– Panie baronie – rzekł Tyka – zwracając się do de Ville'a – zmarnowałem kupę czasu na śledzenie jakiegoś łotra, który był kubek w kubek podobny do Montauban'a, a który w końcu okazał się kimś zupełnie innym. Jestem głupi, co robić dalej. Prawdopodobnie Pęcherz miał więcej szczęścia ode mnie.

– Owszem, Pęcherz miał więcej szczęścia – odpowiedział de Ville. – Jego nie zwiodło podobieństwo; on trzyma już kawalera de Montauban'a w ręku.

Tyka obrzucił Pęcherza badawczym spojrzeniem, w którym można by się dopatrzeć dużej dozy ironii, potem rzekł spokojnym głosem:

– Winszuję! Nie posądzałem go o taki spryt!

Pęcherz poczuł w głębi serca jeszcze większy spokój. Już, już chciał odpowiedzieć bardzo ostro, baron jednak przerwał ich kłótnię rozkazem:

– Tyko, Pęcherz obejmuje dowództwo, musisz go słuchać, bo jemu wydałem wszystkie rozporządzenia. Porachujemy się po aresztowaniu Montauban'a.

Oddalił się szybko, nie zwracając na nich dłużej uwagi.

Gdy znikł im z oczu, Tyka stanął w żołnierskiej postawie, zaszalutował z wielką powagą i rzekł z przesadną pokorą:

– Czekam na rozkazy „pana” dowódcy!

Mimo nieskazitelnego zachowania, w twarzy, czaiła się ironia, oczy błyszczały szelmowsko i Pęcherz nie poprzestawał zadawać sobie pytania, co to wszystko ma znaczyć.

Tymczasem de Ville udał się do pałacu des Tournelles i został wpuszczony na prywatne pokoje delfina. Na widok radości, jaką tchnęła twarz barona, posępne oczy księcia Henryka błysnęły żwawszym ogniem, wskazując mu miejsce przy sobie, zapytał:

– Co nowego, de Ville? Upoważniłem cię do wywczasowania się.

– To prawda, lecz nie czas na wypoczynek, gdy interesy waszej książęcej mości wymagają czynu.

Z uśmiechem triumfu rzekł:

– Wasza książęca mość, pochwyciłem Montauban'a!

Wzrok Henryka błysnął dziwnym jakimś blaskiem; zapytał barona:

– Gdzieś go pochwycił?

Baron opowiadał półgłosem; obecni w gabinecie księcia Henryka: Roncherolles i Saint-André, nadstawili bacznie ucha.

– Nie trzymam go jeszcze w literalnym tego słowa znaczeniu – odpowiedział de Ville – lecz wiem na pewno, że jest on zamknięty w pałacu książąt Lotaryngii, skąd będzie go bardzo łatwo zabrać, jeśli otrzymam na to twoje, panie hrabio, zezwolenie – dodał zwracając się do hrabiego d’Aumale, który był obecny przy rozmowie.

– Nie chciałbym odmówić czegokolwiek jego książęcej mości, rzekł hrabia, lecz muszę cię uprzedzić, panie baronie, że w piwnicy znajdziesz tylko trupa.

– To szkoda! – rzekł Henryk.

– Pan hrabia myli się! – pośpieszył z zapewnieniem de Ville – Montauban żyje.

Wytłumaczył natychmiast, jakim sposobem udało się Montauban’owi uniknąć utonięcia.

Franciszek d’Aumale słuchał, marszcząc gniewnie brwi. Zły humor jego wzrastał w miarę opowiadania; bo oto człowiek, którego uważał za szpiega, który na pewno słyszał jego rozmowę z panem de Maubert, człowiek ten, tak bardzo niebezpieczny dla niego – żyje.

– Wasza książęca mość – rzekł do delfina – możesz rozporządzać mną, moimi ludźmi i moim domem, lecz ten Montauban to bardzo niebezpieczny osobnik, sądziłem że już się go pozbyłem; byłoby to również pożądane dla mnie, jak dla ciebie. Żałuję tedy wielce, że pan baron uważał za korzystne uratować mu życie.

– Muszę, drogi kuzynie, zbadać tego człowieka – odpowiedział Henryk. – Uspokój się jednak, po zbadaniu postaram się o to, aby nie mógł już być niebezpieczny dla nikogo. Kat zajmie się uspokojeniem tego jegomościa.

– Jesteś tu panem – odpowiedział d’Aumale z zimnym ukłonem, powtarzam jednak, że byłbym spokojniejszy wiedząc że nie żyje.

– Twój niepokój nie potrwa długo – bąknął Henryk ze złowróżbnym uśmiechem. Mój baronie, wobec tego, że mój kuzyn nie ma nic przeciw temu, sprowadź tu jak najprędzej tego de Montauban’a.

– Czy wasza książęca wysokość nie ma dla mnie żadnego innego rozkazu?

Pytanie barona bardzo na pozór proste, miało w sobie jakąś ukrytą myśl, a spojrzenie jakie mu towarzyszyło było tak znaczące, że delfin drgnął, zamyślił się i jakby nagle coś sobie przypominając bąknął:

– Nie... nie... ale... ale... czekaj... po skończeniu narady z kuzynem muszę być u króla, aby go uprzedzić, na jakie niebezpieczeństwo naraża się codziennie, spacerując ulicą de la Corde-rie... Zaraz, zaraz... Zresztą – nie! Na razie nic nie mam... żadnych zleceń, możesz odejść, panie de Ville.

To mówiąc odwrócił się do barona plecami.

De Ville opuścił gabinet delfina; szedł szybkim krokiem, jak człowiek, któremu było bardzo pilno. Znalazłszy się na ulicy wybuchnął radością. Szedł spokojnie, a w duszy coś mu śpiewało:

– Rozkaz śmierci jest wydany! Król Franciszek już nie żyje! Niech żyje Henryk, a przy Henryku i Nicola... ja!

Na ulicy św. Antoniego, przed bramą pałacu des Tournelles zastał już Pęcherza i jego podwładnych; wszyscy czekali na barona.

Pęcherz był posepniejszy, niż zawsze, więcej niż kiedy zezował w kierunku Tyki. Czuł, że nad głową jego zawisła jakaś klęska... coś groźnego, co w każdej chwili mogło go zmiażdżyć. Pragnął pogodzić się z Tyką, przeprosić go... lecz rozumiał, że teraz jest już na to za późno.

Tyka zachowywał się niezwykle spokojnie; stał sobie skromnie w szeregu, nie drwił głośno, nie złościł się – uśmiechał się tylko z miną triumfatora, albo od czasu do czasu parskał bez widocznej przyczyny krótkim śmiechem. Podrażniony tym Pęcherz mówił do siebie:

– To jasne, że wypuścił tego przeklętego Montauban’a. Gorze mi! Gorze! To dopiero wyglądam! Co powie na to pan baron! Dlaczego powiedziałem mu, że każdy z nas pracował na

własną rękę! Gdybym mu rzekł, że Tyka był ze mną, mógłbym teraz zwalić wszystko na niego! I miałbym słuszość! Co robić? Co?

Z tych smutnych rozmyślań zbudził go krótki rozkaz de Ville'a:

– W drogę!

Wkrótce oddziałek zbrojny zatrzymał się przed pałacem książąt Lotaryngii. Po wejściu na podwórze Pęcherz z bólem serca powiódł wszystkich pod drzwi wiodące do piwnicy. De Ville przed odsunięciem rygli silnie zapukał, a biedny Pęcherz zzieleniał ze strachu na myśl o tym, co się stanie za chwilę, gdy loszek okaże się pusty. Nagle serce zabiło mu w piersi ze zdwojoną siłą, bo oto zza ciężkich dębowych podwoi dał się słyszeć głuchy jęk.

Nie mogąc powściągnąć swej radości Pęcherz odwrócił się w stronę Tyki, zatapiając w jego twarzy badawcze spojrzenie. I, o radości! Tyka nie uśmiechał się, nie triumfował, nawet nie patrzył mu prosto w oczy, tylko stał ze spuszczoną na piersi głową, jak niedoszły delikwent.

Pęcherz zmierzył go pogardliwym wzrokiem, potem nagle nabierając pewności siebie rzekł do barona:

– Tylko ostrożnie, panie baronie, ten łajdak ma broń... pańskie zaś ramię jest na temblaku... Proszę pozwolić, że ja się zajmę tym...

De Ville spojrzał nienawistnie na swą obezwładnioną rękę, potem po chwili namysłu powiedział:

– Dobrze. Zresztą należą ci się słusnie wszystkie honory tej wyprawy, której ty jesteś organizatorem i bohaterem. Idź, Pęcherzu i nie zapominaj, że chcę go mieć żywego!

– Zdaj się na mnie, wasza miłość! – zabrzmiała pełna zarozumiałości odpowiedź, a towarzyszyło jej znowu wzgardliwe spojrzenie, rzucone na Tykę.

Oślepiony dumą nie widział jak zabójczym szyderstwem błyszczał wzrok Tyki.

Pęcherz otworzył drzwi do piwnicy z zasuwy i stanawszy w progu stwierdził, że to, co wziął pierwotnie za jęk, okazało się najprozaiczniejszym chrapaniem.

– Śpi – pomyślał z zachwytem. – Nie potrzebuję nawet wysilać się zbytnio, aby go unieszkodliwić. Nawet nie zauważy, gdy będzie już po wszystkim.

Zszedł schodami do loszku, stąpając na palcach, aby nie zbudzić śpiącego; w samym rogu ujrzał kształt ludzki, leżący na grubej warstwie mułu, okrywającego ziemię. Kształt ludzki chrapał, aż się mury trzęsły. Pęcherz przyskoczył do niego i w mgnieniu oka skrępował mu ręce i nogi, owijając prócz tego całe ciało swej ofiary siecią powrozu, w końcu podźwignął bezwładne cielsko, przrzucił je przez ramię i wyniósł z loszku wołając:

– Spał! Bez wielkiej fatygi obezwładniłem go! Nawet się nie spostrzegł!

– Wynieś go na podwórze, niech mu się przyjrę lepiej!

Pęcherz pośpieszył wykonać rozkaz pana, po czym kładąc śpiącego więźnia na ziemi poszukał wzrokiem Tyki, lecz jego rywal pozostał na korytarzu wraz z dwoma żołnierzami.

De Ville podszedł do więźnia i... zdziwił się:

– Co to ma znaczyć! przebrał się za zakonnika, aby łatwiej wkręcić się do pałacu?

– Za zakonnika? – powtórzył Pęcherz z rozpaczą w głosie. Jakiś tajemny głos szepnął mu na ucho, że teraz właśnie bomba pęknie i stanie się jakieś niepowetowane nieszczęście. Spojrzał badawczo na nieruchomy kształt ludzki, włosy zaczęły mu się jeżyć ze strachu. Człowiek ubrany w habit zakonny z kapturem silnie nasuniętym na twarz na pewno nie był kawalerem de Montauban. Bał się odsłonić rąbek kaptura, bał się przyjrzeć uważniej, wiedział bowiem, że wszystko to grozi mu wstydem i poniżeniem.

Pan de Ville spojrzał na Pęcherza groźnie. Pęcherz spuścił oczy i... błagał nieba, aby... ziemia raczej rozstała się pod nim, niż żeby sytuacja taka miała potrwać dłużej.

Nagle rozległ się szyderczy głos Tyki:

– Wielmożny panie baronie, z tego Pęcherza to morowy chłop; obiecał waszej miłości jednego Montauban'a a zrobił ich na poczekaniu aż dwóch.

De Ville i Pęcherz odwrócili się gwałtownie w stronę mówiącego i ujrzeli Tykę, który szedł w ich kierunku, poprzedzając dwóch żołnierzy, niosących olbrzymi toból, owinięty w habit zakonny i obwiązany sznurem.

Teraz dopiero zrozumiał Pęcherz, jak złośliwy kawał zrobił mu Tyka.

De Ville rozumiał to tylko, że żaden z dwóch tobołów nie był Montauban'em i zapytał drżącym z gniewu głosem:

– Gdzieście go znaleźli?

– W loszku, panie baronie – odpowiedzieli dwaj żołnierze. Tak twardo spał, że nie czuł nawet, jak go owinęliśmy w habit i obwiązaliśmy sznurem.

Złożyli przyniesiony toból obok leżącego już na ziemi drugiego.

– Ciągłe śpi! Obaj śpią, jak susły! – zawołał zdjęty zachwytem Tyka. – Nigdy jeszcze w życiu nie widziałem takich śpiochów!

De Ville przyskoczył do ludzkich tłumoków i zdarł im gwałtownie z głowy kaptury.

– Brat Teobald!... Brat Lubek! – wykrzyknął z doskonale udanym zdziwieniem Tyka.

Składając przed Pęcherzem szyderczy ukłon dobił go ironicznym okrzykiem.

– Świetny połów! Muszę przyznać, że masz spryt! Ho! ho!

De Ville zaczął kłąć i sadzić diabłami na myśl o tym, co powie na to wszystko delfin.

Szarpiąc Pęcherza za kołnierz i potrząsając nim, wrzasnął:

– Gadaj głupie bydlę! Tłumacz się! Montauban był przecież na pewno w tej piwniczce? Co to ma znaczyć, że zamiast niego znajdujemy tych dwóch pijaków.

Pęcherz przewracał ze strachu oczami, bełkotał coś pod nosem, lecz nikt nie mógł nic z tego zrozumieć.

Teraz dopiero Tyka zdecydował się, że już najwyższy czas aby rozwiązać tę zagadkę, która z wesołej na razie mogła się lada chwila stać tragiczną.

Podszedł tedy do barona i kłaniając się mówił:

– Może ja wytłumaczę to, jak będę mógł. Hrabia d'Aumale nie przechwalał się po próżnicy: Montauban musiał tu być istotnie. Jakim sposobem znaleźli się tu również ci oto bracisz-kowie? Złośliwość losu zawiodła ich na korytarz, wiodący do loszku. Słyszając błagalny głos Montauban'a, wzywający pomocy, ulitowali się nad nim i wypuścili go. Wtedy kawaler przez wdzięczność zamknął ich tu, dając im możliwość należytego wywczasowania się, sam zaś wziął nogi za pas... no i już!

– Tak, masz słuszność! Tylko tak mogło się to stać, nie inaczej! – zgodził się z nim de Ville.

Pęcherz odetchnął z ulgą, zadał sobie jednocześnie pytanie, co za interes mógł w tym mieć Tyka, aby nie pogrążyć go ostatecznie w oczach barona.

– Tyko – odezwał się baron – ty obejmiesz dowództwo nad oddziałem straży, ty zaś, Pęcherzu, udasz się do domu i tam zaczekasz na dalsze rozkazy.

Dwaj rywale spojrzeli po sobie: jeden z triumfem, drugi z tajoną nienawiścią, połączoną ze zdziwieniem.

– Co mam zrobić z braciszkami? – zapytał Tyka.

– Niech idą do wszystkich diabłów! – zgrzytnął zębami de Ville. Po chwili dwaj opilcy leżeli już pod murem ogrodzenia, od strony ulicy, chrapiąc w najlepsze w dalszym ciągu.

XXXVIII

W LUWRZE

Tegoż samego dnia, mniej więcej w godzinę po wyżej opisanych wypadkach król Franciszek I, ubrany we wspaniałą aksamitną strój, spacerował niespokojnie po swym gabinecie, zatrzymując się od czasu do czasu przy kominku, aby zagrzeć nad ogniem ręce.

W komnacie prócz króla byli jeszcze zaufani dworzanie króla jegomości: hrabia d'Essé i hrabia de Sansac, przy drzwiach stała nieruchoma jak posąg postać Jakuba de Lorges, pana de Montgomery, dowódcy oddziału najemnych Szkotów.

W progu gabinetu ukazał się nagle Noirville. Na jego widok król wykrzyknął niecierpliwie:

– No i co tam słyhać z tą solą?

– Ciągłe jeszcze czekamy na transport, Sire! – odpowiedział prefekt zimnym głosem.

Franciszek I zachnął się gniewnie i zawołał:

– Czy nigdy już nie nadejdzie?

– Nadejdzie, Sire, jednego tylko żałuję, że w oczekiwaniu na przybycie transportu jestem przykuty do Arsenалу, a szkoda...

– Czy jest coś nowego? – zapytał król.

– Jest. Dzielnica Cudów za dużo sobie zaczyna pozwalać. Wszyscy ci kuglarze, żebracy, złodzieje, włóczędzy i linoskoczki, zorganizowali się i chcą do reszty już opanować miasto! Cały Paryż mówi tylko o nich, a na czele najzuchwalszych łotrzyków stanął nieustraszony zuchwalec imieniem kawaler Hoël de Montauban. Powiadają również, że królestwem złodziei i włóczędów rządzi kobieta. Nikt jej nie zna, nikt nie wie, jak się ona nazywa, a ci spośród jej ludzi, którzy znają jej imię, prędzej daliby się porąbać w kawałki, niż zdradziliby tajemnicę „tej pani”.

– To jakaś bajka, mości Noirville'u! – bąknął król.

– To groźna i niemiła prawda, Sire. Ów Montauban, wczoraj w blasku, na placu św. Marcina, stoczył sam jeden formalną bitwę z oddziałem moich ludzi, składającym się z czterdziestu żołnierzy. W szeregach walczących byli i panowie szlachta, między innymi baron de Ville, który został ranny w twarz i w rękę, prócz niego byli tam panowie: Roncherolles i Saint-André.

– Sam? – ależ ten włóczęga to bardzo dzielny chłop! – wykrzyknął zachwycony odwagą Montauban'a król.

Noirville w krótkich słowach opowiedział królowi historię bitwy, stoczonej przez kawalera z oddziałem łuczników.

Król, sam dzielny i nieustraszony żołnierz, był zachwycony tym opowiadaniem; Noirville jednak nastawał na to, że z wszelką rebelią czas jest już skończyć i że rozkaz królewski objęcia przez samego prefekta dowództwa nad oddziałem, mającym ochraniać przystań przy Arsenale, jest bezcelowy i szkodliwy, bo wiąże mu ręce i uniemożliwia przedsięwzięcie ostatecznej rozprawy ze światem włóczędów, co uważał za rzecz konieczną i nie cierpiącą zwłoki.

– Miej cierpliwość jeszcze przez kilka dni, mój Noirville'u – uspokajał go król. – Statki z ładunkiem przybędą, ładunek zostanie umieszczony, gdzie należy, wtedy będziesz mógł robić wszystko, co ci się spodoba.

– Zastosuję się do woli mego pana i władcy! – powiedział Noirville, pochylając się w ukłonie, po czym opuścił gabinet królewski.

Minął się w drzwiach z delfinem, którego król powitał prawie serdecznie.

Po wymianie zdawkowych słów towarzyskiej uprzejmości, delfin rzekł nagle:

- Przychodzę do waszej królewskiej mości z prośbą o wymiar sprawiedliwości.
- Mów! – rzekł król zimnym głosem.
- Wnoszę skargę przeciw pewnemu łotrowi, który wczoraj w biały dzień napadł na jednego z moich dworzan – barona de Ville’a – i poturbował go sromotnie.
- Król spojrział z odcieniem wzgardy na delfina i rzekł:
- Ten łotrzyk musi być mistrzem w sztuce władania bronią, skoro wziął górę nad panem de Ville’m, jednym z naszych najlepszych rębaczy.
- Delfin opowiedział królowi szczegóły przygody.
- Ależ, u licha – przerwał mu król, ja już znam przecież tę historię. No, no, ulica św. Marcina stała się teraz, jak widzę, polem działania dla złodziei. Jak się nazywa ten twój śmiałek.
- Montauban, Sire. Hoël de Montauban!
- Hoël de Montauban – powtórzył król, marszcząc brwi. Ależ to jakiś diabeł – nie człowiek.
- Masz słusność, Sire i dlatego przychodzę do ciebie z prośbą o wymiar sprawiedliwości.
- Złóż skargę na ręce prefekta!
- Już to uczyniłem.
- No i...?
- Prefekt oświadczył mi, że nie ma w tej chwili czasu!
- Tak jest – nie ma w tej chwili czasu!
- A więc sprawy wzięły teraz taki obrót – wykrzyknął z goryczą w głosie delfin, że następcą tronu w osobie swych dworzan zostaje zelżony, a wielki prefekt nie może zająć się tą sprawą, bo jest zajęty bronieniem interesów księcia Orleanu. Otóż oświadczam, że nie mogąc uzyskać od ciebie, Sire, sprawiedliwości, wymierzę ją sam!
- Co chcesz uczynić? – zapytał Franciszek I, widząc, że delfin nie może już powściągnąć swego wzburzenia.
- Każę szukać, zamknąć i skazać tego włóczęgę Montauban’a.
- Nie widzę w tym nic zdrożnego! Rób, co ci się spodoba!
- To jeszcze nie koniec – wykrzyknął Henryk – moje skrzynie są puste, służba moja czeka na zaległą gażę.
- Czy nie masz pensji i dochodu z twych ziem?
- To jest nic! Nie mogę związać końca z końcem. Czy nie mógłbyś, Sire, coś mi przeznaczyć z sumy, która ma przypaść na księcia Orleanu?
- Księżę Orleanu nie interesuje się tym, co ty otrzymujesz ode mnie. Proszę iść za jego przykładem.
- Jak to, dla niego masz, Sire miliony! – wykrzyknął Henryk – a ze mną kłócisz się o kilkanaście głupich talarów.
- Nie mówmy już o tym! – uciął rozmowę rozgniewany król. Czy to już wszystko, co masz mi do powiedzenia?
- Nie ufasz mi, Sire, nie wierzysz w mój dla ciebie szacunek i przywiązanie. A tymczasem, Bóg mi świadkiem, że przychodzę przede wszystkim zdjęty lękiem o twoje, Sire, bezpieczeństwo.
- Mów! – rzekł łagodniejszym już tonem król.
- Czy wasza królewska mość w swych wieczornych wędrówkach po mieście nie zechciałaby zabierać ze sobą kilku bodaj dobrze uzbrojonych ludzi. O nieszczęście nietrudno!
- Wzgardliwy uśmiech przeleciał po ustach Franciszka I.
- Dziękuję ci, Henryku, za troskliwość. Pomyślę o tym. Możesz już odejść.
- Henryk pożegnał ojca ukłonem i opuścił pałac królewski. Już na ulicy rzekł do de Ville’a z westchnieniem:
- Obawiam się, że król jegomość nie zastosuje się do mojej rady.
- W każdym bądź razie wasza księżęca mość będziesz mieć spokojne sumienie! – odpowiedział de Ville.

XXXIX

W MIESZKANIU MONTAUBAN'A

– Panie, chciałbym wiedzieć, czy prędko udasz się do jego eminencji kardynała Lotaryngii? – zapytał kawalera de Montauban'a jego wierny sługa Langrogne.

– Mój drogi, czy ty wiesz, że ona znowu uśmiechnęła się dziś do mnie? Kocha mnie! Nie ma wątpliwości! – wykrzyknął w odpowiedzi zakochany kawaler.

– Nie wymawiając panu, słyszę to dziś już po raz piąty! — bąknął Langrogne.

– A więc uważasz, że mogę być spokojny, i że posiadam jej miłość, że nie odeśle mnie do wszystkich diabłów?

– Nic nie wiem, prócz tego, że wygląda bardzo dostojnie, a żadna dostojna dama nie odsyła szlachetnie urodzonych kawalerów do diabła.

– Z tobą trudno jest się porozumieć! Ty nie wiesz, co to jest miłość!

– Zgoda i na to! Ale najlepiej będzie, gdy się pan ją po prostu zapytasz, czy cię kocha! Będziemy wiedzieli, czego się trzymać.

– Pójdę za twoją radą, mój poczciwy Langrogne. A tymczasem dowiedz się, że kazała sobie podać osiodłanego już konia. Chce na pewno wyjechać na spacer...

– Będę jej towarzyszyć...

– Z daleka! – zaśmiał się szyderczo sługa.

– Niech się dzieje co chce, lecz tym razem będę jej towarzyszyć i zagaję decydującą rozmowę.

– Amen. A może pomówimy teraz o sprawach poważniejszych?

– A więc, twoim zdaniem, to o czym mówiliśmy przed chwilą, były głupstwa?

– Nie powiedziałem tego.

– Cóż tedy rozumiesz pod „poważnymi sprawami”?

– Wczoraj, widząc, że wchodzi pan do pałacu księżąt Lotaryngii, pomyślałem sobie, że zdecydowałeś się nareszcie na zwrócenie się do kardynała o protekcję.

– Kto ci pozwolił chodzić za mną jak cień? – zapytał kawaler z udanym gniewem.

– Obawiałem się... – wybełkotał wylekły sługa.

– Czego? Nie jestem dzieckiem, żebyś miał mnie wodzić na pasku.

– Ale nie czekałem przecież na to, aż pan wyjdiesz z pałacu, tylko wróciłem sobie spokojnie do domu.

– A ja tymczasem toczyłem zapasy ze śmiercią w piwnicy, zalanej przez wodę. Jeśli już chciałeś mi towarzyszyć koniecznie, nie należało oddalać się.

– To samo powiedziałem sobie w duchu, zawróciłem z drogi i... spotkałem się z panem.

– To wszystko już było niepotrzebne. Ale, ale, co byś zrobił gdybyś mnie nie spotkał.

– Przeskoczyłbym przez mur i zrewidowałbym cały dom... przysięgam, że odnalazłbym pana... i uwolnił... albo... zginałbym wraz z tobą, panie.

Montauban spojrział ze wzruszeniem na wiernego sługę, nie chcąc się jednak zbyt rozczulać nic nie odpowiedział, nalał tylko sobie i jemu wina, potem trącił się z nim i stawiając pusty kubek na stole, rzekł:

- Mam wrażenie, że po wczorajszej przygodzie z Gwizjuszami nie warto zaczynać.
 - Namysł się, panie, bo pozostało nam zaledwie trzysta liwrów.
 - Co takiego? Widzę, że coś tu nie jest w porządku. Wczoraj jeszcze zapewniałeś, że mamy około dwustu liwrów. Nadszarpałem tę sumkę, kupując nowe ubranie, żyliśmy przez cały dzień i raptem masz dziś trzysta liwrów. Co to ma znaczyć?
- Langrogne'owi ani śniło się wtajemniczać swego pana w to, że powiększenie ich majątku zawdzięczał hojności pana de Maubert'a. Toteż odpowiedział wymijająco:
- Włożyłem pańskie pieniądze w pewien interes i podwoiłem sumę.
- Montauban uwierzył jego słowom, albo raczej udał, że wierzy.
- Uspokojony Langrogne wrócił znowu do tematu, który go najwięcej interesował:
- A jednak może pan pójść do kardynała. Hrabia d'Aumale to przecież nie ksiązę Gwizjusz! Należy spróbować.
- Kawaler pomyślał przez chwilę, w końcu rzekł do Langrogne'a:
- Obiecuję ci, że w najbliższym czasie pójde do kardynała z listem od pana ojca.

XL

NOWA MISJA

Kardynał Lotaryngii kończył właśnie poufną naradę ze swym bratankiem, kiedy bracia Teobald i Lubek wytrzeźwieni po nocnej libacji w opuszczonym pałacu i ustrojeni w nabyte u handlarza starzyzną „nowe” habity na miejsce dawnych, ozdobionych czerwonym dyskiem księżycy z tyłu, weszli do gabinetu swego pana i przełożonego.

Na przystrojenie się w „nowe” habity wydali jedną sztukę złota, z dwu otrzymanych od kawalera de Montauban. Idąc do kardynała, wzdychali gorąco do wszystkich świętych, prosząc ich o opiekę i wstawiennictwo.

Hrabia d'Aumale zwierzył się przed chwilą przed kardynałem z tego, że w pani de Savigny będą mieli teraz nie lada sojuszniczkę. Sprawę najdelikatniejszą – nocnych spacerów króla po ulicy de la Corderie, oraz ewentualnego nieszczęśliwego wypadku – uradzono powierzyć panu de Maubert. Jego majątek i spryt gwarantowały powodzenie, a nikomu do głowy by nawet nie przyszło, że inicjatywa wyjść mogła od Gwizjuszy lub następcy tronu.

Gdy bracia Teobald i Lubek stanęli w progu gabinetu, kardynał, który wiedział już o tym, że jego szpiedzy spędzili noc pod murem pałacu Lotaryńczyków, udał nieświadomość i powitał ich bardzo łaskawie, chwając za gorliwość w pracy i za odwagę oraz narażenie swego życia w wędrówkach nocną porą po krętych i niezbyt zachęcających do takich spacerów uliczkach miasta.

- Wszystko z poczucia obowiązku, wasza eminencjo!
- Wiem, jak narażaliście się dla mej sprawy dzisiejszej nocy. Przyjmijcie to, jako nagrodę za waszą wierność – ciągnął kardynał dalej, wręczając jednocześnie obu braciom spory stosik złota. Wiem i to, że dzięki wam bratankowi memu udało się pojmać tego łotra Montauban'a; jest to przysługa, która zostanie wynagrodzona również w swoim czasie.

Braciszkwowie zakonni osłupieli ze zdziwienia.

– Teraz, mówił kardynał dalej, spoglądając znacząco na hrabiego – mam dla was nową misję. Bracie Lubku, weź to małe rzeźbione w srebrze puzderko... Trzymaj je w ręku – bo byś mógł zgubić. Dobrze. A ty, bracie Teobaldzie, zaopiekuj się tymi kwiatami. Udacie się z tym wszystkim na ulicę Starokościelną do pałacu de Savigny, wręczycie puzderko i kwiaty pani Nicolii de Savigny. Oddajcie to jej osobiście, do rąk własnych. Rozumiecie?

– Tak jest, wasza eminencjo.

– Powiecie jej, że przysłała was hrabia d’Aumale. Nadmienicie również, że pan hrabia będzie miał zaszczyt złożyć jej wizytę mniej więcej w godzinę po waszej bytności u niej.

– To już wszystko?

– Wszystko! Uważajcie, abyście nie zgubili powierzonego wam depozytu... Gdyby gdzieś się... zawieruszył, kat połamie wam kości.

Nogi ugięły się pod nimi, zbledli i kurczowo ścisnęli w ręku kwiaty i srebrne puzderko.

Kardynał, widząc że groźba wywarła pożądaną skutek, spojrzał na nich ostro i zakończył:

– Uprzedzam was, że jeśli piśniece bodaj słowem o tym, jaka misja została wam powierzona, jeśli ktokolwiek bądź prócz pani de Savigny usłyszy z ust waszych nazwisko hrabiego d’Aumale, każę was ż y w c e m zamurować w celi klasztornej.

– Będziemy niemi jak ryby, wasza eminencjo!

– Już dobrze! Po wypełnieniu misji wróćcie zdać mi sprawę. Nie zapominajcie przy tym, że macie mi towarzyszyć do Bagnolet. Idźcie już, idźcie, moi bracia.

Lotem strzały pomknęli do pałacu de Savigny, gdzie niezwłocznie zostali przyjęci przez piękną panią Nicolę.

Ku wielkiemu ich zdumieniu pani de Savigny przyjęła przysłany jej upominek zupełnie obojętnie. Wsuwając do ręki posłom parę sztuk złota, rzekła łagodnym głosem:

– To dla waszych biednych, czcigodni ojcowie.

Rozpłynęli się w podziękowaniach, obsypali ją błogosławieństwami, po czym odeszli pełni radosnej dumy.

Znalazszy się na ulicy spojrzeli po sobie z błogim uśmiechem. Stanowczo szczęście zaczęło się do nich uśmiechać. Chcąc uspokoić nerwy i pokrzepić nadwątlone siły postanowili wstąpić w drodze powrotnej do jakiejś oberży lub szynku, aby coś przekąsić i przepłukać sobie gardło.

– Możemy zajrzeć do oberży „Pod Przędzącą Maciorą”. Nigdzie nie ma takiej gęsi jak tam – oświadczył Lubek.

– Doskonale! Zapijemy gąskę saumur’em i pośpieszymy do jego eminencji z raportem.

Chcąc trafić „Pod Przędzącą Maciorę”, należało przejść koło oberży „Pod Poczciwymi Chłopakami”. Zły los zaprzysiągł się jednak na to, aby wszystko, co mogło być dla nich dobre, zamieniło się w zło. W chwili, gdy znaleźli się przed oberżą „Pod Poczciwymi Chłopakami”, z drzwi tego „klubu złodziei” wychodzili Czerwonoreki i Kozia Bródka. Ujrawszy braci Teobalda i Lubka poznali ich, rzecz oczywista, od razu i żywiąc do nich niezapomnianą jeszcze urazę za to, że przez nich zostali zbesztani przez Alicję, postanowili zemścić się.

Po upewnieniu się, że nie mają żadnych niebezpiecznych świadków rozprawy, rzucili się na biedaków, potracając ich tak gwałtownie, że obaj w mgnieniu oka rozciągnęli się na ziemi wydając żałośliwe jęki i wzywając pomocy.

Gdy wreszcie z trudem dźwignęli się ze swego upadku, napastnicy znikli. Ulotnili się jak kamfora. Mnisi byli przeświadczeni, że nagły podmuch trąby powietrznej zwałił ich z nóg. Pamiętając o rozkazach kardynała wbrew swemu zwyczajowi nie zabawili zbyt długo w oberży i w porę zjawili się u swej władzy, aby zdać sprawę z tego, jak się wywiązali z nakazanej im misji.

XLI

W PAŁACU DE SAVIGNY

Gdy wysłannicy kardynała opuścili pałac de Savigny, piękna Nicola sięgnęła po srebrne puzderko, stojące przy niej na stole i otworzyła je. Na aksamitnej poduszce leżały dwa piękne, czyste, jak łza wody, diamenty. Oczy intrygantki zapłonęły gorączkowym blaskiem, uśmiech wybiegł na purpurowe usta, wpatrzyła się w królewski dar, w końcu oderwała wzrok od niego i postawiła puzderko na stole przy sobie.

Hrabia d'Aumale nie dał na siebie długo czekać. Po niezwykle dworskich komplementach, gdy już pierwsze lody pękły, Nicole sięgnęła po puzderko i wręczając je Henrykowi, rzekła:

– Panie d'Aumale, jakkolwiek przykro mi jest, że możesz pan do mnie żywić urazę o odmowę, nie mogę uczynić inaczej. Zabierz pan ten klejnot... nie mam zwyczaju przyjmować od moich gości tak cennych upominków.

Hrabia d'Aumale spojrział na nią ze zdziwieniem i odpowiedział z uśmiechem:

– Upominek nie jest bynajmniej rewanzem za pani gościnność.

– A więc mam go uważać za przedpłatę za pakt, jaki sławny ród Gwizjuszy chce zawrzeć ze mną?

Hrabia d'Aumale stwierdził, że ma do czynienia z kobietą o wiele silniejszą niż mu się zdawało.

– To właśnie miałem na myśli – odpowiedział z mimowolnym respektem. Tu jednak spotkała go jeszcze większa niespodzianka. Pani de Savigny uśmiechnęła się do niego, lecz nie cofnęła wyciągniętej ręki, trzymającej srebrne puzderko:

– W takim razie tym bardziej nie mogę przyjąć pańskiego upominku. Dlaczego? Bo jest za skromny.

Widząc, że gniew wykrzywił rysy twarzy hrabiego, złagodziała cios i dodała:

– Chyba, że jest to tylko skromny wstęp...

– Zgadłaś pani – pośpieszył upewnić ją Franciszek d'Aumale. – A gdybyśmy nawet – czego nie przypuszczam – nie doszli do porozumienia, pragnąłbym, abys potraktowała pani ten skromny dar, jako wyraz mego zachwyty dla zalet jej ciała i ducha.

– Jest pan najuprzejmiejszym i najmiłszym kawalerem, jakiego znałam w moim życiu – rzekła Nicola – nie mam już sumienia opierać się dłużej i... przyjmuję.

Odstawiła niedbałym ruchem piękne puzderko na stronę.

Uśmiech triumfu przewinał się po jej ustach. Hrabia doskonale zrozumiał jego znaczenie – sprytnym manewrem znalazła się w posiadaniu drogiego klejnotu nie angażując się jeszcze do niczego.

Gra z taką dyplomatką, nie była łatwa; czuł, że musi się trzymać ostro, żeby nie przegrać wielkiej partii.

– Naturalnie, że traktujesz pan ze mną w imieniu całego rodu Gwizjuszy, którego będziesz w przyszłości głową.

– Nie omyliłaś się pani.

Piękna Nicola zaczęła teraz stawiać swoje warunki.

– Z chwilą, kiedy pakt nasz zostanie zawarty, interesy jednej strony będą musiały ściśle się wiązać z interesami drugiej. Ja będę działała na waszą korzyść, wy – na moją, a wtedy powodzenie stanie się rzeczą pewną. Razem wyniesiemy się w górę i razem... złożymy nasze głowy na szafocie, gdyby los obrócił się przeciw nam.

Franciszek d'Aumale wpatrywał się w mówiącą z coraz większym podziwem. Imponowała mu mocą charakteru, jasnością sądu odwagą i zimną krwią.

– A więc pakt zaczepno–odporny na śmierć i życie! Na dobrą i złą dołą! – rzekł z powagą.

– O tym właśnie myślałam. A teraz, chcąc usprawiedliwić me wygórowane warunki, pozwól pan, że skreślę ci krótki obraz tego, co wy – Gwizjusze – mieć pragniecie i w imię czego rozpoczynacie wielką grę, dobierając sobie sojuszników.

– Jak to? pani wiesz... pani chcesz mi mówić o naszych tajemnych planach i ambicjach?

– Tak jest – ja! Sprostujesz mnie pan, jeśli przypuszczenia moje będą mylne.

– Cały gmach waszych marzeń, moi panowie, zbudowany jest na zasadniczo nowych fundamentach: oto królem Francji musi być nie Franciszek I, lecz Henryk II. To jest podstawa przyszłej akcji, gdyby to zawiodło – gmach runie, grzebiąc nas pod gruzami. Nie zapominajmy o tym ani na chwilę. Król Henryk II musi mieć przy swym boku Egerię, która kierowałaby nim umiejętnie.

– A tą Egerią będziesz ty, pani.

– Tak. Tylko, że baronowa de Savigny, będzie musiała wtedy zostać księżną.

– Oczywiście. Wybacz mi pani, że zapomniałem o tym w nawale myśli.

– Król Henryk wzywa do współrzędów swych kuzynów i lenników książąt Gwizjuszy, dzieląc się z nimi władzą. Jeśli oni potrafią tak gospodarować, by król zawsze miał pieniądze, władza ich będzie prawie nieograniczoną. Henryk II będzie wprowadził koronę, prawdziwymi jednak królami będą Gwizjusze.

– Królowi nigdy nie zabraknie pieniędzy – pośpieszył z zapewnieniem d'Aumale.

– Kardynał będzie piastował godność pierwszego ministra, książę Klaudiusz głównodowodzącego armią i flotą. Pan zostaniesz ministrem skarbu, zresztą pańską rzeczą będzie podzielić odpowiednio dostojęstwa i tytuły. Skończyłam z urzeczywistnianiem planów jawnych. Przechodzę do tajnych.

– To ciekawe.

Ze zdumiewającą ścisłością, jakby pod wpływem jasnovidzenia, mówiła d'Aumal'owi o tym, do czego sam się bał przyznać w duchu, a o czym mówił raz tylko w życiu... z Janem de Maubert'em. Przed oczami jego pod wpływem słów przebiegłej Nicoli przewinęły się górne obrazy władzy królewskiej piastowanej – przez niego – obrazy wielkich wojen, w których sława oręża francuskiego rozbrzmiałaby na całym prawie kontynencie... i znowu on był bohaterem tej rycerskiej epepei.

– Skąd wiesz, pani, to wszystko – pytał od czasu do czasu drżącymi ze wzruszenia ustami.

– Skąd wiem, to wiem lecz że nie myślę się, za to mogę ręczyć słowem. A więc... Wygaśnięcie rodu Walezjuszy – Henryk nie będzie miał potomstwa – odsunięcie od tronu najbliższych krewnych: Bourbonów i... przejście władzy do rąk Gwizjuszy, których głową będziesz kiedyś ty, panie hrabio. A teraz pomówmy o pana osobistych sprawach. Musisz ożenić się, panie hrabio, jak najprędzej... przy tym bogato; jest to warunek konieczny.

– Pomyślałem już o tym i zdaje mi się, że uczyniłem dobry wybór, kandydatka bowiem na przyszłą księżnę de Guise jest młoda, piękna, pochodzi z dobrej rodziny i jest bogata, jak Krezus.

– Doskonale, mając dużo pieniędzy możesz pan sięgnąć bodaj nawet po koronę neapolitańską. Dlaczego spoglądasz pan na mnie tak dziwnym okiem? Pomyliłam się? Nie marzyłeś pan nigdy o tej koronie?

– Dalej, dalej – zawołał gorączkowo Henryk.

– Gdyby nawet król nie chciał dać na to zezwolenia ja będę dbała, aby w końcu zezwolił.

– Jeśli dokazesz pani tego... żądaj ode mnie, czego tylko twa dusza zapragnie! – wykrzyknął z zapalem.

– Liczę na pańską wdzięczność. Po Neapolu przyjdą inne prowincje Włoch, jako król włoskiego państwa możesz spokojnie wyczekiwać chwili, kiedy po bezdzietnym zgonie Henryka korona Francji ozdobi twą głowę. Jeśli nie pan, pański pierworodny, którego jeszcze nie ma na świecie – otóż pański pierworodny, powtarzam, będzie mógł sięgnąć po koronę Francji. Jeśliby ten nieistniejący jeszcze pierworodny zmarł przed panem – ty ozdobisz swoją głowę dwiema koronami.

– Jesteś pani geniuszem opiekuńczym naszego rodu! – wykrzyknął.

– A teraz przejdziemy do moich spraw. Po pierwsze, musicie mi stworzyć odpowiednie stanowisko przy dworze; następnie wywianować mnie tak, aby dochody z tego wiana wynosiły najmniej dziesięć tysięcy liwrow. Najlepiej ulokować ten majątek w ziemi.

– Scedujemy na panią baronat de Joinville, dając rocznej renty najmniej piętnaście tysięcy liwrow.

– Księżna de Joinville! Ładnie brzmi! – szepnęła z uśmiechem. – Nie chcę jednak żadnej cesji, nikt nie powinien wiedzieć o tym, że łączą nas jakieś interesy. Musicie nabyć coś dla mnie. To będzie najprostsze.

– Otrzyma pani od nas urzędowy akt sprzedaży baronatu de Joinville i pokwitowanie odbioru wpłaconej za niego sumy.

– Dobrze. Od dnia, w którym władza przejdzie w wasze ręce, będziecie musieli wypłacać mi roczną pensję w kwocie stu tysięcy liwrow tytułem dożywocia.

– Ślicznie. Co jeszcze.

– To już wszystko. Ale musimy wrócić do tego, od czego zaczęliśmy, a mianowicie do hipotezy, że Franciszek I padnie ofiarą nieszczęśliwego wypadku.

– Tak jest. To ja uprzedziłem delfina o grożącym królowi niebezpieczeństwie – rzekł d'Aumale z naciskiem. Lecz skąd wiesz pani o nocnych spacerach króla?

– Od delfina – zaznaczyłam mu w rozmowie, jak doniosłą rolę w jego życiu odegrałby taki nieszczęśliwy wypadek.

D'Aumale zerwał się z miejsca i zapytał zduszonym głosem:

– I co?

Po krótkiej pauzie odpowiedziała lakonicznie:

– Zgadza się.

D'Aumale, nie mogąc już dłużej panować nad sobą, wykrzyknął:

– Przekonałaś go pani?!

– Nie bez trudu.

– Dzielny z pani polityk. Musisz mieć pani na niego duży wpływ.

– Owszem... prawie zawsze robi tak, jak ja chcę. A więc trzeba brać się do dzieła.

– Czy masz pani kogoś na widoku?...

– Baron de Ville. Jest odważny i zręczny.

D'Aumale skrzywił się.

– Masz pan coś przeciw niemu? – zapytała.

– Przeciw baronowi nic zgoła. Lecz istnieje jeden szkopuł; baron należy do otoczenia delfina.

– Rozumiem pańskie zastrzeżenie. Lecz za to jest to człowiek niezwykle przebiegły i możemy polegać na nim całkowicie.

– Lepiej jednak będzie, gdy wiadomą nam powinność wykona ktoś zupełnie obcy, stojący z dala od dworu i otoczenia delfina.

– Masz pan kogoś takiego?

– Owszem.

– W taki razie temat jest wyczerpany.

Wkrótce po tej rozmowie, hrabia d'Aumale wchodził już do pałacu de Cluny, aby się zobaczyć ze swoim stryjem i kardynałem.

Po wyjściu z pokoju hrabiego, Nicola zapadła w głęboką zadumę; była tak zamyślona, że nie zwróciła uwagi na kilkakrotne pukanie do potajemnych drzwi w ścianie, zasłoniętych ciężką zasłoną. W drzwiach tych po pewnym czasie stanął młody mężczyzna. Była to Alicja, przebrana za Jana Maubert'a, bardziej jeszcze wytwornego i strojnego, niż kiedykolwiek.

Widząc, że Nicola marzy, Alicja podeszła do niej i dotknęła jej ramienia.

Nicola drgnęła nerwowo i zaczęła przepraszać młodzieńca, za to, że zapomniała na chwilę o jego obecności.

– Marzyłaś pani? – zapytała zmieszana panią de Savigny z odcieniem ironii w głosie. Tłusty kasek, który ci dziś zaproponowali Gwizjusze jest trudno strawny. Poradzisz z nim sobie jednak jeśli zechcesz stosować się do moich instrukcji. Muszę ci teraz powinszować świetnego przeprowadzenia całej intrygi. Zręczna z pani kobieta!

– A więc jesteś pan ze mnie zadowolony? – zapytała Nicola prawie nieśmiało.

– Bardzo, a oto namacalny dowód mego zadowolenia.

To mówiąc dobyła z torebki małe pudzderko i otworzyła je. Błysnęły krwawe ognie przepięknej rubinowej kolii.

– To klejnot godny nawet królowej – bąknęła Alicja. Zresztą nie dużo będzie pani brakowało do tego tytułu.

Ku wielkiemu zdziwieniu Alicji Nicola nie zdawała się być tak zachwycona upominkiem, jak tego po niej należało się spodziewać. Wzięła w ręce kosztowne pudzderko, spojrzała przelotnie na rubinowy naszyjnik potem odłożyła je na stół. Gdy jednak Alicja wymieniła sumę pięćdziesięciu tysięcy liwrow, taka bowiem była cena kolii, oczy Nicoli błysnęły żywszym ogniem, policzki zarumieniły się a małe kształtne usteczka zapłonęły purpurą.

Po chwili jednak znowu ostygła; rzekłbyś, obecność Alicji mroziła wszystkie jej zapały, budząc w jej sercu jedynie uczucie panicznego lęku.

– A teraz wróćmy do naszej sprawy. Wypełniłaś pani wszystkie moje instrukcje co do joty za wyjątkiem jednego, bardzo ważnego punktu.

– Jakiego?

– Wspominałaś pani o tym, że król Henryk może panować długie lata, a przecież uprzedziłem panią, że tak nie będzie.

– Pomyliłam się! – wyjąkała przerażona.

– Tak – uprzedziłem również panią, żebyś starała się jak najsprytniej wyzyskać na swoją korzyść jego krótkie panowanie. Żądaj podwójnych kasek, rządy wasze bowiem potrważą najwyżej kilka miesięcy. Król Henryk jest chory, wierz mi, pani, bardzo chory.

– To pan skazałeś go na śmierć, podobnie, jak skazałeś króla Franciszka! – wykrzyknęła z rozpaczą Nicola.

– A gdyby nawet?!

– Och! Kim jesteś ty, który rozporządzasz niewyczerpanymi skarbami i bezgraniczną potęgą? Do jakiego celu dążysz?

– Pani ośmielasz się mnie badać? Powiedz mi teraz jaki król, jaki cesarz byłby w stanie obdarzyć cię tak hojnie, jak ja to uczyniłem w tak krótkim czasie?

– Przyznaję! I to było moją zgubą. – Złoto! Złoto! Kocham je! Nie mogę bez niego żyć! Dla niego zostałam tym, czym jestem: płatnym szpiegiem! Szpiegiem... na czyją rzecz? Zrozumiałam w tej chwili, o jakim ważnym zadaniu mówiłeś pan do mnie! Oto – ja mam skalać ręce morderstwem delfina Henryka, gdy już zostanie królem.

– Zawsze twierdziłem, że jesteś, pani niezwykle sprytna.

– A więc nie omyliłam się? Nie? Tego zażądaś pan ode mnie? Tak?

– Czy masz pani zamiar wmówić we mnie, że kochasz delfina? – zapytała Alicja z ironią.

– Co znowu! – zdobyła się Nicola na odpowiedź – lecz w interesie moim jest, aby żył jak najdłużej.

– Dobrze. A zatem nie?

– Nie!

– Doskonale. Cały dwór dowie się jutro o niecnym zawodzie pani, o tym, że za garść udzielonych cennych informacji, brałaś pani pieniądze.

Przeraziła się tej perspektywy i rzuciła pytanie mniej już pewnym tonem:

– Co mogliby mi zrobić? Nie ma żadnych dowodów.

– Dowody znajdują się. A zresztą gdyby nawet ich nie było, wystarczy cię rzucony na nazwisko, aby nie być przyjętą na dwór królewski. Potem odebrano by pani całe mienie: konfiskata majątków... słowem ruina. I co potem? Śmierć w klasztorze... na pokucie... pręgierz i hańba...

Twarz Nicoli okryła się bladością. Padła na kolana i wznosząc błagalnie dłonie zawołała:

– Laski!

Alicja zamilkła a po chwili rzekła spokojnym już zupełnie tonem:

– Głupia jesteś pani ze swym uporem! Wiesz dobrze, że na nic się on nie zda. Odchodzę. Gdy przyjdzie odpowiednia chwila, zobaczymy się i udzielę ci szczegółowych instrukcji.

Nicola schyliła pokornie głowę na piersi i szepnęła:

– Będę posłuszna, panie.

– Na razie musisz mi pani dostarczać codzienne raporty w związku z osobą delfina, hrabiego d'Aumale, twego małżonka... Wiesz, gdzie możesz mnie zastać. Gdybym był przypadkowo nieobecny, zastaniesz zawsze kogoś, komu możesz zaufać.

Ruszyła ku drzwiom, nagle przystanęła i rzekła:

– Ale, ale zapomniałem powiedzieć, że potwierdzam wszystko, co zostało ci obiecane przez hrabiego d'Aumale, z jedną tylko zmianą, że sto tysięcy rocznej renty po śmierci króla Henryka zostanie podwyższone do dwustu. Ja gwarantuję wypłatę.

Nicola stała czas jakiś oniemiała i drżąca. Potem nagle zachnęła się gwałtownie i schrypniętym głosem wykrzyknęła:

– Bądź przeklęty, niecny kusicielu! Szatanie! Oby psy wściekle szarpały twe ciało po śmierci! Oby sam lucyfer przypalał twą duszę na wolnym ogniu!

Po tym wybuchu wściekłości padła nagle na dywan i szlochała na głos, jęcząc i wydzierając sobie włosy.

– Gorze! Gorze mi nieszczęsnej! Dlaczego byłam szalona! Po co mi to wszystko było!

W końcu – wykrzyknęła z najwyższą rozpaczą:

– A jednak, gdy jego nie będzie, co się ze mną stanie?!

XLII

WYPRAWA DO BAGNOLET

Kawaler de Montauban stojąc przy otwartym oknie swego mieszkania ujrzał stajennego, który wyprowadził wierzchowca Polnej Różyczki, już osiodłanego do drogi.

Nie zwracając uwagi na panów Roncherolles'a i Saint-André'go, którzy myszkowali od pewnego czasu pod oknami mieszkania Polnej Różyczki, wybiegł z pokoju – aby wpaść do stajni i osiodłać dla siebie konia.

Wierny Langrogne widział więcej: oto pani Agadou ukazała się na ganku, zamieniła parę słów z panem de Roncherolles'em, po czym z kieszeni Roncherolles'a powędrowała do kieszeni pani Agadou sakiewka, odwrotną zaś podróż odbył klucz, wręczony strojnemu paniczowi przez starą megierę. Po załatwieniu tej transakcji powiernicy delfina ruszyli w kierunku lokaja, który o parę domów dalej trzymał za uzdę dwa gotowe do drogi konie. Panowie dosiedli swych rumaków i odjechali – za nimi ruszył lokaj.

Kawaler de Montauban kończył siodłać konia, gdy w drzwiach stajni ukazała się ładna buzia pani Wilhelminki Pączuszka – właścicielki oberży „Pod Ślepą Sroką”. Serce jej od dawna biło żywiej na widok urodziwego młodzieńca. Nie mogąc jednak o nim ani marzyć, postanowiła być mu przynajmniej wierną przyjaciółką. Instynktem niewieścim wyczuła miłość, jaką żywił do pięknej sąsiadki z naprzeciwka i postanowiła mu dopomóc.

Stanąwszy w progu – zapytała go:

– Po co, kawalerze, trudzić się eskortowaniem kogoś, z kim się nie zamieniło jeszcze ani słowa?

– Pani Wilhelminko, mówi mi pani to samo, co mój Langrogne.

– Radzę panu zdobyć się na więcej odwagi. Wyznaj swą miłość, a zobaczysz, że nie zostanie ona odrzuconą.

– Skąd pani może wiedzieć?

– My kobiety rządzymy się w takich przypadkach niezawodnym instynktem. Wierz mi panie, panna kocha pana.

Uśmiechała się jak serdeczny przyjaciel, dodając mu odwagi, ładna jej twarzyczka jednak pokryła się bladością, a oczy przysłoniła mgła powstrzymanych łez.

Montauban zauważył jej wzruszenie i jakkolwiek był mało zarozumiały, domyślił się przyczyny jej wzruszenia.

Przyciskając jej białą rączkę do ust, rzekł łagodnym głosem:

– Pani Wilhelminko, dzielna z pani kobieta o wielkim sercu. Zaszczyt mi przynosi twa odana i pewna przyjaźń.

Po tych słowach złożył na białej rączce jeszcze jeden pocałunek.

Zarumieniała się z radości, nie straciła jednak głowy lecz zaczęła poganiać go przyjaznym tonem:

– Prędeży, prędeży – jedź już, kawalerze i usłuchaj mej rady. Z tymi słowami złożyła wdzięczny ukłon i odeszła do kuchni.

Montauban zamyślił się, wkrótce jednak otrząsnął się z zadumy, dosiadł konia i ruszył w drogę.

Nagle ujrzał idącego ulicą pana de Pontalais. Na jego widok zatrzymał konia i pozdrowił przyjaciela okrzykiem:

– Jak się masz, mości Pontalais.

Pontalais drgnął, jak pod ukłuciem żądła osy, owinął się starannie w swój szkarłatny płaszcz i mruknął:

– Co, u licha, za mania wykrzykiwania nazwisk na całe gardło! I w ogóle zachowujesz się pan jak pomyleniec. Wiedząc, że cię szukają, nie zmienić miejsca zamieszkania, wyjeżdżać na miasto w biały dzień!

– A więc mnie szukają? Nie wiedziałem o tym. Zresztą o tym potem. Na razie żegnam, bo mi się śpieszy.

Dogonił Polną Różyczkę przy bramie św. Marcina. Dostrzegłszy za sobą młodzieńca zakochana dziewczyna uśmiechnęła się i szepnęła do siebie:

– Podąża za mną. Ciągłe czuwa nad moim bezpieczeństwem.

De Montauban jechał w dość dużej odległości, nie mając odwagi usłuchać rady pani Wilhelminki. Co pewien czas powtarzał sobie, że skorzysta z najbliższej sposobności, aby wszcząć z ukochaną rozmowę lecz zawsze coś stało mu na przeszkodzie.

Jechali już polną drogą lecz i tu przeszkody piętrzyły się nieustannie. Raz za dużo było przy drodze chałup, to znowu zakręt drogi zdawał się być zbyt gwałtowny; innym razem przeszkodziły mu wozy wieśniacze... Polną Różyczka jechała spokojnie przed siebie. Montauban podążał za nią, klnąc w duchu swą nieśmiałość, która przeszkadzała mu rozpocząć swe przemówienie.

Pograżony w myślach nie słyszał tętentu nadjeżdżającego orszaku konnego; co prawda tętent był głuchy, co świadczyło, że jeźdźcy znajdowali się w znacznej jeszcze od niego odległości.

O kilkanaście kroków przed Polną Różyczką droga robiła gwałtowny zakręt; w miejscu tym rosła spora kępa drzew. Na tym zakręcie drogi, ukryty w zaroślach obrał stanowisko kardynał Lotaryngii.

Wyglądał naprawdę po wielkopańsku w swym wspaniałym rycerskim stroju, który nosił z niezwykłą swobodą i wdziękiem.

Przybył w otoczeniu orszaku, złożonego z kilku okrutnych zawadiaków; nie był tak nieustraszenie odważny, jak jego starszy brat Klaudiusz, lub bratanek hrabia d'Aumale. Gdy się udawał na jakąś wyprawę, nawet na miłosną, lubił wiedzieć, że nad bezpieczeństwem jego czuwa kilku silnych chłopów.

Teobald i Lubek również przybyli z nim razem. Trzymali się nieco na uboczu nad brzegiem rowu, który oddzielał drogę od lasu. Humor mieli podły, wyraz twarzy smutny, oczy spoglądały na świat z cichą rezygnacją.

Wszystkiemu winne były muły; musieli bowiem na mułach udać się na wyprawę. Dowiedziawszy się, że będą odbywać podróż konno, uczuli strach, nigdy bowiem ich odwrotna strona medalu nie tknęła grzbietu ani konia, ani wolu, ani osła, ani muła.

Upewniono ich jednak, że nie potrzebują się niczego obawiać, muły bowiem są łagodne jak baranki i same, bez przynaglania idą za oddziałem.

Muły, na które ich wsadzono, okazały się istotnie bardzo spokojne i łagodne. Łakomi i zawsze spragnieni ojcowie zabrali ze sobą sporą baterię flaszek i niemało zapasów spożywczych. W tych warunkach ich wyprawa wydała im się jakąś czarowną bajką.

Cóż kiedy złośliwość jednego z hajduków zepsuła cały błogi stan, w jakim się znajdowali. Poradził on braciszkom dać długouchym rumakom obfitą rację owsa, osły bowiem i muły

cenią niezwykle dobre obchodzenie się ze sobą i wyrażają swą wdzięczność w ten sposób, że są jeszcze łagodniejsze niż zazwyczaj.

Braciszkwowie zakonni pośpieszyli wykonać tę radę. Wobec tego, że skrzynie stajenne przepełnione były literalnie, dwaj ojcowie zakonni przekarmili po prostu swoje muły.

Skutki były takie, o jakich nawet się nie śniło! Oto gwałtownie podniecone na skutek działania owsa, zjedzonego w nieumiarkowanej ilości, dwa muły nabrały niezwyklej rąchości. Biedni zakonnicy chcieli zsiąść ze swych rumaków, lecz już było za późno; muły ruszyły naprzód z takim rozmachem, jak gdyby podniecano je ukłuciem tysiąca żadeł pszczelich.

Rozpoczął się piekielny jakiś taniec, którego przymusowi uczestnicy, trzymając się każdy kurczowo szyi swego rumaka, jęczeli głucho, wzywając na pomoc wszystkich świętych pańskich.

Muły szalały przez cały czas podróży, dopiero znalazłszy się w małym lasku pozwoliły swoim jeźdźcom zejść na ziemię.

Nic dziwnego, że dwaj braciszkwowie mieli grobowe miny i że siedząc na brzegu rowu w oczekiwaniu na rozkazy „eminencji” spoglądali ze śmiertelną urazą na „opętane” muły. Ostry stan niezwyklego podniecenia minął już, w tej chwili biedne zwierzęta były bardziej przygnębione niż kiedykolwiek. Teraz dopiero stały się łagodne jak baranki.

Teobald i Lubek widzieli wyraźnie tę radykalną zmianę w ich usposobieniu, nie ufali jej jednak. Bo i jak tu ufać, kiedy „przekłete kłapouchy” robiły przecież potulne miny także przedtem, widocznie więc był to szatański podstęp ze strony „opętanych” bydłaków. Należało przypuszczać, że gdy braciszkwowie dosiądą rumaków, rozpocznie się ta sama historia, na której wspomnienie krew cierpła im w żyłach.

Gdy Polna Różyczka ukazała się na drodze, kardynał, zwracając się do braci zakonnych, rzucił rozkaz:

– Gdy skończę z nią rozmowę, musicie podążyć za nią i b e z w z g l ę d n i e dowiedzieć się, do kogo tu przybyła. Będziecie wolni od obowiązku śledzenia za nią, dopiero gdy powróci na ulicę św. Marcina.

Rozkazującym skinieniem ręki polecając im usunąć się dyskretnie na stronę, sam ruszył na jej spotkanie. Jechał wolno, jakby używając przejażdżki dla przyjemności; trzymał się środka wąskiej drogi, co utrudniało dziewczęciu swobodne wyminięcie go. Zauważyła jego manewr, wiedziała jednak, że on jedzie w ślad za nią i że w jego obecności nic się jej złego stać nie mogło. Jechała więc spokojnie dalej, trzymając się również środka drogi.

Znalazłszy się o parę kroków przed panną, kardynał zatrzymał swego wierzchowca i odslaniając głowę, powitał ją ukłonem.

Ledwie racząc kiwnąć głową zapytała ostrym tonem:

– Może zechcesz pan ustąpić mi z drogi?

– Pozwolisz pani powiedzieć sobie... – zaczął kardynał.

– Na nic nie pozwolę szlachcicowi, który jest o tyle niedyskretny, że pragnie narzucić swe towarzystwo nieznanym kobiecie – przerwała mu Polna Różyczka.

W całej jej postawie tyle było godności, że kardynał wykrzyknął nagle ze szczerym zachwytem:

– Nieba! Jakże piękna jesteś pani!

Rozpętała się w nim nagle zwierzęca namiętność, toteż gorącym, półprzytomnym głosem mówił dalej:

– Jakże piękną jesteś pani i jakże cię Kocham! Och! Gdybyś wiedziała, jaką namiętność wzbudziło w moim sercu jedno spojrzenie twoich niewinnych oczu! Chcesz majątku? Bądź moją, a pozazdrości ci bogactw cały świat!

Ręka jego spadła na cugle jej konia, pragnąc zatrzymać go. Polna Różyczka musiała cofnąć się nagle całym ciałem w tył, aby uniknąć uścisku jego ramion. Oburzona wykrzyknęła:

– Jesteś pan szalony, albo pijany!

– Tak, jestem szalony namiętnością! Pijany żądzą! – wyszeptał chrapliwie, usiłując pochwycić ją w objęcia. – Gdybyś tylko wiedziała, kim jestem, nie sprzeciwiałabyś mi się tak strasznie!

Broniła się z całych sił. D z i w i ła s i ę bardzo, widząc, że o n nie śpieszy, aby obronić ją przed napastnikiem; niebezpieczeństwo jednak nie było, jej zdaniem, tak poważne, żeby wzywać go na pomoc. Toteż chłoszcząc zuchwalca wzgardliwym tonem rzekła:

– Wiem, że jesteś pan łajdakiem i to mi wystarcza.

Podniecenie kardynała minęło równie szybko, jak się zrodziło. Zrozumiał, że popełnił niezwykle fałszywy krok, już chciał naprawić swą winę, przeprosić dziewczę i usunąć się z jej drogi. Powstrzymała go od tego fałszywa ambicja, która podszeptała mu myśl, że będzie wzięty na złośliwe języki, gdy się rozniesie, że skapitulował przed gniewem „szesnastolatki”.

Wybuchnął szyderczym śmiechem:

– Tyle hałasu o jednego całusa! Nie chcesz pani dać mi go po dobroci... wezmę go więc siłą!

Znowu chciał porwać ją w ramiona, znowu musiała wydzierać mu się; w tej walce ujrzała nagle kilku ludzi z eskorty kardynała, którzy zaciekawieni tym, co będzie dalej, wysunęli się spod osłony drzew.

Na ich widok Polna Różyczka zrozumiała, że są to sojusznicy tego, który napadł ją na równej drodze. Teraz niebezpieczeństwo urosło w jej oczach do wielkich rozmiarów. Straciła głowę i niedługo myśląc zawołała rozpaczliwym tonem:

– Do mnie! Ho! Ho! Na pomoc!

Donośny, mocny jak dźwięk spizu głos męski odpowiedział na wezwanie:

– Jestem!

Nie zdążyła jeszcze usunąć się na skraj drogi, a już jej obrońca, jak gwałtowny podmuch wichury runął na kardynała.

Zgrzytnął piasek pod końskimi kopytami, gwizdnęło w powietrzu ostrze stali rapieru, koń kardynała stanął dęba ze strachu... I znowu rozległ się dźwięczny głos ukochanego.

– Precz z drogi, mości napastniku! Precz! Albo na Boga, nie ujdiesz z życiem!

Błady, z czołem oblanym zimnym potem, kardynał ujrzał ostrze rapieru wymierzone w jego pierś. Cofnął się gwałtownie, bełkocąc:

– Hola! Co to za szaleniec? Co za zbój z szerokiego gościńca?

– Pójdiesz precz, czy nie? – ryknął Montauban.

Oczy nieoczekiwanego obrońcy błyszczały tak groźnie, twarz jego wyrażała tak stanowczą decyzję, że kardynał błady ze strachu cofał się coraz szybciej, aż do miejsca gdzie ukryci byli jego ludzie.

Montauban zwrócił się teraz do dziewczyny i odsłaniając głowę, pozdrowił ją niskim ukłonem. Przez sekundę zwarli się spojrzeniem; patrzyli na siebie tak, jakby widzieli się po raz pierwszy, a jednocześnie, jakby znali się ze sobą już od wieków. Nagle uśmiechnęli się do siebie, jak dwaj przyjaciele, szczęśliwi ze spotkania.

Montauban, ponawiając ukłon, oświadczył:

– Nie obawiaj się, pani, niczego!

Spojrzała na niego dziwnie słodko i potrząsając uroczą swą główką rzekła:

– T e r a z nie boję się niczego!

Zadrzał, słowa te bowiem, jakkolwiek bardzo proste, byty dziwnie znaczące, zwłaszcza zestawione z wezwaniem go po imieniu na pomoc. Ona zarumieniła się, teraz dopiero zrozumiała, że popełniła bezwiednie co prawda, wielką nieostrożność.

Spojrzeni na siebie szczerze, prosto, uczciwie. Uśmiechnęła się do niego znowu. On zaśmiał się cichutko i szepnął:

– A ja tak dręczyłem się układaniem całego planu rozpoczęcia rozmowy! Tymczasem wszystko to jest niepotrzebne i takie proste!

Ona zrozumiała go i zaśmiała się również dźwięcznie i słodko... Śmiech jej podobny był do szczebiotu jaskółki pod wieśniaczą strzechą.

I znowu zwarli się spojrzeniem; nie rzekłszy ani słowa, wypowiedzieli sobie wszystko. Wiedzieli teraz już na pewno, że należą do siebie na zawsze.

Nagle odwrócił się w kierunku zuchwalca, o którym na chwilę zapomniał.

Kardynał jednak nie zapomniał o nim. Przyglądając się z daleka młodej parze, poczuł straszliwy gniew. Wiedział już teraz; kim jest ten, który stanął w obronie dziewczęcia. Wiedział ich rozkochany, pełen młodzieńczych, czystych uniesień wzrok i oszalał gniewem, postanawiając zemścić się srodze.

Poszukał wzrokiem Teobalda i Lubka, zniknęli mu jednak tak szybko, jakby zapadli się pod ziemię.

Montauban tymczasem zauważył zbrojny oddziałek, stanowiący eskortę napastnika. Zrozumiał, że będzie musiał znowu stoczyć nierówną walkę z przeważającą ilością wrogów.

Tym razem jednak miał walczyć w obecności tej, która zabrała mu serce, oddając mu w zamian swoje. Czuł, że w tej chwili zdolny jest wezwać do walki cały świat.

Płomienny odwagą i siłą uniósł się w strzemionach, wydobył rapier, pochylił swą broń przed ukochaną. Patrzyła na niego z zachwytem, piękny był bowiem w swej młodzieńczej dumie i zuchwalstwie; złote promienie słońca, przedzierając się przez siatkę ogołoconych już prawie z liści gałęzi drzew otoczyły głowę jego promiennym nimbem sławy.

– Hola! – krzyknął donośnym głosem – jeszcze was tu widzę?! Mam spędzić was z drogi, jak psy, które wyrwały się z psiarni?!...

– Czy wiesz, do kogo mówisz! – odpowiedział, piniąc się ze złości, kardynał.

– Mówię do tchórza, który udaje zucha, gdy ma do czynienia z bezbronną kobietą, lecz który drży o swoją skórę i kryje się za plecami najemnych zbirów, znalazłszy się w obliczu mężczyzny!

– Brać mi tego łotra! – ryknął kardynał.

Cała gromada zbrojnych ze swym dowódcą na czele rzuciła się na zuchwalca.

Montauban nie czekał na to, aż go dopadną, lecz sam skoczył do wrogów, spinając konia ostrogami. W powietrzu zabrzmiały głośnie okrzyki, wycia i klątwy.

Nagle, jakby spod ziemi wynurzyła się przed kardynałem wysoka męska postać, owinięta w szkarłatny płaszcz tak starannie, że trudno byłoby dopatrzyć się rysów twarzy dziwacznej zjawy. Człowiek ten, zwracając się do kardynała, wykrzyknął:

– Wasza eminencjo! Wasza eminencjo! Nadjeżdża, delfin! Za parę minut już tu będzie!

Kardynał zachnął się gwałtownie i blade z gniewu wybuchnął:

– Delfin! Do diabła! Zapomniałem o tym!...

Spojrzał badawczo na tego, który zjawił się z wieścią; nieznajomy ukrył twarz w fałdach swego czerwonego płaszcza. Nie wiedząc, czy ma uwierzyć w przyniesioną mu wiadomość, spoglądał na mówiącego niezdecydowany. Wysoki drab zrozumiał jego wahanie.

– Wasza eminencjo – rzekł z żywością – mimo zgiełku, jaki czynią walczący, bacznie słuchając, usłyszysz tętent kopyt zbliżającego się oddziału.

Kardynał nadstawił ucha. Przekonał się, że tajemniczy goniec mówił prawdę.

– Delfin nadjeżdża; on również ciągnie za tą oto panną.

Kardynał nie słuchał go dłużej. Spiąwszy boki swego rumaka ostrogami, ruszył w stronę lasu zdjęty panicznym strachem, uciekał, co koń wyskoczy, gnał przez świeżo zorane pole na złamanie karku. Przed rzuceniem się do ucieczki przyłożył do ust gwizdek, dając nim sygnał do odwrotu.

Montauban rzucając się do walki wpadł w sam środek zbrojnej gromadki; pożałował tego w jednej chwili; ciasny teren walki na wąskiej drodze tamował mu ruchy. Znalazł się tuż nad głębokim rowem, nie mając rozmachu nie mógł poczynać sobie z wrogiem tak, jakby chciał. W mgnieniu oka obmyślił jedyny możliwy plan; znowu spiął konia ostrogami i silnym pociągnięciem cugli podniósł go w górę. Szlachetne zwierzę, stojąc na tylnych nogach, zaczęło bić przednimi kopytami, oczyszczając sobie drogę, potem zaczęło sadzić przed siebie w gwałtownych susach.

Po paru minutach teren walki został oczyszczony. Kawaler rozparł się teraz wygodnie w siodle, ściągnął cugle, ścisnął w rękę rękojeść rapieru, gotując się do energicznego wypadu.

Nagle jednak rozległ się gwizdek i grono napastników pierzchnęło, rozproszyło się i zaczęło pędzić w stronę lasu. W sercu kawalera zawrzała gniew i wzdarda dla tchórzy, którzy uciekali przed nim, jak zające. Niewiele myśląc puścił się w pogoń, pozostawiając Polną Różyczkę na drodze. Nie wiedział, jaka może być przyczyna tej nagłej ucieczki, poczytał ją za podstęp; to jednak nie powstrzymało go również.

Przeleciał, jak wichur koło mężczyzny w czerwonym płaszczu, który nie osłaniał już swej twarzy, wpadł do lasu, jak burza, potem znalazł się na zorany ugorze. Pędząc za uciekającymi wołał:

– Stój! Tchórze! Nędzniku! Stój! Ty – fałszywy szlachcicu. Nędzny napastniku samotnych kobiet!

Imć pan Pontallais, on to bowiem był, odsłaniając twarz, którą do tej chwili krył starannie w fałdach purpurowego płaszcza, odprowadził wzrokiem pędzącego, co koń wyskoczył, Montauban'a i zaklął:

– Wiedziałem, że ta szalona głowa nie oprze się pokusie ścigania swych napastników. Już go nie ma! Dałby Bóg, aby nie wrócił tu przedtem, aż przejdzie oddział zbrojny delfina, gdyby bowiem spotkali się ze sobą, nawet mój spryt nie uratowałby go od zguby.

W tej chwili kiedy wygłaszał w duchu ten monolog, na zakręcie drogi ukazał się delfin Henryk.

– Przybyłem w samą porę; nieopatrzny kawaler wzięty w dwa ognie łącznie zamieniłby się w marmoladę.

Z tymi słowami ulotnił się gdzieś cudownym po prostu sposobem.

Polna Różyczka pozostała na drodze sama; czekała na powrót Montauban'a, nie mogąc się doczekać, ruszyła wolno naprzód, nie chcąc zbytnio oddalać się od miejsca, na które, jak przypuszczała, kawaler powróci po krótkiej potyczce.

Delfin wysunął się na czoło oddziału, Roncherolles i Saint-André jechali gęsiego za nim w pewnym jednak oddaleniu. Jadąc pochylali się wciąż do siebie i szeptali z tajemniczymi minami ludzi, którzy przygotowują jakąś miłą niespodziankę.

Delfin, który to zauważył, płonął niecierpliwością, chcąc dowiedzieć się, co nowego wymyślili.

Za nimi jechał de Ville sam. Był ponury i zaaferowany. Zły jego humor pochodził stąd, że delfin był tego dnia niezbyt łaskawy dla niego i oświadczył, iż na razie, do czasu zanim wygoi swe rany, zwalnia go z obowiązków służbowych. Złośliwe spojrzenie, jakie zamienili ze sobą Roncherolles i Saint-André, umocniło go w przekonaniu, że postanowienie to należy przypisać ich podszeptom. Toteż mimo wszystko udał się również na wyprawę, postanawiając mieć swoich dwóch rywali ciągle na oku.

Za de Ville'm jechali: Tyka i Pęcherz, którzy również obserwowali się bacznie.

Za nimi wszystkimi wreszcie ciągnęło dwójkami dziesięciu żołnierzy.

Na widok Polnej Różyczki delfin ściągnął cugle swemu rumakowi, chcąc jak najdłużej jechać śladem dziewczęcia, odsłonił przy tym zupełnie swe oblicze.

Roncherolles i Saint-André przeciwnie wtulili twarz w fałdy swych płaszczy. Polna Różyczka nie odwróciła się ani razu, słyszała jednak, że zbrojny oddziałek, który dążył drogą w

jej kierunku zwolnił tempa, postępując za nią. Zatrzymała się wreszcie w miejscu, nad samym brzegiem rowu, dając jadącym drogę.

Delfin był zmuszony jechać dalej. Mijając dziewczynę zdjął z głowy toczek i złożył elegancki ukłon. Odpowiedziała nań obojętnym skinieniem głowy.

Delfin był wściekły: jechać taki szmat drogi, aby otrzymać za to jedno jedyne obojętne spojrzenie. Toteż zatrzymał wkrótce konia, chcąc podjąć próbę nawiązania z piękną panną znajomości.

Roncherolles jednak i Saint-André, widząc co się święci, podjechali pospiesznie do delfina, prosząc go, aby poniechał tego zamiaru i nie spłoszył przypadkiem zwierzyny.

Księżę Henryk zrozumiał, że mają już najwidoczniej coś ukartowanego. Ściągnął koniowi cugle i zwalniając tempa, zapytał:

– Dowiem się wreszcie, o co wam chodzi?

– Trochę później, wasza książęca mość – szepnął Roncherolles.

– Gdybyś nie zechciał usłuchać nas, panie, dorzucił Saint-André – wszystko poszłoby na marne!

Z tymi słowy wskazał ręką na Polną Różyczkę.

De Ville zauważył ten ruch i wyobraził sobie, że się to odnosi do niego. Dbając o to, aby wpływ Nicoli na delfina był jak najsilniejszy i najtrwalszy, nie chciał go osłabić nagłym wtargnięciem do jego życia młodego dziewczęcia, z drugiej zaś strony pisał się na myśl o tym, że jego rywale mogą go zdystansować i odsunąć od księcia Henryka. Mając bardzo dobry wzrok poznał w jeźdźcu jadącym stępa po zaoranym ugorze Montauban'a. Istotnie był to nasz junak, który, poniechawszy pogoni, wracał powoli na drogę, pozwalając koniowi trochę wytchnąć.

De Ville postanowił teraz działać na własną rękę. Obejrzał się. Orszak cały już go wymiął; w miejscu, w którym się znajdował pan baron wznosił się płot dostatecznie wysoki, aby się za nim ukryć. Zamiast podążyć za całym orszakiem wjechał za płot, dając na migi znak Tyce i Pęcherzowi, aby poszli za jego przykładem.

De Ville zeskoczył z konia, zsunął się do głębokiego rowu i ruszył pod jego osłoną w stronę, gdzie odjechał delfin i jego satelici.

Wkrótce usłyszał rozmowę:

– Dziś wieczór, wasza książęca mość, wejdiesz w posiadanie niezdobytej fortecy i pięknego ptaszka, który się w niej kryje – mówił Roncherolles.

– A więc wszelkie przedwczesne kroki mogłyby się okazać szkodliwe – dorzucił Saint-André.

– Oto jest droga do rajy! – rzekł znowu Roncherolles ze złośliwym śmiechem, wydobywając z torebki u pasa, wręczony mu przez panią Agadou klucz.

Delfin pochwycił go gorączkowo i wykrzyknął:

– Niezlomna w swej cnocie stara odstała wreszcie od swych zasad.

– He, he, wasza miłość – rzekł Roncherolles z rozmyślnym cynizmem – niezłomność bywa niezłomną jedynie do czasu, kiedy ciężar metalu ją skruszy. Jest to jedynie kwestia ciężaru kruszcu!

– Dziesięć tysięcy liwrow, wręczone jej przez nas, skruszyły jej cnotę – oświadczył Saint-André.

Mówiąc to spojrzął na delfina zezem, jakby chcąc sprawdzić, jakie wymieniona przez niego suma wyrze na nim wrażenie. Delfin jednak pozostał na nią zupełnie obojętny; pierś jego rozpierała radość, że nareszcie zaspokoi swój zmysłowy kaprys.

Prawdziwi z was przyjaciele – rzekł do Roncherolles'a i Saint-André'go, dlatego też nie mogę na to pozwolić, abyscie się na mnie rujnowali. Udajcie się jutro do mego skarbnika, który wam wypłaci „dwadzieścia tysięcy liwrow”, wydane przez was na mnie.

Roncherolles spojrzął na Saint-André'go z uwielbieniem dla jego sprytu, potem, podjeżdżając do niego, szepnął mu na ucho.

– Stara dostała tylko dwa tysiące, na czysto zarobiliśmy osiemnaście. Umiesz chodzić koło interesów!

De Ville słyszał całą rozmowę. Wiedział już teraz wszystko. Postanowił więc wrócić do swych satelitów, a potem okrężną drogą udać się do Bagnolet, aby tam połączyć się z oddziałem.

Wracając do swego wierzchowca mruczał pod nosem:

– Przekłęci rufianie, nie uda się wasz plan. Nie wy, lecz ja wydam pannę w ręce księcia, wtedy jednak dopiero kiedy będę wiedział, że nie będzie to ze szkodą dla Nicoli. Dziś wieczór zastaniecie klatkę pustą. Wobec tego, że turkaweczka jest pod ręką, łatwo mi przyjdzie wykonać mój zamiar.

To mówiąc odwrócił się w stronę Polnej Różyczki i... zaklął siarczyście.

– Do stu piorunów. Znowu Montauban! Piekło chyba stawia go ciągle na mojej drodze!

Przykucnął w rowie w obawie, żeby Montauban go nie zauważył.

Kawaler jednak widział tylko swoją ukochaną.

Podjeżdżając do niej rzekł dziwnie miękkim głosem:

– Przebac mi, pani, że pogałem jak wariat, nie myśląc o tym, że zostawiam cię samą.

Uśmiechnęła się do niego słodko i odpowiedziała:

– Wiedziałam, że nie oddali się pan zbyt i czekałam na niego.

Czując nagłą potrzebę zwierzenia się przed nim z tajemnicy rzekła bez żadnych wstępów:

– Muszę panu powiedzieć, że jestem znajda – i nie mam nazwiska.

Bez chwili wahania odpowiedział jeszcze miększym głosem:

– Będiesz pani nosiła nazwisko Montauban'ów. Nikt nie może być godniejszy tego zaszczytu.

Skinęła głową na znak zgody, potem dodała ze zdumiewającą szczerością:

– Nie potrzebuję chyba tłumaczyć panu, że jako znajda nie posiadam żadnego majątku.

Zaśmiał się wesoło w odpowiedzi na jej słowa:

– I ja jestem goły, jak mysz kościelna, nie mamy więc sobie nic do zarzucenia. Połączmy więc nasze dwie nędze, a w sercach naszych znajdziemy takie skarby, które zastąpią nam majątek! Zresztą – dodał z powagą – mam przed sobą wielkie perspektywy; list polecający do kardynała Lotaryngii. Nie chciałem dotychczas korzystać z niego, teraz jednak skorzystam.

– Tak, tak, musisz się pan udać do kardynała – powiedziała – na pewno przyjmie waćpana dobrze. Jest podobno bogaty i potężny; będzie mógł dużo zrobić dla waćpana. Każdy, najpotężniejszy nawet pan, ujrzy chętnie przy swoim boku takiego kawalera, jak pan.

Słowa jej tchnęły uwielbieniem dla jego męstwa i odwagi.

Uśmiechnął się. Wierzył również w siebie i w to, że czeka go jasna przyszłość. Powtórzył z mocą.

– Tak, tak, udam się do kardynała nie później niż jutro.

Ani on, ani ona nie domyślali się nawet, że właśnie ów potężny protektor uciekał przed kawalerem.

XLIII

ZARĘCZYNY

Zupełnie odruchowo zbliżyli się do siebie, ręce ich splotły się w gorącym uścisku. Zarmieniona i szczęśliwa schyliła głowę na jego ramię, po czym czysty, jak kwiat lilii, pocałunek połączył ich usta. Był to pocałunek dwojga narzeczonych.

Uwolniła się łagodnie z uścisku jego ramion, mówiąc z uśmiechem:

– Powiedziałałam panu, że jestem znajdą bez nazwiska i rodziny, nie myśl pan jednak, że jestem zupełnie sama na świecie. Przygarnęła mnie i wychowała pewna szlachetna pani, która kocha mnie jak rodzoną córkę...

Z nieuchwytnym odcieniem niepewności w głosie, co nie uszło bacznej uwagi Montauban'a, mówiła dalej:

– Tak mi się przynajmniej zdaje... Wierzę, że tak jest. Ta szlachetna pani ma córkę, która kocha mnie z całego serca, jak prawdziwa siostra.

Znowu zawahała się chwilę i dodała z filuternym uśmiechem:

– Ma również syna, którego, jak mi się zdaje, widziałeś już waćpan kiedyś... w moim pokoju!

– Pan de Maubert! – wykrzyknął kawaler.

– Znasz go pan? – zdziwiła się.

– Uratował mi wczoraj życie – przyznał się szczerze, potem, wpatrując się w ukochaną badawczo, zapytał:

– A więc pan de Maubert jest pani bratem?

Położył nacisk na to słowo; wyczuła to; nie zmieszała się jednak, nie spuściła wzroku, tylko uśmiechnęła się filuternie. Widząc, że jest zupełnie spokojna zapytał:

– A więc to pani Bagnolet zaopiekowała się panią i wychowała cię?

– Tak. Znasz ją pan również?

– Nie. Tylko ze słów pana de Maubert.

Rozmowa ta wprowadziła do jego duszy zamęt... Gubił się w myślach, nie mogąc zrozumieć, ani też powiązać całego szeregu faktów i wspomnień. Nie mieściło mu się w głowie, dlaczego pani Bagnolet, taka magnatka i tak niby kochająca swą wychowaną, pozwala jej mieszkać u starej megiery, Agadou, gdzie była narażona na szereg niebezpieczeństw.

– Wobec tego, że pani Bagnolet jest moją przybraną matką, nie omieszkam poprosić ją o zgodę na nasz związek. Na pewno nic nie będzie miała przeciw temu, zawsze bowiem powtarza, że nie rości do mnie żadnych praw i że mogę rozporządzać swą osobą. Jednak uczucie wdzięczności każe mi nie decydować o sobie bez jej zgody – oznajmiła mu.

– Masz pani słuszość – przytaknął z żywością.

– Jadę właśnie do niej – ciągnęła dalej. – Muszę się pospieszyć, bo czeka na mnie. Mówiła mi, że ma nadzieję dowiedzieć się czegoś o mojej rodzinie. Bardzo bym tego pragnęła, wnioślabym może panu w wianie przynajmniej nazwisko, jeśli nie sławne, jak Montauban'ów, lecz może jednak szlacheckie.

– Będę szczęśliwy z panią, jeśli uda ci się odnaleźć rodzinę, dla mnie jednak jesteś i będziesz zawsze jednakowo drogą.

– Wierzę, że tak jest – szepnęła.

– A może pozwolisz, pani, żebym ci towarzyszył. Dziś jeszcze chciałbym poprosić panią de Bagnolet o twoją rękę.

– Jesteś moim panem – rzekła z uśmiechem. – Wszystko, co zrobisz, będzie dobre; nie mam innej woli, prócz woli waćpana.

Serce zamarło mu w piersiach ze szczęścia.

– Ty jesteś moją panią – szepnął, pochylając głowę w pełnym pokory ruchu.

Wyprostował się i powiedział:

– A więc w drogę.

XLIV

DE VILLE ZACZYNA DZIAŁAĆ

Zaledwie Montauban i jego towarzyszka ruszyli z miejsca, spomiędzy drzew wysunął się ukryty tam dotychczas Pontalais. Na twarzy jego ukazał się łagodny uśmiech, z rozczeniem spojrzał w kierunku niknącej w oddali pary i szepnął:

– Jacyż oni są mili! Obraz czystości i szlachetnych uczuć! Bez długich westchnień i przewracania oczami porozumieli się ze sobą i na pewno będą sobie wierni; aż do grobowej deski! Biedne dzieciaki! Nie podejrzewają nawet, ile przeszkód piętrzy się na ich drodze! Nie podejrzewają nawet, jakie straszne dzikie zwierzęta krążą dokoła nich, pragnąc rozszarpać ich swymi ostrymi szponami. Biedne dzieciaki!

Nagle drgnął niespokojnie na widok de Ville'a, który w tej chwili wylazł ze swej kryjówki.

Pontalais jednym susem znalazł się w rowie i legł na samym jego dnie.

Wiemy już, że de Ville ukrył się przed kawalerem de Montauban, w chwili gdy ten podjechał do oczekującej na niego Polnej Różyczki.

De Ville spojrzał teraz po raz pierwszy uważnie na dziewczynę; spojrzał i... oniemiał z zachwytem.

Krew zalała mu mózg, serce zaczęło walić mu niespokojnie. Dławiąc się wzruszeniem szepnął:

– A więc tak wygląda Polna Różyczka! To cud prawdziwy! To prawdziwa wiosna! I o niej to właśnie marzy ten zepsuty do szpiku kości rozpustnik! Ją chciałem wydać w jego ręce! Nie! Nigdy!

Z zapartym tchem przyglądał się dziewczynie, rozmawiającej z Montauban'em. Nie słyszał słów, lecz zazdrość podyktowała mu treść ich rozmowy.

Gdy narzeczeni odjechali już dostatecznie daleko, wylazł z rowu i zacisnąwszy pięści pogroził w kierunku kawalera:

– Nieszczęsny włóczęgo, wiem teraz, dlaczego tak cię znenawidziłem od pierwszego wejścia. Jedziesz prosić panią de Bagnolet o rękę jej wychowanki! Jedź, lecz dziewczyna nigdy nie będzie twoją! Teraz wypowiadam ci walkę na śmierć i życie.

W tej chwili właśnie ujrzał go Pontalais i usłyszał jego pełne nienawiści słowa, po czym ukrył się przezornie w rowie, klnąc w żywy kamień.

Kryjąc się w rowie, starał się zbliżyć jak najbardziej do de Ville'a, nagle wzrok jego padł na pękatą sakiewkę, która leżała sobie spokojnie w trawie.

Z błogim uśmiechem ukrył znaleziony skarb w kieszeni i ruszył dalej, aż znalazł się wreszcie tuż przy rozmawiających ze sobą: de Ville'u i jego dwóch zbirach.

De Ville pod wpływem nagłej namiętności, jaka zrodziła się w jego sercu, zmienił zupełnie swój pierwotny plan.

Przemawiając ostrym tonem rozkazał Tyce i Pęcherzowi poniechać śledzenia Montauban'a i zająć się Polną Różyczką. Nagroda miała pozostać ta sama; dziesięć tysięcy liwrów, o do-

wództwie zaś dla szczęśliwszego spomiędzy nich, nie było mowy. Kazał im działać zgodnie, nie poczynać nic na własną rękę, a przede wszystkim pracować tylko dla niego.

– Żadnych delfinów, łotry spod ciemnej gwiazdy – żadnych kardynałów! Ja! Ja tylko tu rządę! Dla mnie pracować będziecie – szubieniczniki! – wrzasnął, dając ujście swej wściekłości.

Tyka i Pęcherz spojrzeli po sobie ze zdumieniem, nie mając odwagi odezwać się ani słowem.

Gdy się nieco uspokoił, wytłumaczył im szczegółowo, co mają robić. Słuchali go uważnie, a gdy skończył wreszcie swą przemowę, Tyka wykrzyknął:

– A więc mamy porwać pannę, działając bardzo oględnie, uniemożliwić jej wołanie o pomoc, wsadzić ją do lektyki i eskortować lektykę... Phy! To robota dla dzieci, a nie dla takich chłopów jak my!

– Dziś wieczór będziesz pan miał swoją ślicznotkę! – dodał Pęcherz.

– A wy otrzymacie dziesięć tysięcy liwrow na rękę! – zakończył rozmowę de Ville.

XLV

W POGONI ZA POLNĄ RÓŻYCZKĄ

Gdy baron po wydaniu rozkazów odjechał w kierunku Bagnolet, Pęcherz rzekł do Tyki:

– Powiem ci to tylko, że nasz baron dostał bzika.

– Powiedz raczej, że ugryzł go giez miłości – odpowiedział Tyka, wruszając ramionami.

Dosiedli koni i odjechali stępa.

– Wiesz co, stary – rzekł Pęcherz – teraz kiedy kwestia dowództwa odpadła, nic już nie stoi na drodze do naszej przyjaźni.

– Tak, tak – bąknął Tyka, rzucając na niego złowieszcze spojrzenie. – A jednak trzeba będzie uregulować rachunek.

– Jaki! – zapytał z niepokojem Pęcherz.

Tyka wiedział dobrze, że Pęcherz zrozumiał, co miał na myśli jego towarzysz, nie chciał jednak na razie poruszać więcej tego tematu, zaciął tylko konia i ruszył przodem.

Pęcherz, swoim zwyczajem, jechał za nim, tłumiąc w sercu gniew i niepokój.

Gdy już znikli w oddali, Pontalais wyszedł z rowu, usiadł na ziemi i pograżył się w zadumie:

– Miałem słuszność mówiąc, że drapieżne zwierzęta krążą dokoła tych dzieciaków. Wobec tego jednak, że los chciał wtajemniczyć mnie w arkana knowanych przeciw nim intryg, muszę odegrać swą rolę tak, aby sztuka, która zapowiada się jako ponury dramat, mogła zamienić się w wesołą komedię.

Wydobył z kieszeni znaną sakiewkę i po przeliczeniu jej zawartości gwizdnął radośnie:

– Trzy miesiące egzystencji zapewnione! A teraz do dzieła.

Przełożył pieniądze do swego woreczka, sakiewkę znaną wrzucił do rowu i ruszył w stronę lasku, w którym znajdowały się dwa pozostawione przez zakonników muły. Obejrzał je okiem znawcy, wybrał mocniejszego, wsunął rękę do płóciennej torby, przerzuconej przed zad zwierzęcia i uśmiechnął się:

– Pasztet, chleb, trzy flaszki wina... Właściciel tego muła był przezornym człowiekiem.

Zrewidował dwa inne wory, którymi był obładowany drugi muł i znalazł w nich: drób pieczony, jeszcze jeden bochenek chleba i jeszcze trzy flaszki wina.

Przytroczył całą ruchomą spiżarnię do siodła wybranego przez siebie muła, mówiąc:

– Żyć i nie umierać!

Wyprowadził muła na drogę, dosiadł go i wyruszył w kierunku Bagnolet.

Gdy Pontalais był już daleko, zza wysokiego płotu wyrzały dwie głowy; okrągłe, świdrowate oczka biegały niespokojnie, badając uważnie teren.

– Nie ma nikogo w pobliżu? – rozległo się pytanie.

– Zdaje mi się, że możemy zaryzykować! – odpowiedział drugi głos.

Obie głowy znikły za płotem jak na komendę. Rozległ się trzask łamiących się gałęzi... nad rowem ukazali się: Teobald i Lubek.

Widząc, że droga jest pusta, wyszli na sam środek pojękując i kiwając żałośliwie głowami.

– Myślałem, że już wybiła ostatnia godzina! – rzekł Teobald.

– Montauban, Tyka i Pęcherz – jęknął Lubek.

– Całe szczęście, że jesteśmy przewidujący i że, ratując nasze życie, poszukaliśmy sobie kryjówek.

– Skąd mogliśmy spokojnie przyglądać się awanturnikom.

– Powiedz mi jednak mój bracie, czego właściwie oni chcą od nas? – zapytał Teobald.

Lubek zamyślił się, potem podnosząc palec wskazujący rzekł, niby w natchnieniu:

– Polityka!

– Polityka? – powtórzył z przerażeniem Teobald.

– Tak, mój bracie... chodzi tu przecież o intrygę!

– Czy nie pamiętasz, co mówił jego eminencja! Spisek!

– Lecz co my mamy z tym wspólnego?

– Śledzimy tę, która należy do spisku.

– Widzieliśmy dużo, słyszeliśmy jeszcze więcej, dużo przemyśleliśmy...

– Siedząc za płotem.

– Tak jest, siedząc za płotem... mamy materiału do raportu, aż nadto. Jego eminencja będzie zadowolony.

– A może by tak, nie chcąc oberwać przy tej polityce, wyrzec się naszej misji?

– A jakże? – i trafić do celi więziennej o chlebie i wodzie.

– Nie! Nie! Doprowadźmy nasze dzieło do końca!

Z tymi słowami puścił się kłusem w kierunku miasta.

– Dokąd pędzisz mój bracie?

– Śpieszę na stanowisko! Śledzić tę, która należy do spisku.

– Mylisz się, mój bracie, ta kobieta nie wróciła do miasta, lecz odjechała w kierunku wsi.

– Jesteś tego pewny?

– Najzupełniej!

– A więc w drogę, do wsi! – westchnął Teobald zrezygnowany na wszystko.

Ujawszy się pod rękę, ruszyli niepewnym krokiem w stronę Bagnolet.

KONIEC